

MROCZNA KOŁYSANKA

DO CZEGO SIĘ POSUNIESZ, BY CHRONIĆ SWOJE DZIECKO?



„OPowieść podręcznej w futurystycznych realiach”
SARAH LANGAN, autorka powieści *Dobrzy sąsiedzi*



POLLY HO-YEN



POLLY HO-YEN

MROCZNA
KOŁYSANKA

przełożyli

Robert Kędzierski

Anna Krochmal

 insignis

Tytuł oryginału

Dark Lullaby

Copyright © Polly Ho-Yen 2021

All Rights Reserved

First published in 2021 by Titan Books
A division of Titan Publishing Group Ltd
144 Southwark Street, London SE1 0UP
titanbooks.com

Przekład

Robert Kędzierski, Anna Krochmal

Redakcja i korekta

Piotr Mocniak, Joanna Rozmus, Pracownia 12A

Skład

Tomasz Brzozowski, Bogumiła Łaś

Projekt okładki

Natasha MacKenzie

Grafika na okładce

© Shutterstock

Fragment wiersza Johna Donne'a w przekładzie Stanisława Barańczaka

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-67710-70-1



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://tiktok.com/insignis_media)

Danowi

Miłość moja tak czystą już mi się nie zdawa,
Jakem ją widział wprzód,
Skoro umie, jak trawa,
Przetrwać zmienność pór roku i mijania trudy;
Całą zimę snadź łągałem, swą mękę miłosną
Zwąc największą — boć przecież zwiększyła się wiosną.

John Donne, *Wzrost miłości*
(fragment)

BSR – Biuro Standardów Rodzicielskich

NSR – Niezadowolający Standard Rodzicielski

Indukcja – proces leczenia niepłodności, któremu poddaje się kobieta w celu poczęcia dziecka

Ekstrakcja – odebranie dziecka jego biologicznemu rodzicowi lub rodzicom, jeśli BSR uzna standard opieki za niezadowolający

Niewidzialna – nieoficjalne określenie kobiety „niebiorącej udziału w programach BSR”

W T E D Y

Kiedy ostatni raz widziałam Mimi, miała prawie roczek.

Postanowiliśmy wcześniej wyprawić jej urodziny – tylko Thomas, ja i matka Thomasa, Santa, jedyny rodzic, jaki nam pozostał.

Przygotowałam ciasto, które składało się niemal wyłącznie z czystego owsa, masła i syropu klonowego. U Mimi dopiero co zdiagnozowano nietolerancję glutenu i od czasu, gdy dostałam ostatni NSR, moja czujność w kwestii najmniejszego okruszka, który przeszedł przez jej usta, graniczyła z obsesją.

Zdaje się, że tamtego listopadowego wieczoru, kiedy usiedliśmy przy naszym małym stoliku, myśleliśmy o tym, jak niewiele czasu z nią nam pozostało. Nie rozmawialiśmy o tym. Po prostu zatraciliśmy się w moim żalnym, niewydarzonym cieście i sterczącej z niego elektrycznej świeczce, kupionej przez Thomasa specjalnie na tę okazję.

Jakaś część mnie już wtedy wiedziała.

Tamtego ranka, kiedy zasnęła, zanurzyłam twarz w delikatnym puszku na czubku jej głowy. „Aureolka Mimi”, mówił Thomas, dotykając jej sprężystych złotych loczków. Wiedziałam, że czasu nie zostało wiele. Była to jednak myśl tak okropna, tak pełna bólu, tak beznadziejna i zionąca pustką jak żadna inna. Nie miałam odwagi, by się z nią zmierzyć. Odepchnęłam ją rozpaczliwie od siebie i wyszeptalam w jedwabiste uszko Mimi:

– Wszystkiego najlepszego, kochana córeczko.

Zaczęliśmy śpiewać *Happy Birthday* i przysunęliśmy się do siebie, jakby ostre światło elektrycznej świeczki dawało namiastkę ciepła. W naszych głosach słychać było znużenie. Słowa nie niosły już w sobie żadnej obietnicy, wydawały się tylko podkreślać nasze braki. „Wszystkiego najlepszego, kochana Mimi”.

Śpiew Santy rozbrzmiewał głośniejszy niż Thomasa i mój razem wzięte, fałszywe nuty zagłuszały nasze łamiące się głosy. Kobieta była ubrana w swoim zwykłym stylu: złoto-pomarańczowy szal luźno narzucony na ramiona, spódnica pasująca do jej karminowych ust, zaś ciemne włosy z kilkoma zagubionymi pasemkami siwizny zawiązała do tyłu barwną chustą. W porównaniu z nią zarówno Thomas, jak i ja byliśmy niczym cienie: szarzy, rozmyci, wycofani.

Jej karminowy uśmiech był przeznaczony dla ukochanej jedynej wnuczki. Pamiętam, jak myślałam, że próbuje się nacieszyć tymi ostatnimi chwilami, napełnić je kolorem i światłem, tak jak swoje płótna i życie. Tamtego dnia ubrała się szczególnie starannie, wybierając jaskrawe kolory garderoby, by zrównoważyć przygnębiające, smutek, który zalał nasze życie i pociągnął nas za sobą. Próbowałam przykleić do twarzy uśmiech, ale czułam, że jest jak źle dopasowana maska.

Hap...py Birth...day to... you. Dlaczego melodia tej piosenki zwalnia w miarę śpiewania? Kilka ostatnich nut ciągnęło się nieporadnie, aż Santa zaczęła klaskać, a my dołączyliśmy do niej. Spojrzałam na siedzącą między nami córkę, zastanawiając się nad tym, co spędzało mi sen z powiek: czy stworzyliśmy świat, w którym była szczęśliwa? W którym była bezpieczna?

Mimi siedziała wyprostowana w swoim krzeselku, które przez pierwszy rok jej życia rosło razem z nią. Ten elegancki, inspirowany skandynawskim designem mebelek można było dostosowywać do rozmiarów rosnącego dziecka. Uparłam się, że chcę go mieć, kiedy byłam w ciąży. A zapragnęłam go, wbrew sobie, w jednym z Wzorcowych Domów, które odwiedzaliśmy podczas indukcji.

Zanim wybraliśmy się do Wzorcowych Domów, odbyłam z Thomasem szczerą rozmowę o pieniądzach i o tym, czy posiadanie różnych rzeczy może sprawić, że będziemy lepszymi rodzicami. Uznaliśmy zgodnie, iż najważniejsza jest miłość, a nie otaczanie się przedmiotami. A jednak, gdy tylko zobaczyłam to krzeselko, drewno w kolorze miodu, z którego było wykonane, jego łagodne krzywizny, obiecałam sobie, że je dla naszej córeczki zdobędę. Już wtedy wyobrażałam sobie, jak siedzi w nim podczas obiadu, dopełniając trójkąt. Należało do niej, zanim otworzyła oczy, zanim poczuła oddech świata, na długo przed tym, nim nauczyła się sama siedzieć i jeść.

– Zdmuchnij ją, Mimi! – wykrzyknęła Santa. – Pomyśl życzenie!

Dziewczynka była urzeczona światłem świeczki, ale potem jej spojrzenie powędrowało w moją stronę.

– Zdmuchnij ją, kochanie! – powiedziałam i pochyliłam się nad nią. – Tak się robi w urodziny. – Komicznie wydęłam policzki.

Thomas też do mnie dołączył. W tamtych chwilach, gdy się tak wygłupialiśmy, śmiejąc się i udając, że zdmuchujemy razem świeczkę, chyba zapomnieliśmy. Myślę, że nie pamiętaliśmy wtedy, co doprowadziło do naszego spotkania dwadzieścia dwa dni przed datą jej pierwszych urodzin.

Mimi wpatrywała się w nasze twarze i przez chwilę wydawało się, że naśladując nas, też wydmie swoje podobne do pączków policzki i dmuchnie na plastikową świeczkę.

– Dasz radę, Mimi! – zawołałam.

Powróciło dawne wspomnienie. Siedziałam wtedy na miejscu Mimi, a obok mnie – moja siostra Evie. Przede mną znajdował się tort urodzinowy. Wierzyłam we wszystko, co robiła i mówiła moja siostra. „Pomyśl życzenie! Dasz radę, Kit!” – krzyknęła gorączkowo, tak jak ja do Mimi, zupełnie jakby nie mogła się powstrzymać. Pamiętam, jak pomyślałam, że muszę to zrobić, bo Evie mi kazała, a życzenie musi się spełnić, skoro powiedziała, że tak się stanie. Zdmuchnęłam świeczkę, ale zapomniałam, żeby sobie czegoś życzyć.

Usta Mimi ułożyły się w szeroki uśmiech i wtedy zobaczyłam to w jej oczach. Czysty zachwyty.

Brązowe oczy Mimi zdawały się rozkwitać, powiększać, a światło świecy tańczyło w jej źrenicach. Choć może było to światło bijące z jej wnętrza? Pozwoliłam sobie rozkoszować się tym i pomyślałam przez chwilę: „Tak. Tak, moja córka jest szczęśliwa. Tak, świat jest taki, jaki powinien być. I nie, nie ma niczego, absolutnie niczego, czego pragnęłabym bardziej niż tej jednej chwili jej szczęścia”.

Mimi pochyliła się nad mrugającą ledową świeczką, jakby naprawdę zrozumiała, że powinna ją zdmuchnąć.

– Wyłącz to – syknęłam.

Żarówka uparcie świeciła chwilę dłużej, niż powinna. Widziałam panikę w oczach siedzącego obok mnie Thomasa, gdy naciskał, a wreszcie uderzał w pilota kontrolującego świeczkę. I nagle światło zgasło.

Znów przypomniałam sobie świeczkę, którą zdmuchnęłam w tamte urodziny, gdy zapomniałam pomyśleć życzenie. Gdy dmuchnęłam, jej chybotliwy płomyk zadrżał, odchylił się w drugą stronę, aż w końcu zgasł. Z knota uniosła się smużka dymu, a mnie spodobał się ten charakterystyczny zapach, choć był ostry i gryzący. Odsunęłam jednak to wspomnienie od siebie. Nie chciałam ryzykować i umieszczać na torcie prawdziwej świeczki, bez względu na to, jak łagodne rzuciła światło.

Wyciągnęłam rękę do Thomasa. Po raz pierwszy tego dnia czułam wzbierającą we mnie falę zadowolenia. Przysunął dłoń do mojej, jakby myślał o tym samym, i nasze palce spotkały się i mocno splotły. Mimi aż promieniała z dumy, szeroko uśmiechnięta, niewinna, z rozdziawioną z podekscytowania buzią.

Właśnie w tym momencie usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

T E R A Z

Pukanie w szybę samochodu sprawia, że się budzę. Zasnęłam z przekrzywioną głową i teraz czuję bolesny skurcz w karku. Docierają do mnie jaskrawe światła stacji lądowania i cichy szum otoczenia.

Przed sobą widzę twarz Thomasa i pytające spojrzenie jego szeroko otwartych oczu. Ruchem ust pyta mnie przez szybę: „Chcesz coś?”.

Kręcę głową, a on się odwraca. Patrzę, jak szybkim krokiem zmierza do budynku stacji. Nie możemy zatrzymać się tu na długo.

Wciąż nie jestem do końca rozbudzona i na tych kilka chwil zapominam, co zrobiliśmy, dlaczego tu jesteśmy. Potem gwałtownie odwracam się za siebie i patrzę na tylne siedzenie. Wiem, co tam zobaczę, a mimo to wychylam głowę tak bardzo, że czuję ból.

Szare siedzenia są puste; pasy bezpieczeństwa zwisają niepotrzebne.

Przybita tym widokiem znów się odwracam i patrzę przed siebie. Zza wiader z ledwo żywymi kwiatami widzę czubek głowy Thomasa i lśniące sfery, które obracają się powyżej. Przygląda się czemuś na półce, jakby chciał po to sięgnąć, ale zaraz się prostuje, odwraca w stronę toalet i znika z pola widzenia.

Na miejscu obok nas zatrzymuje się jakiś samochód. Prowadzi mężczyzna, kobieta siedzi z tyłu. Wyczuwam między nimi napięcie; on podczas rozmowy splata dłonie i wyłamuje sobie palce, a potem długo i nerwowo pociera skronie. Ona jest przygarbiona, zgięta jak gałąź starego drzewa. W następnej chwili dostrzegam zarys dziecięcego fotelika obok niej. To dlatego siedzi z tyłu.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć dziecko. Nie widzieliśmy żadnego, odkąd wyjechaliśmy z domu, a zdaję sobie sprawę, że łaknę ich widoku. Małeńka buzia pogrążona we śnie, bobas stawiający pierwsze niepewne kroki... Tak bardzo chciałabym zobaczyć jakiś dowód ich istnienia.

Kobieta zauważyła moje spojrzenie, więc szybko się odwracam i udaję, że obserwuję sfery, na których właśnie zmienia się obraz. Gdy znów na nią zerkam, nadal się na mnie gapi, podobnie jak mężczyzna. Pewnie się zastanawiają, dlaczego się nimi interesuję. Może podejrzewają, że nie tylko na nich patrzę, ale wręcz ich obserwuję, kontroluję, oceniam.

W następnej chwili odjeżdżają, rezygnując z ładowania baterii swojego auta. Ich samochodem trochę szarpie, pokonują zakręt nieco za ostro i za szybko. Żałuję, że nie mogę im powiedzieć, że nie musieli odjeżdżać, ale jakaś część mnie cieszy się, że są pełni podejrzeń, chciałaby, żeby zawsze mieli się na baczności.

Garbię się, moje plecy sztywnieją po tak długiej podróży. Chcę się pozbyć tego bólu, który czuję w kręgosłupie, ale noszę go ze sobą, stał się częścią mnie.

Sfery znów się obracają. Z cichym traskiem pokazują kolejne informacje. Oglądam je, chcąc odwrócić uwagę od myśli, które krążą mi w głowie w niekończącym się cyklu. Głośno ziewam, moje powieki zaczynają opadać.

I wtedy to widzę.

Jestem porażona. Czuję narastający ucisk w piersi, wielką kulę w gardle, która rośnie i rośnie. Wszystko, co wydawało mi się, że wiem, przestaje się liczyć.

Widzę to wciąż i wciąż, nawet po tym, jak sfery znów się zmieniają i zaczynają wyświeślać statystyki.

Widzę to, gdy Thomas wraca do samochodu, a ja zamykam oczy i odchylam głowę do tyłu, jakbym znów zasnęła.

Widzę to, gdy słyszę szelest czegoś, co kupił i co teraz umieszcza w schowku pod deską rozdzielczą.

Przesuwa palcem po moim policzku, wierząc, że znów śpię.

Muska ustami moją skroń.

Słyszę, jak mówi:

– Kocham cię.

Ale nie reaguję. Udaję, że śpię, udaję, że nie żyję.

Jestem w stanie myśleć tylko o tym, co widziałam przed chwilą.

Dla niego nic już we mnie nie zostało.

W T E D Y

Poznaliśmy się na ceremonii nadania imienia Jakobowi.

Długi, wąski ogród Evie i Seba zapełnił się rodziną oraz przyjaciółmi. Piliśmy wyjątkowo kwaśną lemoniadę domowej roboty i czekaliśmy na rozpalenie grilla.

Jakob, ubrany w pajacyk w pomarańczowe lwy, całe popołudnie przespał w ramionach Evie. Ilekroć szła z nim przez ogród, Seb krok w krok podążał tuż za nimi, jak cień – goście rozstępowali się, by ich przepuścić, rozmowy milkły i zapadała pełna szacunku cisza. Dodawało to temu nieformalnemu spotkaniu jakiejś dziwnej powagi.

Pajacyk był na Jakoba za duży. Choć chłopiec miał już cztery tygodnie, wciąż wydawał się tak mały, że zaczęłam się nawet zastanawiać, dlaczego ceremonię nadania imienia zaplanowali tak szybko po narodzinach. Dopiero później Evie poinformowała mnie, że BSR może wykorzystywać oficjalne uroczystości do oceny, jak radzą sobie nowi rodzice. Wyjaśniła mi, że dla fizycznego zdrowia dziecka należy zachować równowagę między izolacją społeczną a izolacją ochronną.

Lawirowałam wśród gości i zewsząd docierały do mnie najróżniejsze szeptki.

– Całkiem niezłe wygląda, prawda? Jeśli wziąć pod uwagę, przez co przeszła...

– To w końcu ile indukcji musieli przejść?

– Słyszałam, że prawie jej się nie udało.

Mogłam usłyszeć tylko piąte przez dziesiąte, nie potrafiłam stwierdzić, czyje to słowa. Pojawiło się za to wspomnienie Evie, bladej i zagubionej, niemal niknącej na szpitalnym łóżku. Potrząsnęłam głową, chcąc się pozbyć tego obrazu.

Jakaś starsza, nieznama mi kobieta wpatrywała się w Jakoba jeszcze długo po tym, jak ją minęli. Nieświadoma wyciągała ręce w stronę dziecka, jakby

wyobrażała sobie, że tuli je w ramionach. Ale chwilę później stojący obok niej mężczyzna zaczął głośno rozprawiać ochrypłym głosem i jej ręce opadły wzdłuż boków.

– Kto mógł coś takiego przewidzieć? – powiedziała. – Kiedyś martwiliśmy się bronią jądrową, przeludnieniem, zmianami klimatu... ale nie tym. Nie niepłodnością. I wciąż nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak się stało.

– Słyszałam ostatnio, że to podobno przez zanieczyszczenie środowiska. Pojawiła się jakaś teoria o mikroplastiku – odparła starsza kobieta. Mówiła powoli, jakby znużyło ją samo sformułowanie tego zdania.

– Gdyby faktycznie chodziło o coś takiego, to czy nie powinno już być lepiej? Poziom zanieczyszczenia przecież spadł. A współczynnik niepłodności od lat wynosi 99,98 procent.

– Tak mi się tylko obiło o uszy – odpowiedziała tym samym zmęczonym tonem kobieta.

Tata stał trochę na uboczu i pochylony przyglądał się rabatom. Jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej niezdarne ścisnął kieliszek. Miał na sobie kurtkę, choć wszyscy wokół byli w T-shirtach i cienkich bawełnianych koszulach. Wiedziała, że czuje się bardzo nieswojo, kiedy rozmowa schodzi na niepłodność, a to zdarzało się często. W każdej chwili mógł stamtąd uciec. Ruszyłam w jego stronę, ale zatrzymał mnie cichy brzęk kieliszka uderzanego łyżeczką.

Seb stał przed nami z uniesionym drinkiem, gotowy. Skinął głową do kogoś z tyłu – był o wiele wyższy od każdego z gości zebranych w ogrodzie i z łatwością patrzył ponad ich głowami. Miał odrobinę za długie włosy. Domyślałam się, że przed przyjęciem Evie próbowała je jakoś uładzić.

– Powiem tylko parę słów – zaczął. Uśmiechnął się swobodnie, wzruszył ramionami i rozłożył ręce, jakby chciał przez to powiedzieć, że nie potrafi się powstrzymać. – To nie będzie jakaś długa przemowa, obiecałem to Evie.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie. W oczach kobiety błysnęło czułe ostrzeżenie.

– Chciałem tylko powiedzieć, że kiedy Evie i ja postanowiliśmy poddać się indukcji, nie mieliśmy pojęcia, jak to wszystko może się skończyć.

Gdy mówił, mimowolnie skupiłam uwagę na siostrze. Stała trochę sztywno obok niego i tuliła do siebie Jakoba. Gdyby miała wolne ręce, pewnie nerwowo bawiłaby się materiałem sukienki. Nie dało się ukryć, że tak naprawdę wcale nie chce, żeby Seb przemawiał.

Widziałam, jak lekko się wzdygnęła, gdy wypowiedział słowo „indukcja”, ale cały czas wpatrywała się w Jakoba, jakby mogła zatracić się w jego obliczu. Zналиśmy to słowo od najmłodszych lat, wpajano nam je w szkole; wciąż słyszałam bezosobowy głos lektora z filmów, które nam pokazywano, i potrafiłam dokładnie powtórzyć wypowiedziane w nich formułki: „Indukcja jest jedynym sposobem, by zlokalizować to wąskie pasmo wciąż zdolnych do życia komórek jajowych i plemników”. Kręciło mi się w głowie od tych wszystkich diagramów przedstawiających jajniki i embriony, od zwrotów w rodzaju „intensywna procedura pobierania komórek jajowych”, które brzmiały przerażająco już wtedy, jeszcze zanim tak naprawdę zrozumiałam, co oznaczają.

Pamiętam, jak razem z Evie jako nastolatki próbowałyśmy poukładać sobie w głowie te fragmentaryczne informacje. Usiłowaliśmy pojąć coś, co było dla nas wtedy zbyt wielkie i zbyt obce. Dopiero zaczynałam rozumieć, że chodziło o nasze ciała, że te obce diagramy były tak naprawdę częścią nas.

Później, gdy byłyśmy starsze, Evie mówiła o indukcji z coraz większym znanstwem. Kiedy jednak sama przez nią przechodziła, cała ta wiedza na niewiele jej się przydała. „To jak loteria” – rzuciła znużonym głosem, gdy zakończyła kolejny nieudany cykl i niebawem miała próbować znowu. Nie chciała mówić o tym, że łączenie leków, których używano do stymulowania jajników, często wywoływało zbyt silną reakcję, prowadząc do skrzepów, trwałych uszkodzeń narządów, ataków serca. Nie pamiętałam takich szczegółów ze szkoły. Kiedy Evie rozpoczęła indukcję, sprawdziłam to sama, przeczytałam ulotki podawanych jej leków. Te informacje – wydrukowane niewinnym drobnym druczkiem – zmroziły mnie. Nie chciałam wierzyć, że to może być prawda. Ukryłam tę wiedzę gdzieś głęboko w sobie. Od tamtej pory dręczył mnie jednak niepokój. Zmusiłam się, by spojrzeć na Seba, chciałam rozproszyć swoje mroczne myśli.

– Ale zawsze, zawsze... i nie mówiłem o tym nawet Evie... miałem w głowie obraz tego, jak pokazujemy nasze dziecko tym, którzy są dla nas najważniejsi na

świecie. Kiedy było naprawdę ciężko, ten obraz pomagał mi wytrzymać. A teraz jestem tutaj, przedstawiam wam Jakoba, naszego pięknego synka, i to jest spełnienie marzeń...

Nagle umilkł, stracił głos.

Z początku wydawało się, że się śmieje. Wyglądało to jak kilka nerwowych chichotów, jego ramiona zaczęły się trząść, twarz się zmarszczyła. Najwyraźniej nie potrafił powstrzymać tego niemego drżenia. Jego ciało zapadło się na naszych oczach, jakby utrzymujące go w pionie sznurki zostały jednym okrutnym cięciem zerwane. Evie dopadła do niego z troską na twarzy i wtedy usłyszeliśmy wyraźne łkanie. Nie brzmiało to jak coś, co mogłoby się wydobyć z gardła tego samego mężczyzny, który jeszcze chwilę temu wznosił toast.

W ogrodzie niczym echo dał się słyszeć zbiorowy jęk, wspólny lament. Brzmiał niemal jak głos rozczarowania, zdawał się mówić, że nie tak to się miało skończyć. Spora grupka podeszła do Seba i Evie, otaczając ich ciasno, zaś reszta niezręcznie trzymała się z tyłu. Próbowaliśmy się nie gapić, ale nie byliśmy w stanie powstrzymać wzroku szukającego zapłakanej twarzy Seba.

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest. – Jego słowa niemal zagłuszyły życzliwe głosy próbujących go pocieszyć gości.

Ktoś, teraz już nie pamiętam kto, uniósł kieliszek i krzyknął:

– Za Evie i Seba, i za małego Jakoba!

Ale zebrani wokół uciszyli go.

– Nie teraz! – usłyszałam pełen zniecierpliwienia szept.

Potem wszyscy rozmawiali już ściszonymi głosami, tak jakby cokolwiek głośniejszego od zapobiegliwego szeptu mogło zostać uznane za niestosowne.

Chodziłam od jednej grupki do drugiej, napełniałam kieliszki i proponowałam miseczki z chipsami, których nikt nie chciał. Oficjalna wersja była taka, że Seb tak się cieszył z ojcostwa, że nie panował nad emocjami. A w dodatku noworodek nie pozwalał się im wyspać. Kto byłby w stanie zapanować nad uczuciami, gdyby nie mógł liczyć na więcej niż dwie godziny snu, nim znów będzie musiał się zerwać?

– Jedzenie niedługo będzie gotowe – powiedziała piskliwym głosem Evie, gdy pierwsi goście podeszli do niej, by się pożegnać. Jediną osobą, której

pozwoiliła wyjść bez słowa, był tata; zniknął tuż po tym, jak Seb zaczął przemawiać. Łzy zawsze tak na niego działały.

Evie stała przed grillem. W rękę trzymała duży srebrny nóż kuchenny, którym przecinała plastikowe opakowania surowych różowych kiełbasek. Wydawał się on zbyt wielki do tego celu, bardziej pasowałby jako narzędzie zbrodni. Jakoba oddała starszej koleżance z pracy, korpulentnej kobiecie o imieniu Deborah, która siedziała opodal na leżaku. Chłopiec spał teraz nieruchomo na jej piersi, ale spojrzenie Evie nieustannie wędrowało w jego stronę. Podeszłam, by wziąć od niej nóż, ale zanim zdążyłam to zrobić, mężczyzna o bardzo krótkich ciemnych włosach, którego nigdy dotąd nie widziałam, położył rękę na jej dłoni i delikatnie jej go odebrał.

Evie z wdzięcznością pozbyła się noża. Odsunęła się od grilla i rozejrzała po zatłoczonym ogrodzie, bezskutecznie czegoś lub kogoś szukając.

– Wszystko w porządku? – spytałam. – Mogę ci jakoś pomóc?

Dostrzegła mnie i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. To pewnie nic takiego...

– Powiedz mi – rzuciłam po prostu. Przecież byłam jej siostrą.

– Chodzi o Jakoba. Dostaliśmy ostrzeżenie z BSR. Jeszcze nie NSR, tylko ostrzeżenie. Ale to nami wstrząsnęło. Zwłaszcza Sebem.

– Kiedy? Co się stało?

BSR istniało od czasu wprowadzenia indukcji. Funkcjonariusze BSR monitorowali opiekę nad dziećmi, dbając, by potrzeby każdego rodzącego się dziecka były zaspokajane zgodnie z najwyższym standardem. Opowieści o niegdyśszych zaniedbaniach i nadużyciach przeszły do historii. Funkcjonariusze BSR mieli znacznie więcej władzy niż dawna opieka społeczna. Teraz wszyscy rodzice żyli w strachu, że funkcjonariusze dadzą im NSR i koniec końców przeprowadzą ekstrakcję, odbierając im opiekę nad dzieckiem.

– To nic poważnego. Właśnie wsadzaliśmy go do samochodu po dzisiejszych zakupach. Seb przygotowywał fotelik, ja trzymałam małego. A kiedy Seb powiedział, że jest gotowy, podałam mu Jakoba... Może przez to, jak Seb stał, jedną nogą w samochodzie, nie trzymał go jak należy... I wtedy to się stało.

– Upuścił go?

– Nie! Nic z tych rzeczy. Po prostu nie podtrzymał mu porządnie główki. Tak powiedziała ta funkcjonariuszka.

– To nic takiego – przyznałam jej rację. – Myślisz, że wszystko będzie w porządku?

– Cóż... – Evie się zawahała. – Tak mi się wydawało. Do momentu, kiedy podbiegła do nas ta funkcjonariuszka i nam tego nie wytknęła. Chyba faktycznie mógł mu lepiej podtrzymywać główkę.

– Zapomnij o tym – powiedziałam. – To się przecież nie powtórzy.

– Mam taką nadzieję – odparła Evie. – Seb się obwinia, ale tak jak mu powiedziałam, ja też tego nie zauważyłam. To była również moja wina. Tak mi powiedziała ta funkcjonariuszka. Że jestem... Jak ona to ujęła?... Współwinna.

– Jaka ona była? Ta funkcjonariuszka.

– Wyglądała jak ktoś, kogo bez mrugnięcia okiem minęłabyś na ulicy. Taka jak wszyscy. Dość krótkie włosy, bez makijażu. Trochę... trochę zaniedbana. Kiedyś wyobrażałam sobie, że wszyscy oni noszą garnitury i ciemne okulary, że widzisz, kiedy są w pobliżu. Ale na ulicy nie zwróciłabyś na nią w ogóle uwagi. Była zupełnie normalna, przeciętna.

– Wyobraź sobie, że wykonujesz taką pracę... – Wzdrygnęłam się. – Dlaczego ktoś chce się tym zajmować?

– W tym właśnie rzecz. Była bardzo dowartościowana całą tą sytuacją. Czułam, że naprawdę jest przekonana, iż nam pomaga, zwracając uwagę, jak Seb trzyma Jakoba. Zupełnie, jakby była zadowolona z siebie, że to zauważyła. Jakby wyświadczała nam przysługę.

– Skoro dała wam tylko ostrzeżenie, to chyba w pewnym sensie tak było. Teraz wiesz, że musisz być wyjątkowo czujna.

– Tak – potwierdziła Evie i uśmiechnęła się smutno. – To będzie trudniejsze, niż sądziłam.

– Poradzisz sobie – zapewniłam ją.

– Może – odparła. – A może nie. – Gwałtownie otarła łzę, która zaczęła spływać po jej policzku.

– Nie myśl tak. Pamiętaj o indukcjach, o wszystkim, czego się nauczyłaś, przez co przeszłaś. Jesteś wspaniałą mamą. I Seb tak cudownie zajmuje się małym. Jakob jest małym szczęściarzem.

Evie przełknęła ślinę. Jej twarz zaróżowiła się od prób powstrzymania płaczu. Na szyi nad obojczykiem widać było pierwsze ślady wysypki.

– Przestań, proszę – powiedziała łagodnie.

– Może pójdziesz poszukać Seba? Ja pomogę z jedzeniem. – Gestem wskazałam na ciemnowłosego mężczyznę, który zabrał jej z ręki nóż. Zdążył wyjąć wszystkie kiełbaski z opakowań i ułożył z nich surową piramidę na talerzu; teraz łamał białą piankę podpałki i rzucał jej kawałki na węgiel drzewny. – Nakarmimy gości. Co to za facet przy grillu?

– Thomas – odparła Evie. – Pracuje z Sebem.

Sprawiła wrażenie, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale potem zrezygnowała i z westchnieniem wypuściła powietrze z płuc, wydobywając z siebie jedynie cichy nieartykułowany dźwięk.

T E R A Z

Thomas śpi obok mnie.

Leży na boku, twarzą do pustej białej ściany, której jedyną ozdobą jest oprawiona w ramkę reprodukcja jakiejś rozmytej akwareli przedstawiającej ogród. Gdyby teraz otworzył oczy, obraz ten byłby pierwszą rzeczą, jaką zobaczy.

Kształty na obrazie nakładają się na siebie. Senne zielone krzewy stają się kwiatami, kwiaty zaś człowiekiem – ogrodnikiem w za dużych butach i oklapłym kapeluszu, zasłaniającym jego twarz. Wybrano ten obraz ze względu na jego nijakość, nieszkodliwość, ale jego rozwodnione kolory i falujące linie przeszkadzają mi.

Jakby nakłaniał mnie do postrzegania w ten sposób życia, przez mgłę, z miękkimi krawędziami. Nieostro i bezkształtnie. By zapomnieć o tym, jak potrafi boleć i ranić.

Thomas oddycha miarowo. Jestem przekonana, że śpi głęboko, ale wcześniej też byłam tego pewna, a gdy się poruszyłam, odwrócił się i mnie objął. Jest wczesny ranek, jednak równie dobrze mógłby być środek nocy. Kiedy tu dotarliśmy, była prawie północ. Musiało minąć trochę czasu, nim Thomas się uspokoił. Chciał rozmawiać, a potem długo nie mógł zasnąć, poruszał się niespokojnie, przewracał z boku na bok, kopał nogami kołdrę, wydawało się, że próbuje się spod niej wydostać. Dopiero teraz jestem pewna, że naprawdę śpi.

Opuszczam nogę z łóżka, a gdy Thomas nie reaguje, wypęlam z białej pościeli. Jest trochę szorstka od zbyt częstego prania. Ostrożnie wymykam się z sypialni na schody. Dopiero na dole pozwalam sobie odetchnąć.

Pokoje są dla mnie nowe, ale od czasu, gdy tu dotarliśmy, tyle razy planowałam w głowie tę trasę, że wydaje mi się, iż dobrze je znam. Leżąc cicho w łóżku, w wyobraźni raz za razem skręcałam za róg, schodziłam na palcach po

schodach i ostrożnie otwierałam drzwi salonu. Czekałam tylko na właściwy moment, żeby się wymknąć.

Wczoraj, gdy tu przyjechaliśmy, było już ciemno. Thomas, włączając jedno światło za drugim, zbadał każdy zakamarek dwupoziomowego mieszkania. Może myślał, że dzięki temu stanie się ono bardziej przyjazne i znajome. To kolejny bezpieczny dom z listy, którą mamy, i równie bezduszny jak poprzednie. Trochę zbyt schludny, ze sztywną pościelą w łóżku, bez jakichkolwiek śladów życia czy miłości.

Gdybym miała wybór, nie opuściłabym rosnącej sterty pościeli w naszej sypialni w domu. Na firankach widać tam ślady kurzu. W powietrzu latają małe srebrzyste ćmy, które wciąż się gdzieś mnożą. Zadomowiły się w mojej stagnacji.

Ale teraz jesteśmy w tym białym, jasnym miejscu.

Pokoje bez wspomnień.

Ściany bez zdjęć.

Kiedy byłam w ciąży, obwiesiłam ścianę zdjęciami naszych rodzin. Mimi wierciła się we mnie i czekała, a ja borowałam dziury, wieszalam ramki i wygrzebywałam stare, całkiem zapomniane fotografie mamy, taty i Evie. Nie udało mi się znaleźć żadnego zdjęcia Mai, mojej młodszej siostrzyczki, która umarła, gdy była jeszcze małym dzieckiem. Pamiętam, że kiedyś takie widziałam: maleńka, pomarszczona twarzyczka, zawinięta w biały kocyk. Na ścianie znalazło się jedno z nowszych zdjęć Santy i Thomasa. Nie patrzyli w obiektyw i nie mieli pojęcia, że są fotografowani. Śmiali się, a ich głowy pochylały się ku sobie.

Nasza rodzina była niezwykła ze względu na mnie i Evie. Rodzeństwo stanowiło pewną anomalie. Moi rodzice wygrali los na loterii i znaleźli się w bardzo nielicznej grupie ludzi zdolnych począć dziecko w naturalny sposób. Na kilka lat przed urodzeniem Evie współczynnik niepłodności zaczął rosnąć i w czasie, gdy mama była w ciąży z nami, niemal wszyscy, którzy chcieli mieć dzieci, musieli poddawać się indukcji.

Evie i ja byliśmy więc nietypowe nie tylko dlatego, że byliśmy dwie; niezwykle było także to, że zostałyśmy poczęte naturalnie. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy się o tym dowiedziałam, ale pamiętam, że tata przestrzegł

nas, byśmy o tym nie wspominały. Twierdził, że inni ludzie mogliby się czuć skrępowani.

Skrępowani. Pamiętam, jak powtarzałam za nim to słowo jak papuga, każdą sylabę wymawiałam osobno. Nie wiem, ile miałam wtedy lat.

Gdy byłam w ciąży z Mimi, stawałam czasem przy tej ścianie z rodzinnymi zdjęciami i przesuwiałam palcem po twarzach matki i ojca. W dniu ślubu, trzymający się za ręce i obsypani konfetti, wyglądali jak każda inna para nowożeńców: niezwykli, a równocześnie zwyczajni w swojej radości. Na podstawie tego zdjęcia nikt by się nie domyślił, że spotka ich coś tak wyjątkowego, że jakimś cudem będą w stanie począć dziecko bez niczyjej pomocy.

Potem przechodziłam do innych zdjęć i opowiadałam Mimi, kogo przedstawiają. Gdy była noworodkiem, stałyśmy przy tej ścianie każdego dnia i śpiewnym tonem, którego nie potrafiłam się pozbyć, powtarzałam w kółko te same informacje.

Teraz, stojąc przed tą nijaką beżową ścianą naszego tymczasowego lokum, wyraźnie widzę w wyobraźni tamte zdjęcia. W ten cudowny sposób potrafię zmienić to bezduszne pomieszczenie w dom, który stworzyliśmy wspólnie z Thomasem. Przywołuję widok z okna w pokoju dziecięcym. W ogrodzie rosła morwa, którą zasadziliśmy zaraz po przeprowadzce. Mimi i ja nieraz przyglądałyśmy się jej cienkim gałęziom, które przypominały długie, chude palce przywołujące nas do siebie. Pamiętam pikowany kocyk z geometrycznym wzorem z kolorowych kwadratów, na którym wspólnie się bawiłyśmy. Leżały na nim porozrzucane zabawki, którymi Mimi najbardziej się interesowała. Był tam też fotel mojego taty, a na ścianach wisiały obrazy namalowane przez Thomasa i Santę. Wszystkie te drobne elementy, które razem tworzyły nasz dom, teraz porzucony.

Tutaj nic, co posiadamy, nie jest na swoim miejscu. Chleb, banany i puszka herbaty, którą Thomas kupił w organizatorskim zapędzie, leżą na lśniącem cętkowanym blacie. Karton mleka stoi pośrodku pustej lodówki, jakby starał się zajmować więcej miejsca tylko dlatego, że może. Mój płaszcz leży na miękkiej wiśniowej sofie, tam, gdzie go rzuciłam. Jest zmięty i na tle mebli wygląda niechlujnie.

Bez zastanowienia sięgam po niego i starannie zapinam; pod spodem mam tylko T-shirt i miękkie, zniszczone spodnie od piżamy. Z każdym zapiętym guzikiem trochę bardziej staję się sobą, trochę bardziej przypominam człowieka, który wstał rano, ma przed sobą cały dzień i może zrobić, co zechce.

Gdy ostatni guzik jest już zapięty, jestem osłonięta, chroniona.

Wsuwam bose stopy w buty i biorę kluczyki do samochodu z miejsca, gdzie rzucił je Thomas, koło pustej misy na owoce.

Dzień należy do mnie.

Odchodzę.

W T E D Y

Stał lekko zgarbiony, pochylając się w skupieniu nad grillem.

Choć nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, przyłapałam się na tym, że wyciągam rękę w jego stronę i lekko opieram dłoń na jego ramieniu.

Poczułam pod palcami chłodną bawełnianą koszulę.

– Thomas?

Powoli odwrócił się w moją stronę i przez nienaturalnie długą chwilę staliśmy bez słowa, lustrując wzajemnie swoje twarze niczym godne podziwiania krajobrazy.

– Jestem siostrą Evie – powiedziałam i nagle w absurdalny, niewytłumaczalny sposób poczułam się onieśmielona. – Kit – wydusiłam z trudem, świadoma, jakie wrażenie robi na ludziach słowo „siostra”. „Siostra”, „brat” – słowa, które stopniowo stawały się przestarzałe.

– Kit – powtórzył cicho, starając się chyba zapamiętać moje imię.

– Przyszłam ci pomóc z grillem.

– Świetnie. Jak na razie udało mi się tylko zbudować wieżę z kiełbasek. I mam nadzieję, że uda mi się rozpałić grilla, zanim goście oszaleją z głodu.

– Cóż, teraz jest nas dwoje. Będziemy się mogli od nich opędać z pomocą... – Zlustrowałam leżące przede mną narzędzia i z zapalem chwyciłam długie metalowe szczypce.

– A ja wezmę... – Thomas przyjrzał się temu, co zostało na stoliku, i wybrał drewnianą łyżkę. – Posługując się tym we właściwy sposób, można narobić sporo szkód.

– Cóż, czas pokaże, czy będziemy musieli tego użyć. – Rzuciłam okiem na zebranych w ogrodzie ludzi, którzy spokojnie rozmawiali w małych grupkach. – Nie wyglądają groźnie.

W tym momencie dotarły do nas głosy z grupki stojącej najbliżej.

– Należało to zrobić dawno temu – powiedział drobny, siwiejący mężczyzna. Wiedziałam, że to dobry przyjaciel rodziny Seba. Gdy mówił, pochyłał się do przodu, przez co wyglądał, jakby się trząsł. – Nadzorcy zdali sobie sprawę, że do tego zmierzamy. Powinni byli zrobić to o wiele wcześniej. Gdyby nie śmierć Torrenta, byłibyśmy w dużo lepszej sytuacji.

Zobaczyłam, że Thomas zerka w ich stronę.

– Zaczyna się – mruknęłam bez zastanowienia.

Mężczyzna perorował dalej:

– Gdyby wprowadzili te środki jakieś dziesięć, piętnaście lat temu...

– Ale tak naprawdę nie jestem pewna, ile z nich będzie chciało rozpocząć procedurę. Młode kobiety... – zaczęła Deborah, koleżanka Evie z pracy, jednak mężczyzna mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi.

Ni stąd, ni zowąd poczułam, że chcę mu przerwać, tak jak on przerwał Deborahze. Chciałam powiedzieć coś, co przerwałoby jego apodyktyczną tyradę, ale gdy otworzyłam usta, nie miałam pojęcia, co by to mogło być.

Zauważyłam, że coraz częściej mi się to przytrafia, gdy rozmowy schodzą na politykę. Było we mnie coś żarliwego i pewnego, co chciało się wyrwać i zostać usłyszane, ale nie potrafiłam ująć tego w słowa. Czułam się zakneblowana, choć nie rozumiałam dlaczego.

Wmawiałam sobie, że za mało wiem, i było w tym ziarno prawdy. Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się, że mogę to po prostu ignorować. Znałam jedynie życie pod rządami nadzorców, tylko ich wizję tego, jak powinniśmy rozwiązać problem naszej szybko kurczącej się populacji. Czasem w opowieściach ojca wychwytywałam urywki informacji o tym, jak było dawniej – wybory i referenda, debaty i głosowania. Zawsze, kiedy o tym wspominał, wyglądał na zmartwionego, jakby nie do końca pojmował, w jaki sposób dotarliśmy do miejsca, w którym się znajdowaliśmy – z totalitarnym rządem i jednopartyjnym państwem.

– Może tak gadać przez dłuższy czas – szepnął Thomas.

– Co... co myślisz o nadzorcach?

Odwrócił się do mnie.

– Ogólnie? Obawiam się, że to złożona kwestia i nie mam gotowej odpowiedzi. Może przez to, że wokół tego wszystkiego robi się tyle hałasu. – Zmarszczył brwi.

– Też tak czuję – przyznałam. – Mam ochotę powiedzieć coś o tym, co się dzieje, ale coś, w co naprawdę wierzę, a nie tylko powtarzać czyjeś słowa.

– To trudne, kiedy słyszymy tylko sfery i ludzi rozmawiających o tym, co w nich usłyszeli.

Kiwnęłam głową. Dziwnie się czułam, otwierając się tak przed nim.

– Nie podoba mi się to, co robią, ale też rozumiem, że to niemal nierozwiązywalny problem. Że musieliśmy coś zrobić.

Bardzo wyraźnie zdawałam sobie sprawę, jak niezręcznie i niejasno to brzmi. Thomas jednak delikatnie pokiwał głową.

– Można myśleć jedno i drugie, prawda? – odpowiedział cicho.

– Tak wielu ludzi wydaje się absolutnie przekonanych, że właśnie tego nam było trzeba i że wciąż tego potrzebujemy. Częściej słyszę tych, którzy chcieliby, żeby nadzorcy posunęli się jeszcze dalej. Jak na przykład on... – Wskazałam na przyjaciela rodziny Seba, który snuł swoje wywody w najlepsze.

– Minął już ten czas, kiedy wystarczało zachęcanie – mówił właśnie. – Następne będą obowiązkowe indukcje, zapamiętajcie moje słowa. I jeszcze bardziej obniżą wiek. Nie ma innego wyjścia, prawda?

Kilka głów potaknęło w odpowiedzi, dał się słyszeć pomruk aprobaty. Kobieta, którą wcześniej obserwowałam, jak wyciąga ręce w stronę Jakoba, siedziała bez ruchu i milczała jak zakłeta.

– Słyszałaś ostatnie wiadomości? – zapytał Thomas ściszym głosem.

Kiwnęłam głową. Tego dnia rano, kiedy biegałam po mieszkaniu, usiłując wywabić płamę na sukience, którą zamierzałam włożyć, moja pracosfera obudziła się do życia i zaczęła transmitować na cały regulator nowe obwieszczenie. Odkręciłam do oporu kurek z gorącą wodą w nadziei, że szum wody zagłuszy padające słowa, ale i tak wszystko słyszałam. Minimalny wiek przeprowadzania indukcji obniżono z osiemnastu do szesnastu lat. Od tej pory szesnastoletnie dziewczyny miały być zachęcane do poddania się leczeniu niepłodności. Wyświetlono wykres pokazujący spodziewany spadek populacji, jeśli liczba indukcji nie wzrośnie. Zmniejszenie produkcji oznaczałoby niedobory

i konieczność importu drogich towarów. Informował o tym rzecznik nadzorców, mężczyzna o wychudzonej, pomarszczonej twarzy.

– To nie w porządku – powiedziałam i znów uderzyła mnie nieporadność moich słów. W ogóle nie oddawały, jak bardzo bałam się tego, co za sobą niosły. Przyjaciel rodziny Seba miał rację – byliśmy o kolejny krok bliżej wprowadzenia obowiązkowej indukcji dla wszystkich. Czulałam, jak wokół mnie pada cień, przed którym nie ma ucieczki.

W tym momencie podeszła do nas kobieta, którą Evie i Seb poznali podczas indukcji. Odchrząknęła cicho, niecierpliwie.

– Grill już rozpalony? – spytała, patrząc znacząco na stertę zupełnie zimnych osmalonych brykietów. Miała staranną fryzurę na boba i teatralne spojrzenie, w którym troska mieszała się z irytacją.

Kątem oka zauważyłam, jak Thomas unosi drewnianą łyżkę w gotowości, i tłumiąc chichot, spokojnie spojrzałam kobiecie w oczy.

– A jeśli nie, to zamierzasz sobie pójść?

– Cóż, nie. Oczywiście, że nie. Zastanawiałam się tylko, bo... – urwała.

– Bo jesteś głodna? – dokończyłam za nią.

– Nie, nie chodzi o...

– Bo lubisz wiedzieć, co się dzieje?

– Zastanawiałam się tylko... czy mogłabym jakoś pomóc.

– Im nas więcej, tym weselej – stwierdziłam. – Właśnie miałam przynieść sałatki z lodówki. Mogłabyś się tym zająć? Jacqui, prawda? Ja jestem Kit, siostra Evie. A to jest Thomas. Razem będziemy zespołem do spraw żywienia!

Jacqui uśmiechnęła się nieśmiało, co zaskoczyło chyba nawet ją samą, i ruszyła w stronę kuchni. Po chwili się odwróciła.

– Potrzebujemy czegoś jeszcze?

– Serwetek – powiedziałam. – O ile jakieś znajdziesz. Sprawdź w komodzie. Zajrzyj do dolnej środkowej szuflady.

– Rany! – westchnął Thomas, gdy Jacqui zniknęła w domu. – Masz dar. Wydobywasz z ludzi to, co najlepsze.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie sądzę. Większość ludzi lubi pomagać, jeśli tylko da im się taką możliwość. W sumie byłam dla niej trochę za ostra – wyznałam. – Nie chciałam

tak na nią... naskoczył. Jakoś tak wyszło, zanim zdołałam się powstrzymać.

To była część mnie, za którą niespecjalnie przepadałam, a która potrafiła zmieniać słowa w ostre szpony mogące pozostawić po sobie ślad, bliznę. Nigdy dotąd przed nikim się do tego nie przyznałam, ale teraz poczułam się dobrze, wyznając to Thomasowi.

– Wcale nie byłaś dla niej za ostra. Była dość nieuprzejma.

– Może. Czasem muszę się jednak pilnować.

– Chyba jak każdy.

– Poza tym wydaje mi się, że nie ma łatwego życia. Jej indukcje nie... – Ugryzłam się w język i zajęłam się układaniem kostek podpałki na owalnych węgielkach. Moje palce szybko pokrył czarny pył.

– Czyli ją znasz? – Thomas sięgnął po pudełko zapalek.

– W sumie to nie. Ale Evie mi o niej opowiadała. Wciąż poddaje się indukcjom. Jej siostra... Ona ma siostrę, która... ma synka.

Prawie powiedziałam, że „wciąż ma synka”.

– Ile ma lat? – spytał szybko Thomas.

– Mniej więcej trzy.

– Czyli jest poza strefą zagrożenia. – Skrzywił się, gdy tylko słowa wyrwały mu się z ust. Ekstrakcje zdarzały się znacznie częściej w przypadku niemowląt. Jeśli udało się przetrwać ten czas, to choć, technicznie rzecz biorąc, wciąż mogło dojść do ekstrakcji, dziecko z reguły pozostawało z rodzicami. Według BSR standard opieki we wczesnym wieku pozwalał przewidzieć późniejsze praktyki rodzicielskie.

Próbowałam oczyścić pobrudzone węglem palce, energicznie pocierając dłonie, ale tylko rozsmarowałam ciemnoszare plamy. Powróciło inne wspomnienie Evie: zapłakanej, zrozpaczonej po kolejnej nieudanej indukcji. Zakręciło mi się w głowie i poczułam, jak ciężkie łzy napływają mi do oczu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską Thomas.

Kiwnęłam głową, ale nie spojrzałam na niego.

Milczał przez chwilę, a potem spytał:

– Czy uważasz, że ludzie mają prawo być bardziej nieuprzejmi, jeśli spotkało ich coś złego?

Podniosłam wzrok.

– Cóż, tak. Może i mają.

– A co z tymi, którzy, no wiesz... mieli naprawdę przerąbane, a mimo to wciąż są serdeczni... mili dla innych?

– Takich ludzi nazywa się świętymi.

– Nie zgadzam się z tobą. To okropne, że tolerujemy nieuprzejmość. Kiedy ludzie tak się zachowują, to jest ich wybór. Nie muszą. Dlatego jesteś moją bohaterką. Nie pozwalasz sobie na to.

Nie byłam pewna, co powiedzieć, ale w tym momencie Thomas zapalił zapalkę i podpałka zajęła się ogniem.

Na wpół pomarańczowe, na wpół niewidoczne płomienie lizały węgle i poczułam bijące od nich ciepło.

T E R A Z

Thomas nie będzie mógł do mnie zadzwonić.

Wychodząc w pośpiechu, zostawiłam telefon i portfel w torbie w mieszkaniu. Kiedy pozbyliśmy się swoich mobilnych sfer – podobno mogli nas przez nie namierzyć, więc nie mogliśmy ich zatrzymać – Thomas kupił nam stare telefony komórkowe, żebyśmy mieli ze sobą kontakt, jeśli się rozdzielimy.

Choć wiem, że nie może mnie dosięgnąć ani za mną ruszyć, wzrok wciąż kieruję do wstecznego lusterka, na rosnącą wciąż za mną drogę.

Przypomniałam sobie, że zostawiłam torbę, dopiero wtedy, gdy wrzuciłam bieg i zaczęłam cofać. Natychmiast wcisnęłam hamulec, a moje myśli pomknęły ku plikom banknotów, które w niej schowałam. Drzwi frontowe wciąż pozostawały zamknięte. Thomas za mną nie wybiegł. Mogłam tam po cichu wrócić, zabrać torbę i znów wyjść. Ale coś mnie powstrzymało. Sama myśl, że Thomas mógłby się obudzić i wybić mi z głowy to, co zamierzałam zrobić. Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i znalazłam tam kilka starannie złożonych banknotów – kwotę wystarczającą, gdybym znów musiała naładować baterie samochodu; wystarczającą, by nie opłacało się ryzykować, że wpadnę na Thomasa. Pojechałam dalej, zostawiając za sobą torbę i jej zawartość.

Jest bardzo wcześnie i jeszcze nie widziałam innego samochodu, ale nie potrafię przestać myśleć o tym, że Thomas mnie będzie ścigał. Nie pozwoli mi tak łatwo odejść.

Mógłby zadzwonić na policję i kazać im mnie szukać. Mógłby im powiedzieć, że „ostatnio nie byłam przy zdrowych zmysłach” – tak się czasem wyraża, kiedy myśli, że go nie słucham. Mógłby im powiedzieć o fiolkach z tabletkami na szklanej półeczce w łazience. Kolejne przedłużenie mnie, które zostawiłam za sobą.

Gdyby do tego doszło, musiałabym znaleźć inny samochód. Zmienić wygląd – obciąć włosy, które są teraz dłuższe niż te w dzieciństwie. Ufarbować je na jakiś wyzywający kolor w publicznej toalecie? Włożyć ciemne okulary, które przysłonią część twarzy i oczy?

Ale nie zgłosi tego na policję. Nie może. Pewnie już nas szukają.

Mocniej wciskam gaz i samochód przyspiesza, a przemykający za oknem krajobraz zamazuje się.

Delektuję się tym, że jestem sama. Spoglądam na miejsce pasażera obok mnie – stalowszare i puste – i czuję coś w rodzaju przyływu szczęścia, choć nie jest to takie proste, bo nikogo tam nie ma.

Po części wynika to z tego, że teraz mogę swobodnie wspominać. Zbyt długo nie zdawałam sobie sprawy, że Thomas zauważa, kiedy to robię. Nie wiedziałam, że moje ramiona mimowolnie się wtedy poruszają, układają tak, jakbym trzymała ją w ramionach. Mruczałam pod nosem. Przekrzywiałam głowę tak jak wtedy, gdy do niej mówiłam.

– Prześtań, Kit – powiedział pewnego dnia, gdy całkiem się zatraciłam w jakimś wspomnieniu.

– Co mam przestać?

– Prześtań robić to, co robisz. Udawać, że ona wciąż tu jest.

Ale ja nie udawałam, wiedziałam, że jej nie ma. Wspominałam ją, przeżywałam coś, co się wydarzyło, i było to tak intensywne, że moje ciało powtarzało te same ruchy. Tęskniłam za nią całą sobą. Moje piersi nabrzmiały mlekiem, stały się twarde i jędrne. Za każdym razem, kiedy odciągałam pokarm, próbowałam nie słyszeć rytmicznego szumu laktatora i wyobrażałam sobie, że karmię Mimi. Takie rady otrzymywałam, żeby wytwarzać więcej mleka: „myśl o swoim dziecku”, ale tak naprawdę nie mogłabym sobie jej nie wyobrażać, gdy butelka napełniała się kropla po kropli, jakby spływały do niej łyzy. Musiałam odciągać całe to mleko i wylewać do zlewu, wciąż jeszcze ciepłe od mojego ciała. Odkręcałam kran i patrzyłam, jak rozcieńczonym białym wirem ścieka do odpływu.

Gdy prowadzę, moje piersi stają się coraz cięższe; zaczynają funkcjonować niemal jak osobne byty. Zostawiłam laktator w mieszkaniu, więc nim staną się nabrzmiące i pojawi się ból, będę musiała odciągnąć pokarm ręcznie. Jakaś część

mnie lubi tę fizyczną stronę bycia matką. Wspomnienie Mimi, które dalej żyje w moim ciele, jest namacalne i realne.

Po tym, jak ją zabrali, w tych pierwszych chwilach pustki, ślęczałam nad wszystkimi zdjęciami i filmikami z nią, które przechowywałam w swojej mobilnej sferze. Przeglądałam całą galerię, chciwie przewijając kolejne pliki, aż do chwili, gdy Thomas powiedział, że na nas już czas. Wiedziałam, że będę musiała zostawić mobilną sferę, ale nie byłam przygotowana na to, że nie będę mogła zabrać ze sobą cyfrowych albumów pełnych zdjęć i filmików, które jej zrobiliśmy. Potem miałam spędzać czas zagubiona we własnej wyobraźni, wyczarowując Mimi z pamięci, aby odtwarzać chwile, które kiedyś spędziliśmy razem.

Często wracałam myślami do pewnego deszczowego dnia. Było tak mokro, że ubrałam ją w gruby, nieprzemakalny jednoczęściowy kombinezon, a gdy na koniec naciągnęłam jej na głowę kaptur, widać było tylko mały okrąg jej buzi, kawałek górnej wargi, nosek i oczy.

Wspominałam, jak wyciągnęłam palec, dotknęłam czerwonego koniuszka jej nosa i wydałam dźwięk naśladujący trąbkę czy klakson. Właśnie to zobaczył Thomas: jak wyciągam w powietrzu palec, by dotknąć jej noska; jakby wciąż była przy mnie i z moich ust wciąż wydobywał się ten słaby dźwięk trąbki.

– Nic nie robiłam – powiedziałam.

– Kit... – westchnął Thomas. – Zmienia ci się wyraz twarzy. Znów ją sobie wyobrażasz.

Nie ganił mnie za to, ale od tamtej pory zawsze dbałam, żeby nikogo przy mnie nie było, gdy chciałam powspominać Mimi.

Teraz w samochodzie rozkoszuję się nieobecnością innych. To uświadamia mi, od jak dawna tak naprawdę nie byłam sama. Odkąd Mimi zniknęła, Thomas zawsze był w pobliżu.

Może się boi, co bym zrobiła, gdyby nie było go obok.

Może ja też się tego boję.

W T E D Y

Istniała nazwa dla takich jak ja.

Mówili o nas: niewidzialne.

Niewidzialne dla programu BSR. Kobiety, które postanowiły nie poddawać się indukcji. Nie istniało natomiast żadne określenie piętnujące mężczyzn, którzy postanawiali nie zostać ojcami.

Oczywiście, by poddać się indukcji, nie musiałam mieć partnera. BSR z tym samym entuzjazmem wspierało wszystkich: samotne kobiety, pary homoseksualne i heteroseksualne.

Od czasu do czasu pojawiał się w sferach materiał o żalonym stanie niewidzialnych. Zwykle skupiał się on na pełnym żalów wywiadzie z kobietą, która nie zdecydowała się na dzieci, a teraz już ich nie mogła mieć.

Taki reportaż z reguły kończył się wygenerowanymi komputerowo obrazami pucołowatych, nieuśmiechających się maluchów. Były to projekcje tego, jak mogłyby wyglądać dzieci tej kobiety, gdyby kiedykolwiek przyszły na świat. Choć istniało pewne podobieństwo do ich „matek”, te wymyślone postacie zawsze miały takie same smutne oczy, błagalne spojrzenia, które podążały za tobą wszędzie.

Potem następowały bardziej rzeczowe, oparte na faktach materiały o niewidzialnych; o wyższych stopach podatkowych, które trzeba było płacić, jeśli postanawiało się nie poddawać indukcji. Rosły one z roku na rok, począwszy od chwili, gdy kobieta kończyła dwadzieścia lat. To w połączeniu z coraz większymi cięciami płac oznaczało, że dla niewidzialnych utrzymanie stanie się niemal niemożliwe, o ile trend nie ulegnie zmianie. Kredyty mieszkaniowe były minimalne, więc wybór miejsc, w których można było zamieszkać, jeszcze

bardziej się zawęzał. Mężczyznom nie groziły podobne kary. Ochotnicy oddawali dość spermy, więc nie było niedoborów i popytu na ich ciała.

Miesiąc w miesiąc jeżyłam się z wściekłości, gdy z trudem udawało mi się przetrwać z nędznej pensji w chłodnym i wilgotnym mieszkaniu. Protesty spotykały się z tą samą stanowczą odpowiedzią: tylko kobiety mogą się poddać indukcji, a te, które się na to decydują, zasługują na nagrodę. Nikogo nie obchodziło, że penalizowanie niepoddawania się indukcji było bardzo dotkliwą karą, a nagrody za poddanie się procedurze tego nie rekompensowały.

Do tego dochodziły tendencyjne materiały i filmy, w których piętnowano wszystkie niewidzialne jako „samolubne, egoistyczne wariacki sabotujące przetrwanie naszego gatunku”, jak ujął to jeden z reporterów.

Ale materiały o niewidzialnych były zaledwie ułamkiem tego, co produkowano. BSR zalewało sfery historiami i artykułami, studiami przypadków i statystykami. Stworzono mnóstwo tekstów poświęconych radościom i korzyściom z posiadania dzieci, szczegółom ubiegania się o premie finansowe dla osób biorących udział w programie, każdego dnia pojawiały się informacje o nowych możliwościach w zakresie leczenia niepłodności. BSR robiło wszystko, co tylko mogło, żeby przymusić kobiety do indukcji. Choć bycie niewidzialną nie było nielegalne, często można było odnieść takie wrażenie.

– Nie możesz tego wyłączyć? – pytał tata za każdym razem, gdy wyświetlano te filmy. Niezbyt często mnie odwiedzał. To było trudne dla nas obojga. Na widok mojej pracosfery marszczył z odrazą twarz, jakby właśnie napił się skwaśniałego mleka.

– Przecież wiesz, że nie mogę – odpowiadałam przez zaciśnięte zęby, tak cicho, że tylko ja słyszałam własne słowa.

– Jak jesteś w stanie to znieść? – ciągnął ojciec. Zwykle odwracał się do pracosfery plecami, a jeśli mógł, wychodził z pokoju. Nie wyjaśniałam mu, że po jakimś czasie człowiek się do tego przyzwyczajał, że z czasem przestawało się słyszeć te głosy.

Unikał ich, rzadko wychodząc, chyba że na swoją działkę. Sfery znajdowały się wyłącznie w miejscach publicznych, ale to oznaczało, że znajdowały się właściwie wszędzie: na dworcach kolejowych i przystankach autobusowych, w kawiarniach i parkach, kinach i sklepach, na siłowniach i basenach. We

wszystkich miejscach, które nie były domem. Bo nie dotarły do każdego domu. Jeszcze nie dotarły.

Można było odnieść wrażenie, że z każdym dniem sfer jest coraz więcej, jakby były żywymi istotami rozmnażającymi się w tempie, któremu nigdy nie uda nam się dorównać. Kuliste źródła informacji, które nigdy nie są wyłączone, do których można podejść z każdej strony, a ich ekran dostosuje się zawsze do twojego kąta widzenia. Nie miały tyłu, nie miały końca.

Zarówno Evie, jak i ja zdecydowałyśmy się na pracosfery w domach i na mobilne sfery, które przez cały czas miałyśmy przy sobie. Tak jak większość ludzi. Technologicznie były nieporównywalnie bardziej zaawansowane niż jakikolwiek komputer, więc właściwie nie był to wybór, lecz konieczność.

– Powinnaś się jej pozbyć – upierał się tata, ignorując fakt, że nie odpowiedziałam. – To niezdrowe, że to coś się tak po prostu włącza. Zupełnie jakbyś oddała komuś klucz do mieszkania, teraz może wejść w każdej chwili.

Sprzeczałyśmy się o to za każdym razem, kiedy do mnie przychodził. Powtarzało się to tak często, że wręcz czekałam na chwilę, kiedy zaczniesz narzekać na pracosferę, i zanim się odezwał, już byłam spięta.

– Nigdy takiej nie będę miał – marudził.

Tata nigdy nie kwestionował tego, że jestem niewidzialną. W przeciwieństwie do Evie.

Zależało jej na tym, żeby ze mną o tym rozmawiać. Za każdym razem krążyła wokół tematu, zanim decydowała się przejść do sedna.

– Nie powinnaś się na to zamykać, Kit.

– Na co?

– Na indukcję – odparła szybko, przez co to słowo wydawało się nie mieć aż takiego ciężaru.

Leżałyśmy na dywanie w jej salonie. Pozbierałyśmy już talerze po kolacji, w zasięgu ręki miałyśmy kieliszki z winem.

To było wcześniej. Przed Jakobem. Przed tym wszystkim.

Leżałyśmy obok siebie, tak jak w czasach, gdy byłyśmy młodsze i tata zaczął nam pozwalać sypiać w tym samym pokoju. Po śmierci matki, kiedy ja miałam trzy lata, a Evie pięć, sytuacja powtarzała się prawie co wieczór. Mama umarła

nagle na guza mózgu, niedługo po tym, jak nasza najmłodsza siostra Maia odeszła, będąc jeszcze niemowlęciem. Po jej narodzinach doszło do komplikacji, ale nie znałam szczegółów; tata nie lubił mówić ani o mamie, ani o Mai. Prawdę mówiąc, żadnej z nich nie mogłam sobie przypomnieć wyraźnie. Pamiętałam tylko Evie.

Kiedy podrosłyśmy tak, że przestałyśmy mieścić się we dwie w jednym łóżku, rozkładałyśmy śpiwory na podłodze i rozmawiałyśmy do późna.

Podczas rozmowy gapiłam się w sufit, cienie zamazywały się w ciepłym, słabym świetle lampy. Z wiekiem zorientowałam się, że trudno mi się zwierzać, gdy patrzę ludziom prosto w oczy, tak bardzo przywykłam do tych nocnych rozmów z Evie. Wpatrywałyśmy się podczas nich w sufit, a słowa płynęły swobodnie.

– Nie chcesz być mamą? – Nie musiałam widzieć Evie, by wyobrazić sobie, jak jej twarz w kształcie serca rozpromienia się, kiedy to mówi. Była ostrożną, praktyczną osobą, która zwracała uwagę na każdy szczegół swojego wyglądu. Jej paznokcie zawsze były schludnie obcięte i pomalowane, a ciemne włosy lśniąco i zaczesane na jedną stronę. Pod tymi pozorami stabilności i rozwagi kryła się jednak marzycielka.

Kobiety zachęcano, by poddawały się indukcji tyle razy, ile tylko mogą, i Evie poważnie rozważała przejście przez nią samotnie, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Nie kryłam ulgi, gdy powiedziała mi, że zmieniła zdanie i postanowiła wstrzymać się z tym do chwili, gdy znajdzie partnera, który będzie jej towarzyszyć w całym procesie. Od tamtej pory nieustannie chodziła na randki, korzystając z serwisu Centrów Partnerskich BSR, i starała się znaleźć odpowiedniego człowieka. Umawianie się na randki za pośrednictwem Centrów Partnerskich mogło być całkiem lukratywne; już za zapisanie się do nich dostawało się premie finansowe, które jeszcze rosły, jeśli doszło do poczęcia dziecka ze znalezionym w ten sposób partnerem.

– Po prostu nie jestem pewna, czybym mogła – odpowiedziałam.

Widziałam, jak bardzo zdominowało to życie mojej siostry, jeszcze zanim cały proces zaczął się na dobre. Ponieważ Evie zarejestrowała się do rozpoczęcia indukcji od razu, gdy tylko znajdzie odpowiedniego partnera, poza tym regularnie

chodziła na kontrole ginekologiczne i badania lekarskie. Jej życie już wtedy kręciło się wokół indukcji i spotkań w Centrum Partnerskim.

– Oczywiście, że byś mogła – powiedziała Evie. – I wtedy wreszcie byłoby cię stać, żeby się wyprowadzić z budynku, w którym mieszkasz.

Populacja skurczyła się do tego stopnia, że mieszkaliśmy skoncentrowani w części wciąż istniejących miast. A to, gdzie mieszkało się w obrębie dzielnicy, zależało od pensji i kredytu mieszkaniowego. Jak można się było spodziewać, w obu tych kategoriach plasowałam się w niższym przedziale.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby tam mieszkać.

– Parę dni temu słyszałam, jak mówiłaś tacie coś innego.

Choć przy Evie starałam się to bagatelizować, właśnie dlatego, że od razu poruszyłyby sprawę indukcji, moje mieszkanie było maleńkie, w kiepskim stanie i cuchnące, bez względu na to, jak bardzo o nie dbałam i jak dokładnie je sprzątałam. Zimą na ścianach rozrastał się grzyb, a latem przebywanie w nim można było porównać do życia w nagrzanym kontenerze odcięty od dopływu powietrza. Nigdy nie udało mi się pozbyć myszy, które prznosiły się z mieszkania do mieszkania i rozbudowywały swoje labirynty, odkrywając coraz więcej dziur w ścianach. Nie miałam jednak możliwości wziąć kredytu na przeprowadzkę i się z tym pogodziłam.

– Wiesz, indukcja jest o wiele, wiele bezpieczniejsza niż kiedyś – Evie powtórzyła jak papuga. – Dziś rano oglądałam w sferach reportaż...

Umilkła, kiedy wstałam i zaczęłam hałasować talerzami i kieliszkami, zbierając je na stertę.

– Kit, jeśli nie potrafisz o tym porozmawiać ze mną, to z kim?

– Przecież nie chodzi tylko o indukcję, prawda?

Nie miałyśmy pojęcia, jaka jest realna liczba dzieci poddawanych ekstrakcji. Po prostu się o tym nie mówiło. Co roku BSR publikowało statystyki, które zalewały sfery liczbami dotyczącymi dobrobytu i pomyślności dzieci – „dwudziestojednoprocentowy wzrost bezpieczeństwa dzieci w domu i piętnastoprocentowy wzrost bezpieczeństwa poza domem”. Ale nie wspomniano nic o tym, ilu rodzinom odbierano dzieci.

Było też coraz więcej kobiet, w przypadku których indukcja nie działała. Bez względu na to, jak BSR próbowało to przedstawić i ile publikowało badań, nie

było w stanie ukryć zagrożenia. Koktajl leków, które trzeba było przyjmować, sprawiał, że większość kobiet bardzo poważnie chorowała, a niektóre nawet umierały. Tola, szkolna przyjaciółka Evie, zmarła tuż przed swoimi dwudziestymi urodzinami po tym, jak poddała się indukcji. Poszliśmy z Evie na jej pogrzeb. Tak jak sobie wyobrażałam, było to straszne doświadczenie. W kościele panował tłok, ludzie stali w przejściach między ławkami, bo nie starczyło miejsc siedzących. Rodzice Toli, bladej jak płótno, nie byli w stanie z nikim rozmawiać. Evie tak mocno ścisnęła moją rękę, jakby się bała, że może zemdleć.

Niecały rok później usłyszeliśmy, że Flo, kolejna dziewczyna z klasy Evie, zmarła w trakcie indukcji. A pół roku po niej odeszła Connie. Pamiętam, że poddała się indukcji po raz drugi po tym, jak odebrano jej pierwsze dziecko.

To nie były ostatnie pogrzeby, w których brałyśmy udział.

Czasem, kiedy wspominałam Tolę lub moje spojrzenie padało na stare zdjęcie przedstawiające klasę Evie, które wciąż wisiało na korkowej tablicy u taty, na wszystkie te uśmiechnięte twarze, zastanawiałam się, jak to możliwe, że jesteśmy w stanie znieść taką stratę. Myślałam o rosnącym we mnie odrętwieniu, gdy to samo spotykało kogoś, z kim chodziłam do szkoły, córkę sąsiadów taty albo kuzynkę przyjaciółki. Lista ciągle rosła. Kiedy więc dowiadywałam się, że ogłoszono nowe wytyczne BSR, jakaś część mnie myślała: no tak, to zrozumiałe, że tak ściśle monitorują opiekę nad dziećmi. Walczono o każde rodzące się dziecko, każde było cenne. Było niemal tak, że na widok jakiegokolwiek dziecka miałam przed oczami cienie tych wszystkich kobiet, które poświęciły wszystko. Jeśli zatem standardy rodzicielskie nie zostały spełnione, logicznym kolejnym krokiem wydawała się ekstrakcja dziecka dla jego bezpieczeństwa. Wiedziałam o tym.

Nie powstrzymywało to ludzi przed poddawaniem się indukcji i posiadaniem dzieci, ale niektórzy, tak jak ja, nie pisali się na to.

T E R A Z

Zaczynam marznąć. Ręce mi drętwieją od ściskania kierownicy. Gdybym je z niej zdjęła, pozostałyby zgięte jak bezużyteczne szpony.

Nie mogę jednak przestać jechać dalej. Nauczyłam się trasy, wiem, które drogi wybierać, a których unikać. Szosa wije się przede mną i nie mogę pozbyć się wrażenia, jakbym już kiedyś tędy jechała. Nie słyszało się o ludziach takich jak my, uciekających przed BSR. Nie w sferach. Powiedział nam o tym mężczyzna, z którym się spotkaliśmy. Był drobny, łysy, starszy od nas. Nie wyglądał jak ktoś, kogo podejrzewałabym o przynależność do ruchu oporu. Pasował bardziej do kościelnej ambony.

Powiedział mi, że nadzorcy nie chcą, by ludzie dowiedzieli się o osobach, które próbują uciekać przed BSR. Oczywiście szukają ich potem. Można to jednak zrobić, jak zapewnił. Można uciec. Wszystko jest kwestią odpowiedniego przygotowania.

Powtórzyłam naszą rozmowę Thomasowi i zobaczyłam, jak porusza ustami, powtarzając moje słowa, jakby próbował przekonać samego siebie.

Staram się nie zwracać uwagi na nagą skórę w miejscu, gdzie nosiłam opaskę identyfikującą mnie jako matkę Mimi. To nasila ciągłe poczucie, że o czymś zapomniałam. Bez niej czuję się naga, obnażona. Gdy tylko zdjęli nam opaski, musieliśmy opuścić dom. Ich odebranie było ostatnią rzeczą, jaka się wydarzyła, zanim wyszliśmy frontowymi drzwiami, potykając się o własne nogi, jakbyśmy nie mogli poruszać się dostatecznie szybko.

Wyjechaliśmy nieco ponad godzinę po tym, jak zabrali Mimi. W ciągu weekendu mógł do nas zajrzeć funkcjonariusz BSR i stwierdzić, że uciekliśmy. Liczyliśmy jednak na to, że o niczym się nie dowiedzą, dopóki ktoś nie zauważy nieusprawiedliwionej nieobecności Thomasa w pracy.

– 918.

Wypowiadam tę liczbę na głos. Wyobrażam sobie srebrne metaliczne cyfry przykręcone do drzwi. To pomaga, sprawia, że czuję się trochę lepiej.

Potem kod pocztowy:

– NNW 1HW.

Pamiętam, jak łysy facet mówił mi, że nie mogę go nigdzie zanotować. Nie kryłam poirytowania – nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zapisać ten kod, nie tylko ze względu na ryzyko, ale przede wszystkim dlatego, że nigdy bym go nie zapomniała. Powtarzam kod na głos, a potem jeszcze raz z numerem.

– NNW 1HW. 918.

Cyfry i litery stapiają się w mojej głowie w jedno, oscylują, rosną i obracają się. Przez chwilę nie widzę nic oprócz nich. Wtedy dociera do mnie ostry, natarczywy ryk klaksonu.

To ciężarówka. Nadjeżdża z przeciwnej strony i wydaje się, że otrzemy się o siebie bokiem. Jestem za blisko środka jezdni. Szykuję się na ogłuszający szczęk i zgrzyt wyginanego metalu, mam niemal pewność, że się zderzymy.

Gwałtownie odbijam w bok. Mój samochód wspina się po porośniętej trawą skarpie. Wciskam hamulec i rzuca mnie do przodu, gdy zatrzymuję się z piskiem opon. Słyszę kolejny klakson, samochód za mną też musiał odbić, żeby mnie ominąć. Mija mnie z wściekłością. Nie widzę twarzy kierowcy; jestem w stanie tylko wpatrywać się w soje ręce zaciśnięte na kierownicy, wciąż wczepione w nią jak szpony.

Mój oddech jest urywany, świszczący.

Chcę płakać, chcę krzyczeć.

Nie mogę znieść myśli, że czeka mnie jeszcze taka długa droga.

Mam wątpliwości, czy mi się uda. Wątpliwości, które wgryzają się we mnie od środka niczym robaki. Zastanawiam się, czy naprawdę jestem w stanie to zrobić. Przypominam sobie, jak Thomas nalegał, żebym spróbowała brać leki zaproponowane przez Santę, fiołki z tabletkami, które ustawił w szeregu jak żołnierzy przed bitwą. Wyciągnęła je z pudełka schowanego w głębi szafki, jakby były skrzętnie skrywanym skarbem.

„918. NNW 1HW”.

Znów wracają. Cyfry i litery. A potem widzę twarzyczkę, buzię noworodka, który ziewa i wydyma usta, jego powieki drgają – widocznie coś mu się śni.

Ale to nie jest twarz Mimi. Te ciemne włoski mogą należeć tylko do Jakoba.

W T E D Y

Tak się akurat złożyło, że miałam się spotkać z Evie i Sebem na kolacji zaraz po ich pierwszej sesji indukcji.

Byłam podenerwowana, wytrącona z równowagi na myśl, że zaczęli procedurę, a mój dzień był jakiś nieudany, jakby się nawet porządnie nie zaczął, ale i tak przeciekał mi między palcami.

Wcześniej była nawałnica, która trwała przez kilka godzin. W sferach pokazały się ostrzeżenia przed potencjalnymi powodziami i zastanawiałam się, czy Evie i Seb nie odwołają naszego spotkania. Ulewa jednak w końcu ustała; do powodzi nie doszło.

Próbowałam skupić się na pracy, ale słowa, których szukałam, pozostawały gdzieś poza moim zasięgiem. Uparte, skrywały się, opierały formułowaniu. Tak jak większość ludzi, pracowałam zdalnie przez swoją pracosferę. Byłam dokumentalistką życia, pisałam biografie ludzi żyjących w sposób bardziej ekscytujący niż większość z nas. A słowo „ekscytujący” oznaczało tu, że zarabiali więcej pieniędzy, niż my mieliśmy szansę kiedykolwiek zobaczyć.

Nigdy nie spotykałam się z klientami. Równie dobrze mogliby żyć w innym wszechświecie. Podczas gdy my skupialiśmy się w dzielnicach wokół ostatnich miast, moi klienci mieszkali w zamkniętych społecznościach albo w położonych na uboczu luksusowych rezydencjach, w idyllicznym otoczeniu. Mimo to czasem czułam, że znam ich twarze, barwy ich głosów, specyficzny sposób wyrażania się. Miałam wrażenie, że są mi bliżsi niż własna rodzina. Moim zadaniem było towarzyszyć im przez całe życie, nie tylko przeglądając ich media społecznościowe, ale też prywatne materiały, które decydowali się udostępniać. Dokumentacja życia zachęcała ich do ujawniania niemal wszystkiego. Były to ogromne ilości danych, których nigdy nie przestawało przybywać.

Zwerbował mnie pod koniec studiów jeden z moich uniwersyteckich wykładowców. Zanim miałam szansę porządnie się zastanowić, co i dlaczego robię, podpisałam z nimi kontrakt skuszona pensją i okazałą zaliczką. Już następnego dnia na moją pracosferę dotarły pliki i tym sposobem, nie wiedząc nawet, jaki zawód tak właściwie chcę wykonywać, rzuciłam się w wir pracy.

Z powodu statusu niewidzialnej osiągnęłam już górny pułap wynagrodzenia, zmiana zawodu po to, by więcej zarabiać, nie miała więc sensu, a poza tym odkryłam, że lubię tę pracę. Przez większość czasu prawie nic nie pisałam, za to spędzałam długie godziny, doszukując się sensu w rozmowach telefonicznych, rodzinnych filmikach, mailach, wiadomościach i artykułach, które gromadziły się na mojej pracosferze. Osoba, której życie dokumentowałam, oczywiście nie wiedziała, kim jestem, nie miała nawet pojęcia, że mój zawód istnieje.

Klienci woleli wierzyć, że ich dokumenty życia są pisane przez komputer, a nie przez żywych ludzi. Obserwująca ich obca osoba, podglądacz, cichy pasażer na gape, który zawsze im towarzyszy – nie była to zbyt pociągająca wizja, nawet według powszechnie przyjętych standardów. Jednak to ludzie pisali najlepsze dokumenty tego typu.

Biografie tworzone przez algorytm nie oddawały esencji czyjejś osobowości. Sztuczna inteligencja nie potrafiła poświęcać dość czasu ważnym wydarzeniom, nie umiała dodawać koniecznych ozdóbek, ograniczyć szarzyzny, by stworzyć idealne wspomnienia, które nasi klienci tak bardzo pragnęli uchwycić i pozostawić po sobie. A więc firma zajmująca się dokumentowaniem życia pozwalała im wierzyć, że istnieje wystarczająco dobry program komputerowy, i sporządzała na tyle niejasne kontrakty, że prawda pozostawała ukryta za klauzulami, gwarancjami i obietnicami.

Dokumentaliści życia musieli podpisywać tak wiele zobowiązań prawnych o zachowaniu poufności, że ich dokładne przeczytanie zajęłoby mi wiele miesięcy – zasadniczo sprowadzało się to do wyrażenia zgody, że nigdy nie ujawnimy natury naszej pracy stronom trzecim. Klienci dostawali swoje dokumenty życia. Dokumentaliści otrzymywali wypłaty. Wszyscy byli zadowoleni. Na pewno przyjdzie taki czas, gdy algorytm zostanie dopracowany na tyle, by mógł mnie zastąpić, ale póki co nie traciłam czasu na martwienie się tym. Miałam za dużo pracy.

Tamtego dnia porzuciłam w połowie zdania akapit, z którym się męczyłam, i zaczęłam odsłuchiwać rozmowy telefoniczne sprzed trzech lat, należące do jednego z moich klientów, dla którego pisałam od dawna. Jonah zbliżał się do siedemdziesiątki i zaakceptował już sporządzoną przeze mnie wersję roboczą, ale dokumenty życia uznawano za ukończone dopiero wówczas, gdy zawierały okoliczności śmierci klienta.

Słuchałam jego rozmowy z córką. Kobieta brzmiała, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale w tle było tyle hałasów, że nie mogłam dosłyszeć, co takiego. W dodatku ściszyli głosy. Zauważyłam, że Jonah i Genevieve często to robią, kiedy długo ze sobą rozmawiają. Byli sobie bliscy. Zawsze byli.

Większość bohaterów dokumentów życia nie zakładała rodzin przez indukcję, ale tak jak Jonah płacili za XC. Kiedy po raz pierwszy wprowadzono tę metodę, byłam jeszcze dzieckiem, potem uczyliśmy się o tym w szkole. Z roku na rok podawano nam coraz więcej informacji. Kiedy chodziłam do podstawówki, usłyszałam tylko, że można mieć dzieci przez indukcję albo przez XC, chociaż wtedy nie do końca rozumiałam ten termin. Nie pamiętam dokładnie, w której klasie szkoły średniej byłam, gdy powiedziano nam o sztucznych macicach w specjalnie zaprojektowanych laboratoriach. To w nich rozwijały się płody z XC. Potem dowiedzieliśmy się, w jaki sposób wytwarzano komórki jajowe i plemniki z mieszanki materiału genetycznego pochodzącego nie tylko od rodziców, w związku z czym matka nie musiała się poddawać indukcji. Pamiętam tamtą lekcję. Pamiętam, jak nam to tłumaczyli.

Było gorące letnie popołudnie. Duszne powietrze spowalniało myśli, do tego wszyscy byliśmy senni i ociężali po lunchu. Nauczycielka zaczęła odtwarzać nam film o XC i wróciła na swoje miejsce. Zapatrzyła się w dal, jakby udzieliła się jej nasza ospałość. Byłam pewna, że jedna z moich koleżanek z klasy rzeczywiście zasnęła. Oparła głowę o ręce i w ogóle się nie ruszała. Na ekranie przed nami przemykały diagramy i obrazy. Z początku sądziłam, że to tylko powtórka tego, co już wiem, ale wtedy pojawiła się kwestia o matkach, które nie muszą poddawać się indukcji.

W tamtym czasie próbowałam zrozumieć uczucia, jakie mi towarzyszyły, odkąd dowiedziałam się, że ja i Evie urodziłyśmy się w naturalny sposób, a nie przez indukcję. Tata ostrzegał nas, żebyśmy nie mówiły o tym ludziom, a ja

dopiero zaczynałam rozumieć dlaczego. To mnie wyróżniało. Zdawałam sobie sprawę, że mam poczucie winy, bo nasza rodzina nie musiała cierpieć tak jak wiele innych.

– Jakież pytania? – zapytała nauczycielka, gdy film się skończył.

Dziewczyna o imieniu Morag, która zwykle niewiele mówiła, wyprostowała się na krześle i uniosła rękę. Miała długie, gęste włosy przypominające lwią grzywę. Pamiętam, że się im przyglądałam, temu, jak niesfornie sterczą na boki, choć były związane w kucyk, kiedy zapytała:

– Dlaczego nie wszyscy mają dzieci z XC? Zamiast poddawać się indukcji.

– To naprawdę dobre pytanie, Morag. Wydaje mi się, że gdy opracowywano program XC, takie było wstępne założenie. Okazało się jednak, że ta procedura nie rozwiązuje problemu niepłodności tak skutecznie, jak na to liczono. Dzieci z XC borykają się z nią tak samo jak każda inna osoba w dzisiejszych czasach. A poza tym, cóż, to drogi proces.

– Czyli trzeba być bogatym? – spytała Morag. – Trzeba mieć pieniądze, żeby to zrobić?

– Tak – potwierdziła nauczycielka.

– Ale to nie jest sprawiedliwe – oświadczyła dziewczyna.

– Można i tak to ująć – usłyszała w odpowiedzi.

– Co to w ogóle znaczy? – Głos Morag stał się wysoki i piskliwy, niemal łamiący się. W tym momencie zadzwonił dzwonek i zaczęliśmy powoli wychodzić z klasy, pozornie nieświadomi rozterek koleżanki.

Później dowiedziałam się, że obie jej ciotki zmarły podczas indukcji.

Genevieve należała do pierwszych dzieci z XC. Metoda nie była jeszcze wtedy dopracowana i u kilkuletniej dziewczynki pojawiły się zaburzenia metaboliczne, wynikające z niewykrytych wcześniej wad genetycznych – czegoś, co już się nie zdarzało, przynajmniej jeśli wierzyć w to, co mówią w sferach. Czasem łapałam się na tym, że odtwarzam filmik z jej powrotu ze szpitala. Stawiała chwiejne kroki, uczepiona ręki ojca, ale już kilka dni później biegła bez opamiętania. Swoboda, z jaką się poruszała, znajdowała odzwierciedlenie w wyrazie twarzy Jonaha. W jego oczach widać było ulgę, że znów jest zdrowa; było niemal tak, jakby z jego wnętrza biło ciepłe światło. Żona Jonaha

zachorowała na raka, kiedy Genevieve miała kilka miesięcy, i zmarła, zanim dziewczynka skończyła roczek. Odtąd córka była dla niego wszystkim.

Po raz kolejny odtworzyłam rozmowę, ale nawet po kilkukrotnym jej odsłuchaniu nie mogłam dosłyszeć, co Genevieve mówi tacie. A potem Jonah w pośpiechu przerwał połączenie. Nie mogłam rozszyfrować, co takiego mu powiedziała, że zareagował w ten sposób.

Jednym z dźwięków w tle były hałasy szczeniaka, którego Genevieve niedawno sobie kupiła. Biegał po podłodze tam i z powrotem. Wyizolowałam tupot psich łap i wyczyściłam z niego plik. Ale było jeszcze coś, co zagłuszało głosy Genevieve i jej ojca.

Obrabianie plików, tak żeby można było usłyszeć, co mówią ludzie, stanowiło ważną część mojej pracy. Lubiłam to robić. Było coś satysfakcjonującego w tym, że potrafiłam wyczyścić nagranie, które z początku brzmiało niewyraźnie i niezrozumiale, i zrobić z niego coś spójnego i sensownego. Najczulsze, najważniejsze słowa wypowiedano cicho, szeptem. To był kolejny powód, dla którego to ja wykonywałam tę pracę, a nie program komputerowy. Potrafiłam wyczuć, kiedy warto poświęcić trochę czasu, żeby obrobić plik.

Zidentyfikowałam powtarzające się zakłócenia i szумы pracosfery i je również usunęłam z nagrania. Wciąż jednak nie było wystarczająco wyraźne.

W końcu zorientowałam się, że jest późno, i zapisałam nagranie w pliku, który skompilowałam na temat Genevieve, żeby jeszcze do niego wrócić.

Evie i Seb zjawili się przede mną. Dostrzegłam ich, zanim mnie zobaczyli. Czekali przy stoliku w gwarnej restauracji, nie dotykali się i nie rozmawiali ze sobą.

– Jak poszło? – spytałam, całując siostrę w policzek.

Zareagowała dopiero po chwili, jakby budziła się ze snu. Miała niebieskawe cienie pod oczami, które kojarzyły mi się z siniakami. Seb był spięty, siedział sztywno z opuszczonymi ramionami.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Evie cicho westchnęła, co zabrzmiało niemal jak jęk. Zagłuszył to jednak hałas otaczających nas gości, a potem moja siostra się uśmiechnęła, odwzajemniła pocałunek i ucisnęła moją dłoń. Jej usta były idealnie czerwone, jakby dopiero co nałożyła szminkę. Rubinowe usta i ciemne

włosy opadające falami na jej ramiona sprawiały, że wyglądała niczym gwiazda filmowa z początków kina: piękna, delikatna i blada.

– Cześć, Seb.

– Dobrze cię widzieć, Kit. Co słychać?

– Och, sam wiesz. W porządku. Wszystko dobrze. Nic, o czym warto by wspominać.

– W pracy wszystko dobrze? – zapytał Seb i na chwilę uderzyła mnie myśl, że gdy Evie znalazła sobie partnera, ja zyskałam czujnego, martwiącego się o mnie starszego brata.

– Tak, mnóstwo roboty. W porządku.

Żadne z nich nie znało szczegółów związanych z dokumentacją życia. Tata, Evie i Seb myśleli, że piszę dla jednej ze stron informacyjnych w sferach.

– To świetnie. – Seb uśmiechnął się nerwowo, jakby jego twarz nie chciała się do końca rozluźnić.

Evie bawiła się serwetką.

– Wszystko w porządku? Czy coś się... – spytałam powoli.

To niedopowiedziane pytanie zawisło w powietrzu. Evie ujęła Seba za rękę i zobaczyłam, jak mocno splekli palce.

– To był po prostu ciężki dzień – odparła, szukając czegoś w oczach partnera. Poczucia? Otuchy?

– Chcecie o tym porozmawiać?

– Och, nie! – odpowiedziała szybko Evie. – Dajmy temu spokój. Co tam w pracy? – spytała wesoło, zbyt wesoło, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że chwilę wcześniej Seb pytał o to samo.

Miałam własną wersję, której mogłam się trzymać. W przypływie kreatywności dodałam z czasem do swojego fikcyjnego życia zawodowego tło i postacie. Opowiadałam o Tedzie, „moim redaktorze”. Wyobrażałam go sobie jako prawie łysego faceta z kilkoma rzadkimi kępkami rudych włosów i sterczącym brzuchem, z którego był niemal dumny. Wymyślałam, że sprzeczamy się o newsy, nad którymi rzekomo pracowałam. Kiedy opowiadałam rodzinie o pracy, Ted pojawiał się tak często, że czasem żałowałam, że nie istnieje naprawdę. Przedstawałam go jako swojego mentora i przyjaciela, który czasem irytował mnie własną bezpośredniością.

Teraz znaleźliśmy się na bezpiecznym terenie, rozmawiając o mojej pracy. To było coś, z czego nieprędko chcieliśmy zrezygnować. Seb wyraźnie się odprężył i opowiedział nam jakąś historię o swoim pierwszym szefie, z którym wciąż utrzymywał kontakt. Gdy się ożywił, na policzki Evie wróciły rumieńce.

Dopiero później, gdy Seb odszedł od stolika, a Evie wypła sporo czerwonego wina, które zamówiliśmy, pochyliła się konspiracyjnie nad blatem, trącając łokciami talerzyki z deserem.

– Było okropnie, Kit. Po prostu okropnie.

Ścisnęłam jej dłoń.

– Przykro mi. Co się stało?

– Seb mówi, że mieliśmy po prostu kiepski początek. Próbujemy zostawić to za sobą.

– Dobry pomysł, na pewno macie rację. Nie bądźcie dla siebie zbyt surowi.

– Nie chciałam, żebym ci mówiła. Nie chce, żebym komukolwiek o tym opowiadała.

Milczałam, wyczuwając, że Evie musi wyrzucić to z siebie.

– On nie chce, żebyśmy się do tego negatywnie nastawili, a jeśli zaczniemy o tym mówić, nic nie będziemy mogli na to poradzić.

– Cóż, chyba coś w tym jest – powiedziałam. – Ale to niedobrze, że nie możesz o tym rozmawiać, wyrzucić tego z siebie. Oczyszczyć się.

– Też tak myślę – z oburzeniem podniosła głos Evie.

– Co się stało? – spytałam jeszcze raz.

– Robili nam mnóstwo testów, pobierali krew, tego typu rzeczy. Badania. Wiesz, musimy to wszystko załatwić, to nie było takie złe. Mówili o pierwszej partii leków, które będą musiały brać. Mogą mieć wiele różnych skutków ubocznych, ale spodziewałam się tego. To znaczy, kiedy słyszysz to wszystko naraz, może się wydawać, że to dużo, ale...

Evie urwała i milczała przez chwilę. Wiedziałam, że bagatelizuje ten problem.

– Mówili też o szkoleniu, jakie będziemy musieli przejść, żeby ograniczyć do minimum szansę ekstrakcji. Wszystkie te informacje są naprawdę wartościowe. Część z tego przyda nam się w praktyce, na przykład wiedza o karmieniu czy rytmie dobowym. Do tego dochodzą jeszcze kwestie etyczne i moralne związane z tym, jak nasze zachowanie jako rodziców wpływa na rozwój naszych dzieci.

Będzie też mnóstwo o tym, jak dziecko uczy się mówić, tego typu rzeczy. To fascynujące.

– Brzmi... nieźle.

– Tak. Same treści są w porządku. I przedstawiali to w taki sposób, że poczułam, że damy radę, no wiesz, uniknąć ekstrakcji. To mi naprawdę dało nadzieję.

Właśnie w tej chwili, jakby przysłuchiwały się naszej rozmowie, sfery w restauracji ożyły i zaczęły odtwarzać film BSR.

„Ekstrakcje są dobre dla każdego” – wyświetlił się na ekranach tekst napisany tłustą niebieską czcionką. Potem pojawiła się animacja dziecka, które szło jasną ścieżką, oddalając się od ciemnych sylwetek rodziców, ku innym dzieciom, uśmiechniętym i beztroskim. Na ekranach pomiędzy twarzami dzieci niemal podprogowo przemykały kolejne słowa: „Najwyższy standard życia”, „Przyszłościowa edukacja”, „Szanse dla wszystkich”.

„Nasze elitarne kompleksy dla dzieci po ekstrakcji zapewniają im najlepszą możliwą przyszłość w zmieniającym się świecie”. Film dobiegł końca i sfery znów przeszły w stan uśpienia.

Większość gości w restauracji nie zwróciła uwagi na ten filmik, ale dopóki trwał, Evie i ja nie byłyśmy w stanie oderwać od niego oczu.

Moja siostra zbladła i z trudem przełknęła ślinę.

– O kompleksach też dzisiaj wspominali – powiedziała. – Nie poświęcili im wiele czasu, ale rozwodzili się nad tym, dlaczego są takie wyjątkowe. Wszystkie statystyki pokazują, jaki mają korzystny wpływ na rozwój dziecka: umysłowy, emocjonalny, fizyczny. Naprawdę dają dziecku szanse na lepszą przyszłość, więcej możliwości.

Szukałam właściwych słów.

– Ale... chwilę temu powiedziałaś, że informacje, które wam podali, mogą wam pomóc uniknąć ekstrakcji.

– Cóż, zgadza się. Można było tak pomyśleć. Ale potem powiedziałam coś, powiedziałam...

Zagryzła wargę i wzdrygnęła się lekko na to wspomnienie.

– Powiedziałam... to był żart, tylko żartowałam... że na pewno coś zawalimy, nawet jeśli będziemy się starać. To było po prostu głupie. Omawialiśmy właśnie

wpływ rodziców na dziecko i wtedy mi się to wyrwało. Prowadząca grupę natychmiast na mnie naskoczyła. Spytała, czy uważam, że nad niczym nie mam kontroli. A potem cała grupa zaczęła tę wielką debatę o odpowiedzialności, a ja czułam, że wszyscy... że po prostu... że robią wszystko, by zdystansować się ode mnie, od nas. Zaczęli atakować moje słowa. A potem, kiedy powiedziałam, że to był tylko żart, pogorszyłam tylko sprawę. Rzucali uwagami typu: „Uważasz, że to właściwy temat do żartów?”. To było okropne, po prostu okropne. Nie mam ochoty tam już nigdy więcej wracać, a to oczywiście nie wchodzi w grę. Szkoda tylko, że nie możemy zacząć od początku. Że nie mogę cofnąć czasu i jeszcze raz zacząć tej sesji. I trzymać swojej głupiej gęby na kłódkę.

– Hej, mówisz o mojej siostrze.

– Żałuję tylko... – urwała nagle, gdy Seb pojawił się przy stoliku. Uśmiechnęła się do niego ze sztuczną wesołością.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Jasne, jasne – zapewniła go dziarsko Evie, choć widziałam, jak kurczowo zacisnęła palce na nóżce kieliszka z winem.

– Rozmawialiśmy właśnie o ogródku działkowym taty – pomogłam jej. – Spędza tam więcej czasu niż w domu.

Sebowi wyraźnie ulżyło.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, opowiadał mi, że znalazł jakiś nowy rodzaj superkompostu. Ale nie chciał mi powiedzieć, co to takiego.

– To do niego podobne – stwierdziłam. – On chyba naprawdę wierzy, że jego telefon jest na podsłuchu, i martwi się, że któryś z działkowych kolegów podkradnie mu pomysły.

– Oni wszyscy traktują to jak zawody – dodała Evie i rozmawialiśmy już tylko o tacie, jego fasolce i wojnie wydanej ślimakom, bo tak było łatwiej. O wiele łatwiej niż rozmawiać o tym, co naprawdę chodziło nam po głowach.

T E R A Z

Evie. Myślę o Evie.

O jej oczach, które lśnią, kiedy jest szczęśliwa, a gdy jest smutna, przypominają zmatowiałe monety.

O jej drobnych, szczupłych nadgarstkach, z których zsuwała się większość bransoletek. Zawsze je gubiła.

O jej ciemnych włosach, które zawsze pachną szamponem.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, byśmy tak długo się nie widziały. Kiedy o niej myślę, próbuję się skupić na drobnych szczegółach. W przeciwnym razie ją tracę. Przypominam sobie, w jakim punkcie znalazłyśmy się teraz, i nie potrafię spoglądać wstecz na wszystkie te lata, kiedy byłyśmy nierozłączne. Myślę o ostatnich miesiącach. O tych kilku ostatnich pełnych napięcia rozmowach, które nas zraniły i zmieniły w obce sobie osoby.

W T E D Y

Widziałam, jak Marie i Leo delikatnie wnoszą Cię do domu w gniazdku zrobionym z kocyków. Mała senna twarzyczka na białej poduszce. Mieszkali w tym samym budynku co ja, piętro wyżej. Jej płacz wypełniał puste przestrzenie, przenikał przez ściany, nie można było przed nim uciec.

– Popatrz tylko na nią! – wykrzyknęła Elizabeth, rudowłosa kobieta z czwartego piętra, gdy tylko drzwi windy się zamknęły. Marie z Tią w nosidełku minęła nas, gdy wsiadałyśmy. Elizabeth była po pięćdziesiątce. Miała bladą, nietkniętą przez słońce skórę i półprzymknięte oczy o ciężkich powiekach, przez co wyglądała na bardzo znudzoną albo strasznie zmęczoną, albo jedno i drugie. – Takie maleństwo. Nie mogę wprost uwierzyć, że mamy dziecko w naszym budynku!

Uśmiechnęłam się do niej, ale zacisnęłam zęby, spodziewając się, co zaraz nastąpi.

– Pewnie niedługo się wyprowadzą – ciągnęła. – To nie jest najlepsze miejsce na wychowywanie dziecka. Teraz będzie ich stać na coś lepszego. – Musnęła ręką odrapaną ścianę windy. W naszym budynku mieszkały głównie niewidzialne i kilka starszych kobiet, takich jak Elizabeth, która, jak słyszałam, tylko raz próbowała poddać się indukcji, a potem już zrezygnowała.

Mruknęłam coś wymijająco.

– A ty przechodzisz indukcję? – spytała Elizabeth szybko, z wprawą. – Jesteś w odpowiednim wieku. – Zmrużyła oczy.

– Ja... nie – odparłam z większą pewnością siebie, niż w rzeczywistości czułam. Coraz częściej wypytywano mnie w ten sposób i choć sądziłam, że będę w stanie to znieść, prawda była taka, że za każdym razem przychodziło mi to

coraz trudniej. To było tak, jakby każda krytyczna uwaga zrywała ze mnie kolejną warstwę.

– Nie przechodzisz? – spytała ostro.

Znów się do niej uśmiechnęłam, jeszcze bardziej zaciskając zęby, i lekko, ale stanowczo pokręciłam głową.

– Nie obraż się, że ci to mówię, ale w dzisiejszych czasach to dziwny wybór. Nie u każdej z nas to działa, ale żeby nawet nie próbować? – Ręka Elizabeth dotknęła brzucha. Zauważyła, że to dostrzegłam, i szybko strzepnęła jakiś niewidzialny pyłek ze spódnicy.

Miałam już odpowiedź na końcu języka. Byłam gotowa na nią naskoczyć i zapytać, jak to było w jej przypadku, dlaczego nie przechodziła kolejnych indukcji, czemu mieszkała tu z nami, niewidzialnymi, wśród wyrzutków. Ale przełknęłam te słowa. Musiała być do tego stopnia chora, że nie mogła próbować dalej, albo straciła dziecko przez ekstrakcję i było to dla niej zbyt bolesne, by przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Brak kolejnych prób musiał oznaczać dla niej gorszą sytuację finansową. Pomyślałam, że to właśnie dlatego tak na mnie naskakuje. Cała ta sytuacja była dla niej zbyt osobista.

– To bardzo... – Elizabeth milczała przez chwilę, jakby szukała właściwego słowa, ale w końcu użyła tego samego, co zawsze; słowa, którym piętnowano w sferach wszystkie niewidzialne. – ...samolubna decyzja, nie uważasz? Biorąc pod uwagę obecną sytuację na świecie. – W jej głosie słychać było dezaprobatę. Pokręciła głową, ale w jej oczach pojawiło się coś jeszcze, jakby wstyd. Zaczęłam się zastanawiać, ile razy sama coś takiego słyszała.

– Niektórzy tak sądzą – odparłam krótko.

Drzwi windy zaczęły się otwierać i precyzyjnie się bokiem przez szparę, byle tylko przed nią uciec. Oddalając się pośpiesznie do bezpiecznej przystani swojego mieszkania, słyszałam, że wciąż coś mówi. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie plecami. Musiałam poczuć fizyczną barierę oddzielającą mnie od świata na zewnątrz.

W kolejnych dniach od czasu do czasu widywałam Marie i Leo. W holu, przy windzie albo w pobliżu budynku. Raz widziałam samą Marie popychającą wózek z Tią. Wydawało mi się, że płacze, ale gdy się jej przyjrzałam, nie byłam już tego taka pewna. Następnego dnia wypatrzyłam ją jednak siedzącą samotnie na ławce

w parku, na jednym z małych skwerów w pobliżu naszego budynku. Tym razem nie miałam wątpliwości, że na jej policzkach lśniły łzy.

Może to dlatego, że Evie i Seb dopiero co zaczęli indukcję, nie mogłam przejść obok tego obojętnie, choć w sumie nie znałam tej pary.

Tamtego wieczoru zapukałam do ich drzwi. Dobiegły mnie stłumione głosy i coś jeszcze. Krzyk, ale nie dziecka. Krzyk bólu. Albo złości.

Cofnęłam się trochę i zaczęłam się zastanawiać, czy przyjdzie tu nie było błędem. Już myślałam, żeby sobie pójść, ale wtedy usłyszałam zgrzyt zamka. Drzwi się otworzyły.

Stał w nich Leo. Jego ciemne, rozczochrane włosy sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy przy swojej i tak tyczkowatej sylwetce. Miał ponurą, zaciętą minę, jakby dopiero co usłyszał złe wieści. Gdy zobaczył, jak stoję tam i niezręcznie się uśmiecham, na jego twarzy dostrzegłam zaskoczenie, a potem ulgę.

– Cześć – powiedziałam. – Jestem Kit. Sąsiadka z dołu. W sumie się nie poznaliśmy, więc chciałam się przywitać. Więc... jak już mówiłam, cześć. – Ugryzłam się w język. – Przepraszam. Gadam bez sensu.

– W porządku – odparł Leo. Zauważyłam, że rozgląda się po korytarzu. Gdy zobaczył, że nikogo tam nie ma, spytał: – Wejdziesz na chwilę?

– Och. Nie. To znaczy... Nie chcę się narzucać. Po prostu...

– Nie ma sprawy – powiedział Leo i szerzej otworzył mi drzwi.

– Jeśli jesteś tego pewny...

– Proszę, wejdz.

Gdy tylko przekroczyłam próg, moje nozdrza uderzyła mieszanina nieświeżego mleka i pełnych toreb na brudne pieluchy, leżących na stercie przy drzwiach.

– Przepraszam za ten zapach... – Dostrzegł mój lekki grymas, choć starałam się go ukryć. Spróbował otworzyć jedno z okien, ale niemal natychmiast się zacięło i pozostało tylko lekko uchylone.

– Och, przepraszam – powiedziałam bez sensu.

Starannie zamknął drzwi, a potem wepchnął ręcznik w szparę pod nimi. Mimowolnie go obserwowałam. Wyprostował się, gdy to zauważył.

– Było kilka skarg. W związku z hałasem. – Wskazał w stronę sąsiedniego pokoju, z którego dobiegał płacz Tii. – Niewiele pomoże, mieszkamy tu jedni na drugich, ale to zawsze coś. Wszyscy nam mówili, że powinniśmy się przeprowadzić, zanim urodzi się dziecko, ale czekaliśmy na wymarzony dom i nic z tego nie wyszło. Wyprowadzimy się najszybciej, jak to możliwe... To miejsce jest naprawdę... – Urwał nagle, bo przypomniał sobie, że ja też tu mieszkam.

– Kto przyszedł? – dobiegł głos z sypialni. Marie.

– Cześć, to tylko ja – odezwałam się głupawo. – Kit – dodałam słabym głosem.

– Och. Cześć – rzuciła beznamiętnie Marie, która pojawiła się w drzwiach z Tią na rękach. Była drobna, o wiele niższa od Leo, któremu sięgała zaledwie do piersi, a stojąc obok niego, wydawała się jeszcze mniejsza. Była blada i zmęczona, jakby wykańczało ją samo noszenie Tii. Dziewczynka miała zapłakaną, czerwoną buzię, wiała się i wyginała plecy z taką siłą, o jaką trudno było posądzać to drobne ciało.

– Jesteś Marie, tak? Ja jestem Kit – powtórzyłam. Nagle poczułam się tak, jakbym brała udział w przedstawieniu i zapomniała swojej kwestii, ale nie mogłam liczyć na to, że ktoś mi podpowie, co mówić.

– Tak, już się poznałyśmy – odparła Marie i wtedy sobie przypomniałam, że naprawdę tak było. I nie było to tylko mijanie się na korytarzu albo przytrzymywanie sobie drzwi windy. Poznałyśmy się na jednym z zebrań mieszkańców, na których tak naprawdę o niczym ważnym się nie decyduje, ale jeśli akurat któreś opuścisz, uchwała się na nich coś okropnego, tak jak tamten wniosek, żeby przekształcić wspólny ogródek w kolejne miejsca parkingowe. Od tamtej pory nie opuściłam ani jednego ze spotkań. Marie przyszła spóźniona i musiała się przepychać, omijając kolana wszystkich siedzących w naszym rzędzie, żeby dotrzeć do jedyne go wolnego miejsca, znajdującego się akurat obok mnie.

Miała wtedy włosy krótko przycięte na karku i dłuższe po bokach. Były lśniąco i opadały prosto, jak firanki po bokach okna. Jej usta błyszcząły, oczy umalowała elegancko kredką, czarne ukośne linie niczym pociągnięcia artysty.

Wydawała się wśród nas nie na miejscu; nikt nie był tak elegancki i wytworny jak ona.

Zebranie zaczęło się dość przewidywalnie, od kilku skarg, na które prawie wszyscy zgodnie kiwali głowami. Popijałam z kieliszka letnie wino, które zalatywało octem i zostawiało nieprzyjemny posmak w ustach, ale picie go małymi łydkami było jedynym, co pozwalało mi nie odpływać myślami gdzieś indziej.

– Obrzydliwe, prawda? – szepnęła do mnie Marie, gdy prezes konsultował się z jakimś innym sąsiadem.

– Okropne – przyznałam, upijając kolejny łyk i wykrzywając twarz.

– Nie chodzi mi o wino! – powiedziała wesoło. – Tylko o tę całą hipokryzję. O nich wszystkich.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zaczęło się głosowanie nad odcieniem niebieskiego, na jaki konserwatorzy mają pomalować ściany korytarzy. Powaga i ceremonia głosowania przebiły wszystko.

– To ma być ważne? – spytała szeptem Marie, ale zaraz uciszyła nas sąsiadka, która sporządzała protokół.

Teraz Marie odgarnęła kosmyk pofalowanych, suchych i postrzępionych na końcówkach włosów, ale ten wciąż uparcie wracał na to samo miejsce.

Właśnie wtedy płacz Tii przeszedł w przybierający na sile wrzask. Przez moment żadne z nas się nie poruszyło. Leo spojrział na Marie, potem na mnie i znów na żonę.

Kobieta zaczęła kołysać Tię w ramionach, a ja zauważyłam, jaka jest wychudzona. W pewnym sensie jej płaczące dziecko wydawało się pulchniejsze i mające w sobie więcej sił życiowych niż ona.

– Nakarmię ją w sypialni – powiedziała Marie. Odwróciła się, żeby zamknąć za sobą drzwi, ale z Tią na rękach musiała je kopnąć. Zatrzasnęły się z hukiem.

– Przepraszam – powiedział Leo. Włożył ręce do kieszeni, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. – Jest... – doszedł do wniosku, że lepiej nie kończyć tego zdania.

– Nie masz mnie za co przepraszać.

– Nie. Po prostu... po prostu jest ciężko... o wiele ciężej niż... – Rozejrzał się oszołomiony, w poszukiwaniu czegoś, na co mógłby zrzucić winę.

– Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Naprawdę. To dlatego przyszedłam. Zastanawiałam się, czy mogłabym wam jakoś pomóc. Może robiłabym wam zakupy? Tylko powiedz, czego potrzebujecie.

– Och, to takie miłe z twojej strony. Byłoby wspaniale – powiedział szybko Leo. – Przydałaby nam się jakaś pomoc. Nasze rodziny mieszkają daleko i... – ściszył głos – Marie potrzebuje kontaktu z ludźmi. Z kimś poza mną i...

– Leo! – zawołała Marie z drugiego pokoju. – Leo, możesz tu przyjść?

Szybko ruszył do sypialni. Ich duży pokój był tych samych rozmiarów co mój, ale wydawał się znacznie mniejszy przez wszystkie zgromadzone tam rzeczy dla dziecka – muślinowe kocyki, stertę pajacyków, śmieci i worki na brudne pieluchy, matę do przewijania i pieluszki porozkładane na podłodze.

Tak długo czekałam, aż wrócą z sypialni, że zaczęłam czuć się niezręcznie. Zastanawiałam się, czy sobie nie pójść, zaczęłam się nawet rozglądać za jakąś kartką i długopisem, żeby zostawić im wiadomość i się wymknąć.

Kiedy Leo wrócił, z początku wydawało się, że zapomniał o mojej obecności, był niemal zaskoczony moim widokiem.

– Przepraszam – powiedział kolejny raz. – Karmienie. Znów było... cóż... jak pole minowe.

– W porządku... to ja przepraszam. Nie chciałam wam przeszkadzać ani...

Jego chaotyczny sposób mówienia był zaraźliwy.

W tym momencie wróciła Marie z Tią przerzuconą przez ramię. Spojrzała na mnie beznamiętnie. Uśmiechnęłam się do niej, ale wyraz jej twarzy się zmienił.

– Marie – powiedział nieco za głośno Leo – Kit mówiła, że mogłaby nam pomóc z zakupami i tak dalej. Byłoby świetnie, prawda?

Marie otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczęły jej drżeć ramiona i się rozpląkała.

– Och, Marie! – Mąż podbiegł do niej. – Już dobrze, już dobrze. – Próbował ją przytulić, ale ponieważ trzymała córeczkę, zdołał tylko niezręcznie pogłaskać ją po plecach.

– Zajrzę innym razem – rzuciłam szybko. – Ale oferta jest wciąż aktualna, jeśli tylko będziecie czegoś potrzebować. Mieszkam pod numerem 227.

– Nie idź jeszcze – poprosił Leo. – Zrobię herbatę.

– Nie, nie, w porządku. Naprawdę. Ale mogłabym tu wrócić. Jeśli nie macie nic przeciwko temu... – zwróciłam się do Marie.

Lekko pokręciła głową.

Ustaliliśmy, że Marie będzie wsuwać pod moje drzwi listę potrzebnych rzeczy, a ja będę je przynosić następnego dnia koło południa. Leo powiedział, że to dobra pora, bo pomaga rozbić dzień, kiedy był w pracy, a poza tym dzięki temu zachowamy rutynę.

– Ale nie przejmuj się za bardzo czasem – dodał uprzejmie.

Czułam jednak, że tę porę wybrała Marie, żeby móc się przygotować na przyjście gościa, i uznałam, że powinnam się dostosować.

T E R A Z

Widzę znak stacji ładowania, więc wjeżdżam i gdy tylko udaje mi się zaparkować, wybiegam z samochodu. Kiedy jestem przy wejściu, zatrzymuję się gwałtownie przed sferami. Ktoś, kto przystanął, żeby mnie przepuścić, mruczy zaskoczony.

Czekam, żeby artykuły przewinęły się kilka razy, słyszę szum sfer, ale nie dostrzegam żadnych informacji o tym, co słyszałam wczorajszej nocy.

Po jakichś pięciu minutach pędzę z powrotem do samochodu i odjeżdżam tak szybko, jak tylko się da. Gdy przechodziłam przez parking, wydawało mi się, że widzę kogoś, kto idzie w moją stronę. Choć nie miałam pewności, teraz śpieszę się jeszcze bardziej.

Robię sobie wyrzuty, że się zatrzymałam, że zmarnowałam czas, ale wiem, że jeśli dzięki temu będę mogła jakoś przygotować się na to, co mnie czeka, nie pójdzie to na marne.

Przyląpuję się na tym, że chciałabym się zatrzymywać na kolejnych stacjach, powstrzymuję się jednak i czekam, aż pokonam więcej mil. Mijam znak miasta, w którym nikt już nie mieszka; nazwę zamazano sprayem. Zjazd do niego jest zablokowany. Redystrybucja ludności napotkała pewien opór, ale nadzorcy przepchnęli ją, argumentując, że kraju nie stać na utrzymywanie tak wielu zamieszkiwanych obszarów.

Nie mogę dłużej ignorować ciężaru gęstego mleka w piersiach, zatrzymuję się na kolejnej stacji ładowania. Ugniatam piersi w toalecie, póki kapiące mleko nie zaczyna tryskać stróżkami. Jestem jak mleczna krowa, jak róg obfitości. Z każdym kolejnym uciskiem mój oddech się uspokaja. To jak bicie serca. Przestaję dopiero wtedy, gdy moje piersi nie są już nabrzmiące. Znów jestem pusta.

Potem przystaję przed sferami, a mijający mnie ludzie przechodzą obok. Nie zwracają uwagi na sfery; zupełnie jakby ich nie dostrzegali. A pojawiają się tam historie o nowych, skonsolidowanych społecznościach miejskich na północy, jest też wywiad z Theonem Brandem, obecnym przywódcą nadzorców. Wywiad został tak pocięty, że właściwie mógłby dotyczyć czegokolwiek.

Jakaś starsza para, która mnie mija, mruczy pod nosem coś o tym, co powiedział Brand, ale kiedy mnie dostrzegają, milkną oboje.

Podrywam głowę, gdy widzę twarze dzieci wypełniające wypukły ekran. Ale to tylko film BSR, kolejny materiał o nawróconych niewidzialnych i dzieciach, które teraz mają, żyjących razem w czymś, co przypomina komunę.

Odwracam się.

W T E D Y

Gdy po raz pierwszy znalazłam pod drzwiami listę od Marie, miałam problemy z jej odczytaniem. Udało mi się rozszyfrować „pieluszki”, „proszek do prania” i coś, co w końcu uznałam za „obiad”, ale to tylko nasunęło kolejne pytania. Jakiego rozmiaru pieluszek potrzebowała i czy do prania dziecięcych ubrań konieczny jest jakiś specjalny proszek? Próbowałam sobie przypomnieć, czy Evie wspominała o czymś takim. A obiad? Nie wiedziałam, czy jest coś, czego szczególnie nie lubią, czy są wegetarianami – ale Marie chyba by o tym wspomniała...

Spędziłam na zakupach za dużo czasu – koniec końców kupiłam kilka różnych rozmiarów pieluch i przeczytałam dokładnie etykiety na butelkach z detergentami, by wybrać odpowiedni – musiałam się pośpieszyć, żeby wrócić w południe. Tym razem przez drzwi słyszałam Cię nie płaczącą, tylko gaworzącą, i cichy, łagodny głos Marie.

Zapukałam, odgarnęłam ze spoconej twarzy kosmyki włosów, starając się wyglądać lepiej, niż się czułam. Marie za drzwiami nagle umilkła.

– To ja – zawołałam. – Kit – poprawiłam się. – Przyniosłam zakupy.

Przez chwilę myślałam, że Marie każe mi je zostawić na wycieracze, ale wtedy szcękniętą zamek i otworzyła drzwi.

– Cześć – powiedziałam. – Proszę. – Podałam Marie torby. Jej oczy lekko się rozszerzyły, gdy zobaczyła, ile ich jest. – Nie byłam pewna, co dokładnie mam kupić, więc przyniosłam ci kilka propozycji do wyboru – wyjaśniłam.

– Przepraszam. Nie podałam ci rozmiaru pieluszek... Ani w ogóle niczego, prawda? – powiedziała, zaglądając do jednej z toreb. – I pizza? Kurczak? Sałatka? Nie przypominam sobie, żebym to wszystko zapisywała. Może i jestem zmęczona, ale jak mogłam o tym zapomnieć?

– Na obiad...? – podsunęłam. – Trochę musiałam zgadywać, co możecie lubić, ale większość ludzi lubi przecież kurczaka. Wzięłam też pizzę, na wypadek gdyby się okazało, że jesteście wegetarianami. Chyba że... Cóż, nie musisz... Przepraszam, mogę przynieść coś innego. Musiałam się domyślać...

Marie wzięła ode mnie pogniecioną listę. Przeczytała ją i wybuchnęła śmiechem. Ten wezbrał w jej piersi i z wysiłku zaczęła sapać, co przypominało dźwięk ściskanego akordeonu.

– Oliwki! – udało jej się w końcu powiedzieć, gdy znów była w stanie mówić. – Chciałam napisać „oliwki”. Ale masz rację, wygląda to tak, jakbym prosiła cię, żebyś przyniosła nam obiad. Przepraszam. Muszę ci za to wszystko zapłacić.

– Nie, nie trzeba. Leo dał mi już pieniądze.

– Naprawdę? Cóż, w takim razie dzięki. To nam pozwoli przetrwać.

Tia trochę głośniejsz zagulgotała, jakby na potwierdzenie tych słów.

– Jak ona się miewa? – spytałam.

Marie uśmiechnęła się słabo do córeczki.

– Wejdiesz na chwilę? – zaproponowała, ale zaraz lekko zmarszczyła czoło.

Nie byłam pewna, czy równie szybko nie pożałowała zaproszenia.

– Hm... cóż, może na momencik.

Zerkałyśmy na Tię leżącą na macie. Raz po raz kopała nóżkami ze skupieniem malującym się na twarzy.

– Mamy dobry dzień – powiedziała cicho Marie, po czym pochyliła się nad córeczką i musnęła palcami jej miękkie policzki. – Mamy dobry dzień, prawda, moje kochanie?

Buzia Tii rozpoznała się na dźwięk głosu matki, a gdy poczuła jej dotyk, spojrzała na nią i jakby się uśmiechnęła.

– Uśmiecha się! – zawołałam.

– Och, nie. Wydaje mi się, że jest na to za mała. Może puściła bąka – powiedziała szybko Marie.

– Nie, nie. To było wtedy, kiedy zaczęłaś do niej mówić i dotknęłaś jej buzi, jestem tego pewna.

– Tak myślisz?

Marie znów zaczęła mówić do Tii:

– Uśmiechasz się do mnie, maleńka? Nauczyłaś się uśmiechać?

Znów dotknęła jej policzka i tym razem nie było żadnych wątpliwości.

Na buzi dziewczynki pojawił się niepewny uśmiech, a jego odbicie rozpromieniło twarz Marie.

– Naprawdę to zrobiła – powiedziała Marie. – Masz rację, uśmiechnęła się! Mądra z ciebie dziewczynka, ty moja mała śmieszko. – Znów pochyliła się nad córeczką, prawie dotknęła nosem jej nosa. – Znów to zrobiła! – Marie podniosła głowę i spojrzała na mnie. Z jej twarzy zniknęły jakiegokolwiek ślady wcześniejszych trosk i wątpliwości.

Chwilę później wyszłam i zmusiłam się, żeby kontynuować pracę przez resztę dnia, choć nie potrafiłam wyrzucić z pamięci tego obrazu: uśmiechniętej buzi Tii i rozpromienionej twarzy jej matki.

Wyczuwałam, że Marie tęskni za towarzystwem, choć równocześnie nie ma na nie ochoty, więc razem z zakupami często przynosiłam też różności, którymi mogłyśmy się podzielić – dwie bezkofeinowe kawy, torebkę ciastek – preteksty, żebyśmy mogły spędzić razem kilka chwil. Po pierwszych kilku razach wiedziałam, że ona tego oczekuje. Zaparzała dla nas herbatę w czajniczku albo mieliła kawę, jeszcze zanim przyszłam z zakupami. I tak zaczęłyśmy spędzać ze sobą coraz więcej czasu.

Zaczęłyśmy sobie ufać.

Mówiłyśmy sobie rzeczy, które próbowałyśmy ukrywać przed innymi.

– Czasem mam wrażenie, że bycie matką to tylko taka gra – wyznała mi pewnego dnia. Tia gaworzyła na swojej macie tuż obok nas i wyciągała rączki po jedną ze szmacianych zabawek wiszących nad jej główką, trącała ją z boku, żeby zabawka się obracała. – Jakby to nie było naprawdę, wiesz? Jakby to była jakaś zabawa. Nie sądziłam, że kiedykolwiek przejdę indukcyjnie. Nie sądziłam, że w ogóle to zrobię. Byłam niewidzialną. To dlatego tu mieszkamy.

Widać było, że jest zażenowana. Nigdy dotąd nie rozmawiałyśmy o mojej sytuacji.

– Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będę chciała to zrobić – przyznałam, wypełniając ciszę, jaka zapadła między nami.

– Właśnie tak się czułam – odparła Marie. – Ale pracowałam dla konglomeratu i nie mogłam już wyżej awansować, choć wiedziałam, że wykonuję

lepszą robotę niż wszyscy ci mężczyźni, których awansowali zamiast mnie. Byłam w tym dobra. Zaczęłam nawet za te same pieniądze więcej pracować, tylko dlatego że chciałam, bo wiedziałam, że potrafię to dobrze zrobić. Dotarłam do górnej granicy zarobków dla niewidzialnych. A potem... Cóż, najpierw zaczęli dawać mi najgorszą robotę, taką, której nikt inny nie chciał wykonywać. Mój szef był kompletnie niekompetentny i przez większość czasu ratowałam mu tyłek. Leo namawiał mnie, żebym odeszła, spróbowała czegoś innego. I tak zrobiłam. Zaczęłam od nowa w innej firmie. I właściwie skończyło się tak samo. Nie mogłam powtarzać tego w nieskończoność. Tym razem Leo zaproponował, żebyśmy poddali się indukcji. Z początku nie chciałam tego robić, ale w końcu nie miałam innego wyboru... Żle to zabrzmiało. Rzecz nie w tym, że Leo mnie do tego zmusił. Po prostu... nie widziałam innego sposobu.

Oddychałam z trudem. To, co mówiła Marie, było zbyt bliskie myślom, które krążyły mi po głowie wcześniej rano, kiedy nie mogłam spać. Choć nie chciałam mieć dziecka, to z powodu limitu zarobków, niskiego kredytu mieszkaniowego, pomruków i ciętych uwag zaczynałam odczuwać coraz większą presję. W sferach często wspominało o tym, jak bardzo indukcje w Wielkiej Brytanii różnią się od tych przeprowadzanych w innych miejscach na świecie, gdzie dziewczęta w okresie dojrzewania, właściwie jeszcze dzieci, przymusowo zabierano do obozów indukcyjnych za granicą. Albo o kobietach, które umierały po kolejnych obowiązkowych indukcjach. Tutaj wciąż same musiałyśmy się na nie zgadzać. Nadzorca twierdził, że nasz współczynnik indukcji jest jednym z najwyższych na świecie, ponieważ kobiety mają wybór. A jednak w rzeczywistości wcale nie czułam, że go mam. Czułam, że wszystkie byłyśmy powoli spychane na tę drogę, czy tego chcieliśmy, czy nie.

Zmusiłam się, by znów skupić myśli na Marie. Słowa płynęły z jej ust, jakby przynosiło jej to ulgę albo jakby to była jakaś spowiedź.

– Zaczęliśmy. A potem, zanim się zorientowałam, procedura była już w toku. Czułam się jak we śnie, z którego nie mogłam się obudzić. Nagle wszystko działo się tak szybko. Zaczęłam brać leki i ledwie byłam w stanie po nich funkcjonować. Zupełnie się w tym zagubiłam, nie pamiętałam nawet, po co to robiłam. Po tym wszystkim, co widzimy w sferach, brzmi to jak jakieś szaleństwo, prawda?

A teraz, gdy dotarliśmy do tego punktu, gdy już nam się udało, nie radzę sobie zbyt dobrze. Po prostu udaję, że jestem mamą, ale nic z tego nie jest prawdziwe.

– To musi być niesamowicie przytłaczające. Dawniej też czułam, że tylko kogoś udaję. Wielu ludziom się to zdarza. Jak się to mówi? Udawaj, aż sam w to uwierzysz. Chyba tkwi w tym ziarno prawdy.

– Ale na ulicy widuję inne matki. Wydają się takie poukładane. Zawsze są takie pewne tego, co robią. Wolałabym nikogo nie spotykać, ale odradza się nam takie zachowanie. Słyszałam, że za przesadne izolowanie społeczne można dostać NSR. Dlatego zmuszam się, żeby co tydzień chodzić z innymi rodzicami na plac zabaw. Oni wszyscy są tacy pewni siebie. I zupełnie jakby wyczuwali, że ja taka nie jestem. Jedna z matek zaczęła mi udzielać rad. Upierała się, żeby wysyłać na moją mobilną sferę wszystkie te artykuły. Jestem pewna, że chciała dobrze, ale przyniosło to tylko poczucie beznadziejności i złości. No wiesz, wszyscy inni nie tylko sobie radzą, ale są w tym perfekcyjni.

– Jesteś pewna, że są? Pamiętaj, że widzisz tylko to, co na zewnątrz, nie wiesz, co myślą i czują. A ta kobieta, która zaczęła ci udzielać rad... Wydaje mi się, że sama próbuje sobie w ten sposób coś pokazać. Może oni wszyscy ukrywają, co tak naprawdę czują?

– Staram się, jak mogę. Ale co, jeśli to nie wystarczy? Po prostu jestem pewna... – Marie się rozplakała. Pozwoliła, by łzy swobodnie spływały po jej policzkach. Potem usiadła wyprostowana i wytarła twarz. Spojrzała hardo w dal, a mnie przypomniała się kobieta, którą poznałam na zebraniu mieszkańców wiele miesięcy wcześniej. – Jestem pewna, że mi ją odbiorą.

– Nie wiesz tego. Dobrze sobie radzicie. Wszyscy troje.

Ale Marie skuliła się, jakby przytłaczał ją jakiś wielki ciężar.

– Od ekstrakcji dzieli nas już tylko jeden punkt, Kit. Tylko jeden NSR. – Wiedziałam, że otrzymali ich już kilka. Posypały się jeden po drugim, począwszy od tamtego dnia, kiedy zobaczyłam Marie płaczącą na ławce. – Ale z drugiej strony... o Boże, nie wierzę, że ci to mówię, ale czasem myślę, że byłoby dla niej lepiej, gdyby ją zabrali. W kompleksach lepiej by się nią zajęli. Słyszałam, słyszałam... – Marie rozejrzała się po pokoju, jakby sprawdzała, czy jesteśmy same, a potem spojrzała na córkę. – Słyszałam, że niektóre pary celowo starają się dostać NSR. Kiedy się orientują, że popełniły błąd. Kiedy dotrze do nich, że

sobie nie poradzą, że nie dadzą rady być rodzicami. Wiedzą, że kompleksy byłyby dla ich dziecka lepszym miejscem.

– Celowo?

– Dla dobra dziecka. Zanim stanie mu się krzywda. Żeby zapewnić mu lepsze życie. – Marie intensywnie wpatrywała się w Tię. – To ma sens, prawda? Tak naprawdę robią to z pobudek altruistycznych.

Choć widziałam kompleksy na niezliczonych filmach wyświetlanych w sferach, dotarło do mnie, że nigdy tak naprawdę nie poznałam nikogo, kto by się tam wychował. A może znałam? Może ludzie woleli zachować taki szczegół dla siebie. Może wbrew wszystkiemu, co nam mówiono, to wcale nie były najlepsze możliwe miejsca dla dzieci po ekstrakcji. Zastanawiałam się, czy nie zapytać Marie, co wie o kompleksach, ale widziałam, że chce mi powiedzieć o czymś jeszcze.

– Czasem mam takie myśli, jakby coś szeptało mi w głowie... Co by było, gdybym teraz ją upuściła? Co by było, gdybym przestała ją karmić, gdybym po prostu pozwoliła jej krzyczeć? Oczywiście tego nie robię, ale myślę o tym, Kit. To chyba nienormalne, prawda? I kiedy o tym myślę, wiem, że zasługuję na NSR. Dostaliśmy te punkty, bo nie byliśmy dość dobrzy. Nie powinniśmy byli zostawać rodzicami.

– Nie wierzę w to – odparłam. – Widzę, jaka dla niej jesteś. Kochasz ją, a ona kocha ciebie. Nikt nie jest w stanie obdarzyć jej takim uczuciem jak ty i Leo. Te myśli, które przychodzą ci do głowy, to coś innego. Depresja, zmęczenie albo to, że tak bardzo się starasz. Poza tym żadnej z tych myśli nie zrealizowałaś, prawda? To jest najważniejsze.

Marie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwało jej pukanie do drzwi.

Było tak głośne i tak nagłe, że gdy ustało, zastanawiałam się, czy nie było tylko wytworem naszej wyobraźni.

Ale po chwili znów rozległo się wściekłe łomotanie, od którego drzwi aż zadrżały.

– Spodziewasz się...?

Marie kurczowo ścisnęła moje ramię.

– To oni – powiedziała. – Przyszli ją zabrać.

Znów rozległo się pukanie.

– Co mam robić? Nie mówiłam tego poważnie. Nie chcę, żeby ją zabrali, nie chcę... – Jej głos był drżący i piskliwy.

– Oczywiście. Wiem o tym.

– Co mam robić, Kit? Co mam robić? – Mocniej ścisnęła moje ramię. Nie przypuszczałam, że ma tyle siły.

Przez głowę przemknęła mi setka scenariuszy. Że na progu stoi tylko nasza sąsiadka Elizabeth. Albo że to funkcjonariusze BSR, ale zabarykadowaliśmy drzwi i Marie z Tią udało się uciec przez okno i jakimś cudem nie poraniły się, spadając. Albo że pukanie ustało, a my dalej pijemy małymi łyчками herbatę z uśmiechniętą Tią bawiącą się na macie, bezpieczną pod naszą opieką.

Ale żaden z nich nie był prawdziwy.

T E R A Z

Moje oczy zamykają się na chwilę dłuższą niż mrugnięcie: widzę matę do zabaw, słyszę cichy chichot.

Podrywam głowę. Ten ruch mnie budzi.

Widzę przed sobą drogę, twardą i nieubłaganą, próbuję wyprostować plecy, szerzej otworzyć oczy. Staram się nie myśleć o tych godzinach, które spędziłam już dziś za kierownicą, ani o odległości, którą wciąż muszę jeszcze pokonać.

Mężczyzna, którego spotkaliśmy, mówił, że to możliwe. Że możemy uniknąć schwywania, jeśli będziemy trzymać się z dala od głównych szlaków i poruszać się ostrożnie wiejskimi drogami, omijając najgęściej zamieszkane tereny. To było wykonalne. W sferach nie będzie o nas żadnego ogłoszenia, bo nie chciano, by ludzie się dowiedzieli, że jakaś rodzina ucieka przed BSR. Oczywiście zawsze istniało ryzyko, że nas złapią, ale byliśmy dobrze przygotowani, nauczyliśmy się trasy, zmienialiśmy pojazdy, nie zostawialiśmy śladów. Wiedzieliśmy, które samorzady mają mało środków, co ograniczało ryzyko trafienia na punkty kontrolne.

Nie mogę pozwolić, żeby wszystkie te przygotowania poszły na marne tylko dlatego, że zasnęłam za kierownicą.

Muszę się rozbudzić. Albo odpocząć.

Skrećcam w zjazd, a potem jadę nieużywanymi drogami po popękanych, zarosniętym chwastami asfalcie. Są tu puste parkingi i opustoszałe budynki, które przez tę chwilę wydają się piękne i zapraszające, oświetlone złocistymi promieniami słońca. Jest tu dawne centrum handlowe, spłowieiałe szyldy dalej wiszą na swoich miejscach, ale wydają się tak delikatne, jakby mogły się zerwać pod najlżejszym dotknięciem. Jest późny sobotni ranek i przez chwilę się zastanawiam, jak to miejsce wyglądało kiedyś, pełne samochodów, ludzi i gwaru.

Wjeżdżam na jedno z miejsc parkingowych, ignorując zakazujące mi tego znaki.

Jest sposób, by opuścić moje siedzenie niemal do poziomej pozycji, ale nie potrafię znaleźć dźwigni. Odsuwam od siebie myśl, że Thomas znalazłby ją natychmiast. Zamiast tego wpełzam na tylne siedzenie. Wciskam stopy w drzwi samochodu, bo nie ma miejsca, żebym mogła porządnie wyprostować nogi i w tej niewygodnej pozycji niemal natychmiast zasypiam.

Nic mi się nie śni. Albo nie pamiętam snów.

Nie mam jak nastawić budzika. Mam nadzieję, że moje ciało będzie odpoczywać tylko tyle, ile to konieczne, i że wkrótce się obudzę. Nie chcę tracić czasu. To wyścig, tak to przynajmniej odbieram, ale jeśli będę miała wypadek, nigdy nie dotrę do mety.

Umysł zmusza mnie do snu. Wyłącza mnie, odcina od działania. Dzięki temu nie muszę myśleć o Thomasie. Nie spędzam całego dnia, zastanawiając się, co robi, teraz, gdy już zorientował się, że mnie nie ma. Nie wyobrażam sobie jego narastającego niepokoju, kiedy nie wracam. Nie myślę o tym, jak w porze lunchu chodzi tam i z powrotem po mieszkaniu, zastanawiając się, czy powinien wyjść, bo mogłabym wrócić i nikogo nie zastać.

Thomas będzie szukał liściku, jakiejś wskazówki, co zamierzam zrobić. Będzie analizował to, jak się wczoraj zachowywałam. Czy poprzedniego wieczoru wydarzyło się coś niezwykłego, coś, z czym mógłby to powiązać? Nie widział jednak tamtych nagłówek w sferach na stacji lądowania; nie ma pojęcia o tym, co ja wiem.

W T E D Y

Marie odwróciła się do mnie i tak mocno ścisnęła mi rękę, że czułam, jak w tętnicach pulsuje mi krew.

Znów usłyszałam jej słowa.

– Co mam robić, Kit?

Zamarłam w panicznym przerażeniu. Nie znałam odpowiedzi, nie mogłam wyczarować planu.

Marie chwiejnie wstała, żeby otworzyć drzwi.

– Marie Rachel Trevers, matka Tii Loli Trevers-White? – spytał kobiecy głos. Lekko się zawahał, zdaje się, że nie był przyzwyczajony do mówienia w taki sposób.

Chciałam coś zrobić, cokolwiek, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz przyszedłam do Marie i Leo. Zsunęłam się z krzesła na podłogę i usiadłam obok Tii. Dziewczynka z uwagą przyglądała się owieczce wiszącej nad jej głową. Krzyknęłam głośno do Marie:

– U Tii wszystko dobrze, Marie, pilnuję jej.

– Ktoś tu jest z panią? – spytał głos.

– Moja przyjaciółka – odparła Marie i zerknęła w moją stronę, jakby sprawdzała, czy nie jestem tylko wytworem jej wyobraźni.

– Co robi?

– Zajmuje się ze mną Tią.

– No tak – odparł głos, w którym słychać było lekkie poirytowanie. – Czyli ktoś pilnuje dziecka, kiedy pani otwiera nam drzwi?

– Tak – potwierdziła Marie. – Oczywiście.

– Wchodzimy do mieszkania. – W głosie nie było już tej niepewności. Zobaczyłam, że należała do starszej kobiety w okularach. Trzymała podkładkę do

pisania i podejrzliwie rozglądała się po mieszkaniu. Gdyby nie okoliczności, wyglądałaby zupełnie niegroźnie, jak ktoś, za kim nawet byś się nie obejrzał na ulicy. Za nią stało dwóch funkcjonariuszy, obaj w mundurach, których nigdy dotąd nie widziałam. Młodzi mężczyźni wyglądali, jakby chełpili się swoją fizyczną sprawnością. Choć jeden był znacznie wyższy od drugiego, byli do siebie tak podobni, że zastanawiałam się, czy nie są przypadkiem braćmi.

– Kim pani jest? – spytała mnie kobieta.

– Nazywam się Kit Moss. Jestem przyjaciółką Marie. I jej sąsiadką. – Kobieta zanotowała coś na podkładce i kiwnęła głową. – A pani kim jest? – spytałam.

– Słucham? – Była niemal rozbawiona.

– Spytałam, kim pani jest. Nie przedstawiła się pani ani mnie, ani mojej przyjaciółce.

– Przecież to oczywiste, kim jesteśmy. – Machnęła mi przed oczami kartą zawieszoną na szyi. Widniały na niej zapisane prostą niebieską czcionką litery: BSR.

– Nie o to mi chodziło. Ja jestem Kit, a to jest Marie. A pani jak się nazywa?

– To nieistotne – odparła. Poczułam się, jakby uderzyła mnie w twarz.

– Że co proszę?

Marie dotknęła mojej ręki i szepnęła błagalnie:

– Kit, nie...

– Jestem funkcjonariuszką BSR i moja tożsamość nie ma znaczenia w tej... – z ledwie skrywanym wstrętem obrzuciła wzrokiem mieszkanie, Marie i Tię – sytuacji. Pani Trevers, na pewno zdaje sobie pani sprawę, że otrzymała pani sześć NSR-ów w ciągu ostatnich pięciu miesięcy i pani dziecko jest ściśle monitorowane pod kątem ekstrakcji. Ponieważ tak bardzo zbliżyła się pani do dopuszczalnego limitu, nadaliśmy pani dziecku status WCN, „wymagające ciągłego nadzoru”. W związku z tym może się pani spodziewać takich niespodziewanych wizyt o każdej porze dnia i nocy.

– Niezapowiedzianych wizyt?

– Pełne przeszukanie domu, którym w tej chwili zajmują się moi koledzy, badanie podmiotu oraz wywiad z funkcjonariuszem BSR, który niniejszym rozpoczynam. Może mi pani powiedzieć, kiedy ostatni raz dziecko było karmione?

Marie spojrzała na mnie wielkimi oczami. Z sypialni zaczęły dobiegać głuchoe odgłosy i dudnienie – mężczyźni rozpoczęli już przeszukiwanie mieszkania.

– Karmiłam ją... ostatnie karmienie było, było... – Marie zaczęła się jąkać.

Funkcjonariuszka zanotowała coś na podkładce.

– To było zaraz po moim przyjsciu, prawda, Marie? Zawsze zaglądam do ciebie... – udało mi się powiedzieć, zanim przerwał mi wrzask:

– To wywiad wyłącznie z rodzicami! Proszę poczekać w drugim pokoju, pani... – zerknęła do swoich notatek – pani Moss.

Przez chwilę nie ruszałam się z miejsca. Funkcjonariuszka krzyknęła do swoich kolegów:

– Proszę zaprowadzić panią Moss do sypialni!

– W porządku, już idę – powiedziałam i ruszyłam do drzwi.

Usłyszałam jeszcze, jak Marie mówi:

– W południe. Ostatni raz karmiłam ją w południe. Za niecałą godzinę ma być znów karmiona.

Czekałam w sypialni. Przy drzwiach stało dwóch mężczyzn, którzy pilnowali mnie albo Marie, ale tego nie potrafiłam zgadnąć.

Kiedy tak stałam w sypialni Marie i Leo, nagle zrobiło mi się okropnie zimno. Słyszałam wznoszące się i opadające głosy w pokoju obok, ale nie docierały do mnie żadne słowa. Ciągnęło się to bez końca i choć z całych sił pragnęłam, by Marie udało się znaleźć właściwe odpowiedzi, wiedziałam już, że to koniec. Wiedziałam to od chwili, kiedy się zjawili. Zamierzali zabrać Cię, a decyzja ta zapadła na długo przed wejściem do mieszkania, zanim jeszcze zapukali do drzwi. Wizyta była jedynie pretekstem, by zrobić to, co było już postanowione.

Usłyszałam przez ścianę szloch Marie i zapytałam jednego z mężczyzn, czy mogę do niej pójść.

– Informowaliśmy już o tym. Wywiad jest tylko dla rodziców.

– A co z ojcem Tii? Powinien przecież przy tym być, prawda? Pracuje tylko dwadzieścia minut drogi stąd. Nie powinniście się z nim skontaktować?

Widziałam, że trafiłam w czuły punkt. Spojrzeli po sobie ukradkiem, jakby przekazywali sobie jakąś tajną wiadomość.

– No dobra, idź ją zapytaj – powiedział ten niższy do kolegi.

Drugi mężczyzna zapukał do drzwi dużego pokoju, ale nie usłyszał odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz.

– Wejść!

Zostawił za sobą otwarte drzwi, więc słyszałam ochryple łkanie Marie i urywki tego, co mówiła.

– Zrobimy wszystko, czego tylko zechcecie – zapewniała. – Proszę, nie róbcie tego. – Jej słowa przerywały szloch.

Potem dobiegł do mnie cichy szept rozmawiających funkcjonariuszy; tak cichy, że wyobraziłam sobie, że musiał mówić jej do ucha. I wesołe gaworzenie Tii, niemającej pojęcia, czego jest świadkiem.

Mężczyzna niemal natychmiast wrócił i spojrzał mi obojętnie w twarz.

– I jak? Mam zadzwonić do Leo? – Sięgnęłam do torebki, szukając w niej swojej mobilnej sfery. Zaciśnęłam na niej dłoń.

– Nie – odparł z lekko kpiącym uśmiechem. Pochylił się do kolegi i wypowiedział dwa słowa: – Nowe przepisy.

Po chwili mężczyźni zostali wezwani do dużego pokoju, a ja zostałam sama przy łóżku. I wtedy usłyszałam krzyki. Nie było już nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać.

Wbiegłam do pokoju i zobaczyłam, że obaj trzymali Marie za ramiona, podczas gdy kobieta schylała się, by podnieść Cię z maty.

– Zdjąć jej opaskę – poleciła mężczyźnie i podała mu skaner. Przysunął go do nadgarstka Marie. Bransoletka, którą nosiła od dnia narodzin Tii, identyfikująca ją jako matkę dziewczynki, spadła na podłogę.

– Czy Tia jest szczególnie przywiązana do którejś zabawki? Do czegoś, co mogłaby ze sobą zabrać? – spytała funkcjonariuszka.

Marie spojrzała w górę i nagle znieruchomiała. Rozejrzała się z rozpaczą po pokoju.

– Jej króliczek. Weźcie jej króliczka.

Funkcjonariuszka podniosła małego szarego króliczka leżącego obok maty. Miał miękkie pluszowe futerko i uszy podszyte tkaniną w kwiatki.

– Tego?

Marie kiwnęła głową i zagryzła wargę, po jej twarzy spływały łzy.

Potem funkcjonariuszka BSR bez słowa wyszła z mieszkania, niosąc na rękach Cię, spoglądającą ponad jej ramieniem. Zobaczyłam małą, zdeorientowaną twarzyczkę. Dolna warga dziewczynki wysunęła się odrobinę. Zadrżała, a potem, jakby Tia uświadomiła sobie, co się dzieje, zanosła się od płaczu. Jej usta wygięły się w podkówkę, policzki się nadęły, w oczach zalśniła rozpacz. A potem znikła za drzwiami i już jej nie było.

Mężczyźni trzymali Marie jeszcze przez dwadzieścia minut. W końcu się poddała, ucichła i bezwładnie osunęła się na podłogę. Oni zaś odeszli, dopiero gdy zupełnie straciła wolę walki i przestała się ruszać.

Natychmiast po ich wyjściu zadzwoniłam do Leo. Zjawił się niedługo po moim telefonie i zostawił ich samych. Oboje leżeli na podłodze, jakby byli do niej przyklejeni, jakby krzesła i sofy były dla nich teraz zbyt wygodne, zbyt cywilizowane. Chwiejnym krokiem wróciłam do siebie i padłam na łóżko. Zobaczyłam jeszcze na swojej mobilnej sferze wiadomość od Evie.

Zaczęła brać leki przed indukcją.

T E R A Z

Być rodzicem to znaczy jeść jedną ręką, zachłannie wykorzystując te kilka chwil, które masz dla siebie. Jedzenie jest czymś, do czego nie mogę się przyzwycząić, teraz, gdy nie ma Mimi.

Żołądek mi się skręca. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam coś w ustach i czy w samochodzie jest coś do jedzenia.

Przypominam sobie, że Thomas kupił coś poprzedniego wieczora, i gdy otwieram schowek, widzę w nim dwie tabliczki czekolady.

Rozpakowuję jedną i odgryzam tak wielkie kęsy, że aż nie mieszczą mi się w ustach. Czekolada jest nadziewana nugatem, więc muszę się napracować, intensywnie przeżuwać, żeby ją przełknąć. Wypełnia mi usta przyjemną słodyczą. Przypominam sobie o niedopitej butelce wody, która turlała się z tyłu, i zaczynam szperać pod siedzeniami. Gdy zaciskam na niej palce, napełnia mnie dziwne uczucie triumfu. Piję powoli, małymi łyżkami. Woda nie jest zbyt świeża, ale wypijam ją do ostatniej kropli.

Drzwi samochodu otwierają się ze skrzypieniem, jakby dopiero się budziły, podobnie jak ja. Wita mnie podmuch świeżego powietrza. Jest dopiero wczesne popołudnie, więc nie spałam zbyt długo.

Poruszam się sztywno, małymi kroczkami; nogi jeszcze nie doszły do siebie po tamtej wymuszonej pozycji. Przeciagam się, ale płaszcz krępuje mi ruchy. Zdjęłabym go, gdyby nie to, że pod spodem mam tylko piżamę. Czuję jej aż nazbyt miękki dotyk na skórze i nagle chodzenie w niej wydaje mi się nie do zniesienia. Po nocy i dniu w tych samych ubraniach roztaczam wokół siebie lekko zatęchłą woń.

Uruchamiam silnik i wracam na drogę. Nadrabiam czas, który straciłam na sen, wyprzedzam inne samochody, wciskam pedał gazu, tak że silnik zaczyna

ryczeć. Brzmi, jakby się męczył, jakby coś było z nim nie tak, mimo to prę naprzód.

918. NNW 1HW.

Po jakimś czasie przypominam sobie, że nie mogę zostać na tej trasie. Na granicy miasta niemal na pewno będą patrole. Lawiruję bocznymi drogami, wyboistymi, wąskimi od przerośniętych krzaków na poboczach jednopasmówkami. Niewielu ludzi z nich jeszcze korzysta. Nigdy wcześniej nie jeździłam po takich drogach. Byłam niemal zaskoczona, gdy powiedziano nam, że można się nimi wymknąć BSR. Wiedzieliśmy, że wciąż istnieje ryzyko, że można zostać złapanym, ale jak dotąd się udawało i w tej chwili też stopniowo posuwam się naprzód.

W miarę jazdy wskaźnik poziomu naładowania baterii pokazuje coraz niższą wartość. Obliczam, że wystarczy, żeby dotrzeć do celu i przejechać jeszcze kawałek, zanim będę musiała zatrzymać się na stacji. Na wszelki wypadek mam w kieszeni pieniądze. To podejmowanie kolejnego ryzyka, ale jestem spokojniejsza o logistykę.

918. NNW 1HW.

Mam wrażenie, że od chwili, gdy uciekłam od Thomasa, upłynęło znacznie więcej czasu niż tylko kilka godzin. Że mogło się to wydarzyć miesiąc temu albo i dawniej. Nie mogę uwierzyć, że to wciąż ten sam dzień. Oprócz postoju w celu zerknięcia do sfer, i szybkiej drzemki cały czas jadę. Brnę naprzód, poruszam się po ostrej, wznoszącej się na ukos linii prowadzącej przez jakieś wsie.

918. NNW 1HW.

Gdy widzę znak z nazwą miasta, w którym nigdy dotąd nie byłam, jest już dobrze po południu. Zbliżam się do zjazdu i gdy odczytuję nazwę, zapiera mi dech w piersiach.

Łapię oddech, ale to nie zaskoczenie, tylko uczucie, jakby nagle przesyłał mnie ból, pozostawiający głęboką ranę.

W T E D Y

Następnego dnia obudziłam się z tęym silnym bólem brzucha, który sprawiał, że chodziłam skulona, z plecami wygiętymi w łuk.

Wróciłam do Marie i Leo najszybciej, jak mogłam, ale nic ze sobą nie zabrałam. Nic, co mogłoby sugerować, że da się poprawić im nastrój. Tylko siebie. Nikt jednak nie otworzył mi drzwi, choć słyszałam, że ktoś jest w mieszkaniu. Po blisko godzinie oczekiwania w nadziei, że się na nich natknę, pokonana wróciłam do siebie.

W szufladzie biurka znalazłam blok papieru – nawet nie pamiętałam, kiedy go kupiłam – i zaczęłam do nich pisać. Napisałam im, tak jak tamtego pierwszego dnia, że jestem gotowa zrobić wszystko, żeby im pomóc, cokolwiek, czego będą potrzebować. „Mam nadzieję”, napisałam, ale potem moje słowa natrafiły na pustkę. Nie mogłam dać im nadziei. Były inne rzeczy, które mogłabym napisać, rzeczy podłapane ze sfer, na przykład to, że mogliby spróbować jeszcze raz. Że istnieją badania wskazujące, że ekstrakcja jednego dziecka często prowadzi do bycia lepszym rodzicem dla kolejnego. Istniało wiele dowodów zachęcających do wielokrotnych indukcji, a ekstrakcja nie wykluczała zatrzymania przy sobie kolejnych dzieci.

Wyrzuciłam jednak ten list i napisałam inny, o wiele krótszy: że o nich myślę i jeśli mogłabym im w jakikolwiek sposób pomóc, wystarczy, że do mnie zadzwonią. Wsunęłam kartkę pod ich drzwi i przez jakiś czas czekałam, żeby zobaczyć, czy ktoś ją zabierze. W końcu sobie poszłam.

W następnym tygodniu Elizabeth, płomiennoruda sąsiadka, którą poznałam w windzie, powiedziała mi, że się wyprowadzili.

– Słyszałam, że poddano ją ekstrakcji. I że nie mogli znieść przebywania w tym samym miejscu. Zauważyłaś coś?

Zamiast potwierdzić czy zaprzeczyć, spojrzałam jej prosto w oczy.

Popatrzyła na mnie spod tych swoich wielkich zapadniętych powiek. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, że jej ręce ciągle leciutko drżały i że była bardzo drobna. Jej skóra zdawała się naciągnięta na wąty szkielec. W jej wścibskim spojrzeniu kryło się też coś czulego, coś w rodzaju smutku.

– Byłam przy tym – powiedziałam. – Byłam z Marie, kiedy zabrali Cię.

– Słyszałam, że im pomagałaś.

Znów popatrzyła jej w oczy.

– To było... straszne.

– Zawsze tak jest.

Jej słowa zawisły w powietrzu jak nitka pajęczyny, kołysząca się i delikatna, niemal nieuchwytna. Musiała to powiedzieć bez zastanowienia, bo zaraz pośpiesznie dodała:

– Oczywiście, jeśli nie spełnia się standardów, nie ma dla dziecka lepszego miejsca niż kompleksy. Udogodnienia, jakie tam mają, dostęp do edukacji, to naprawdę jest najlepsze dla dziecka. Nie da się tego obejść. Każde dziecko, które rodzi się w dzisiejszych czasach, musi mieć najlepszy możliwy start. Czy wspominali, gdzie one są obecnie ulokowane?

Wzruszyłam ramionami i pozwoliłam Elizabeth gadać dalej. Nie było wiadomo, gdzie się znajdują, ale słyszałam plotkę, że specjalnie do tego celu przystosowano wyspę Wight.

– Gdziekolwiek są, jest tam mnóstwo zieleni. To po prostu najlepsze miejsce. Cóż, mam nadzieję, że znów spróbują – ciągnęła. – Następnym razem może, może... zostanie z nimi. – Lekko pokręciła głową, niezręcznie dopowiadając ostatnie słowa.

Reszta jazdy windą upłynęła w milczeniu.

Zastanawiałam się, czy nie spróbować dowiedzieć się, dokąd się przenieśli. Myślałam o tym, jak mogłabym ich namierzyć, ale równie szybko porzucałam te pomysły. Co bym im powiedziała? Co mogłabym powiedzieć, żeby poczuli się lepiej? Może lepiej było zrobić to co oni i iść dalej? Co dobrego mogło wyniknąć z dalszego rozprawiania o tym?

Evie była jedyną osobą, która dostrzegła, że coś mnie dręczy. Zajrzała do mnie po badaniach kontrolnych i wizycie u lekarza.

– Wszystko w porządku? – spytała, lekko unosząc brwi.

Od naszego ostatniego spotkania przybrała na wadze. Jej skóra wydawała się bledsza i ciągle opierała rękę na lekko sterczącym brzuchu w luźnych spodniach, w których nigdy dotąd jej nie widziałam. Powiedziała, że zaczęła brać leki w związku z indukcją i że zaczęły już na nią działać, ale gdy ją spytałam, jak się czuje, zbyła moją troskę machnięciem ręki i dalej wypytywała o mnie.

Szybko ściągnęłam sweter, który nosiłam przez ostatni tydzień, bo zauważyłam na nim plamę z przodu.

– Zrobię kawę – powiedziałam, ruszając w stronę kuchni.

– Masz może świeżą miętę? Odstawiłam kofeinę.

– Jasne. To znaczy... nie... ale mam gdzieś miętę w torebkach.

Zaczęłam przeszukiwać szafkę i głośno zakląłam, gdy wysypałam na podłogę ryż z otwartej torebki.

– Daj, ja to zrobię – powiedziała Evie. – To przeze mnie musisz wszystko przewracać do góry nogami. – Spróbowała się pochylić, ale jęknęła cicho i znów chwyciła się ręką za brzuch.

– Na pewno dobrze się czujesz? Może powinnaś usiąść.

– Nic mi nie jest – wydusiła przez zaciśnięte zęby. – Lekarz uprzedzał, że mogę się tego spodziewać. Jeśli mi się pogorszy, mam się zgłosić. Daj, pomogę ci.

– Nie, ja to zrobię. To mój bałagan.

Evie nie odpowiedziała i wyciągnęła do mnie rękę. Jej dłoń była chłodna, miękka i pachniała perfumami. Stałyśmy tak przez kilka chwil, trzymając się za ręce i lekko nimi kołysząc, jak robiłyśmy to w dzieciństwie.

– Co się dzieje? – spytała Evie.

Do oczu napłynęły mi łzy. Gdy tylko usłyszałam, jaka jest szczęśliwa, kiedy opowiadała mi, że zaczęła brać leki w związku z indukcją, postanowiłam, że nie powiem im, co się stało z Leo, Marie i Tią.

Pokręciłam głową.

– Daj spokój, Kit. Musisz mi powiedzieć. Zaczynam się martwić.

– Nie musisz, to nic takiego. Nic mi nie... – zaczęłam mówić, ale nie byłam w stanie dokończyć.

– Och, Kit, co się dzieje? – zawołała Evie i tak mocno mnie do siebie przytuliła, że przez chwilę byliśmy jedną istotą, znów połączoną, wreszcie kompletną. Nie chciałam wypuścić jej z objęć.

– Proszę, powiedz mi, co cię tak zdenerwowało.

Opowiedziałam jej dość ogólnie, co się wydarzyło, ale Evie drażyła, dopóki nie opowiedziałam jej o każdym drastycznym szczególe: bezdusznej brutalności funkcjonariuszy BSR, bólu i rozpaczony Marie.

– Nie chciałam ci mówić, skoro przez to teraz przechodzisz. Poza tym z wami tak nie będzie. Wiem, że nie – dodałam z przekonaniem.

– Możliwe, że będzie, Kit – powiedziała powoli Evie.

Wydawało się, że samo wypowiedzenie tych słów ją wyczerpało.

– Nam też może się to przydarzyć. Wiemy, że jest taka możliwość. Zawsze wiedzieliśmy. Wszyscy o tym wiedzą. Starasz się, ciężko pracujesz i robisz wszystko, co w twojej mocy, by tak nie było, ale zawsze istnieje ryzyko... W świecie, w którym żyjemy – dokończyła.

– Po prostu nie chciałam, żebyś zaczynała indukcję, słysząc coś takiego.

– Szczerze, Kit, gdybyśmy nie usłyszeli o tym od ciebie, ktoś inny by nam powiedział.

– Ale nikt o tym nie mówi, prawda? To znaczy... rozmawiamy o tym tylko dlatego, że jesteśmy same, jesteśmy siostrami i zmusiłaś mnie, żebym ci powiedziała.

Wtedy Evie się roześmiała, ale widziałam, że też ma łzy w oczach.

– Słuchaj, ekstrakcje się zdarzają. Tak już jest. Nie ma nic, co mogłybyśmy zrobić, żeby to zmienić. Po prostu przykro mi z powodu twoich przyjaciół.

– Czy... czy słyszałaś kiedyś o dzieciach wracających po ekstrakcji? – spytałam. Spojrzałam na nią z nadzieją, chociaż znałam odpowiedź.

– Wracających do rodziców? Cóż... było coś o tym w sferach. Ale kompleksy naprawdę zapewniają dzieciom najwyższy standard życia...

Znów mnie przytuliła, więc nawet nie musiała kończyć tego zdania.

Na zawsze. Dzieci po ekstrakcji już nie wracają.

– Uch! Napiłabym się czegoś mocniejszego – powiedziała.

– Mam trochę whisky.

– Przez jakiś czas nie będę mogła pić.

– Będzie warto – powiedziałam i uśmiechnęłam się słabo.

– Tak, będzie warto. Bez względu na to, co się stanie. Będziemy na to gotowi, bo mamy ciebie, tatę i rodzinę Seba. A przecież o to w tym wszystkim chodzi, prawda? O rodzinę.

Potwierdziłam kiwnięciem głowy. Potem posprzątałyśmy rozsypany ryż i napiłyśmy się herbaty, na którą Evie do mnie przyszła.

Jeszcze przez długie miesiące w różnych zakamarkach kuchni znajdowałam jakieś zagubione ziarenka ryżu. Aż w końcu przestałam je podnosić.

T E R A Z

Przechodzę obok dwóch kobiet pochylających się niżej i niżej nad granatowym daszkiem wózka, w miarę jak leżące w nim dziecko coraz bardziej kwili. Kiedy je mijam, sztywnieją.

Odwracam wzrok i spoglądam na zaparkowane samochody. Wreszcie dojechałam na miejsce.

Przede mną wznosi się wielki szary blok, dokładnie taki jak w opisie – i to równocześnie mnie pociesza i niepokoi. On naprawdę istnieje. A ja jestem już blisko.

W środku znajduje się prawdziwy labirynt. Mieszkania są ponumerowane, każda klatka schodowa ma inną literę, ale tablice podają sprzeczne informacje. Choć być może to ja źle je odczytuję. Idę długimi korytarzami, wąskimi, przypominającymi rury, aż do samego końca, i wtedy dociera do mnie, że poszłam w niewłaściwym kierunku.

Klnę pod nosem i skręcam w inny korytarz. Zaczynam biec.

918.

918.

Oboje z Thomasem obiecaliśmy sobie, że nigdy tu nie przyjdziemy. To była pierwsza rzecz, jaką ustaliliśmy miesiąc temu. Od tamtej pory czas się rozciągnął i w kilka miesięcy przeżyliśmy całe życie. Oswajanie się z nieobecnością Mimi wniknęło w całe moje ciało, zmieniło sposób, w jaki widzę, w jaki czuję. Ból sprawił, że się garbię, pod wpływem stresu moja skóra zaczęła się łuszczyć i czerwienić, jakby była rozgniewana.

Idę dalej, oglądam się przez ramię za każdym razem, kiedy słyszę jakiś dźwięk. Jestem pewna, że Thomas też tu przyjdzie, kiedy już pogodzi się z tym, że odeszłam. Będzie wiedział, że tutaj trafię. To dlatego musiałam tak pędzić,

dlatego nie chciałam robić postojów na sen ani w ogóle się zatrzymywać. Gdyby znalazł mnie, zanim tu trafiłam, próbowałby mnie zatrzymać.

Spróbuj mnie zatrzymać nie dlatego, że mnie nie kocha, ani nie dlatego, że kocha ją mniej niż ja. Będzie usiłował to zrobić, bo wierzy, że przechodzimy przez to wszystko dla wyższego celu. Wielokrotnie mi to powtarzał. Teraz przechodzimy męczarnie, żeby nie przeżywać tego w przyszłości.

Próbowałam mu wyjaśniać, że dla mnie przyszłość to ciemności, że w nią nie wierzę, nie wierzę, że to się uda. Twarz Thomasa tężeje, kiedy to mówię. Myśli, że moja niepewność to brak odwagi.

Pewnie ma rację. Jest we mnie coś elementarnego, co nie może bez niej żyć; coś, co wie z absolutną pewnością, że jeśli Mimi zostanie przy mnie, będę w stanie ją ochronić.

To absurdalne przekonanie. Thomas przypominał mi, że Marie patrzyła, jak zabierają jej Cię, opowiadał mi o tamtej nocy, którą spędziliśmy z Evie i Sebem, ale mimo tych ciężkich wspomnień nie istnieje nic bardziej oczywistego niż moje przekonanie, że powinnam być z córką.

Thomas by mi nie uwierzył, gdybym mu opowiedziała, co widziałam w sferach wczoraj w nocy, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby doładować samochód.

Pomyślałby, że wymyśliłam sobie pretekst, żeby ją znaleźć.

Jakaś część mnie wie, że muszę to zrobić sama, bo nie jestem w stanie zmierzyć się z jego niedowierzaniem.

W T E D Y

Nie tęsknię za tym – powiedziała mi Evie, wycierając kąciki ust starannie złożoną chusteczką. Kiedy zaczęła brać leki w związku z indukcją, odeszła z pracy.

– To dobrze – powiedziałam. Tylko tyle mogłam powiedzieć, bo nie miała w tej kwestii żadnego wyboru. Kiedy rozpoczynało się indukcję, stawała się ona pracą na pełny etat.

Przez cały ostatni tydzień wymiotowała. Nie od porannych nudności; nie była w ciąży. To leki indukujące sprawiały, że żołądek wykręcał się jej na drugą stronę. Brała teraz drugą serię leków na niepłodność, po pierwszej wylądowała w szpitalu. Bóle brzucha, które czuła tego dnia, kiedy do mnie przyszła, szybko się nasiliły i pojawiło się ryzyko zakrzepu.

Teraz popijała ze szklanki zagęszczony sok pomarańczowy. Nie widziałam, żeby go piła, odkąd byliśmy dziećmi.

– Mhm! – mruknęła. – Od razu lepiej. – Bardzo dobrze udawało jej się nie pokazywać, jak bardzo cierpi. – Ten napój zawsze przypomina mi mamę. Robiła nam taki sok, kiedy byliśmy chore.

– Naprawdę? – spytałam zaciekawiona. Evie pamiętała ją o wiele lepiej niż ja.

– Tak. I tosty pokrojone w trójkąty.

– Jeśli chcesz, mogę ci takie zrobić.

– O nie, dzięki. – Zbladła na samą myśl o jedzeniu.

– Jak się czujesz na myśl, że tam nie wrócisz? – spytałam, próbując skierować jej myśli na inny tor i podjąć przerwana rozmowę. Choć nie była w ciąży, jej umysł przygotowywał się na taką możliwość. Evie tak ciężko pracowała, by znaleźć się w miejscu, w którym była w swojej kancelarii prawnej, iż prawie nie mieściło mi się w głowie, że jeśli zajdzie w ciążę, nie wróci do pracy.

– Och, no wiesz. Będzie dobrze. To znaczy, wydaje mi się to trochę dziwne. Ciągłe myślę, że zrobiłam sobie tylko przerwę, a potem wrócę, ale... Cóż, miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

– A ogólnie jak się czujesz? – naciskałam.

– Nie... nie jest może fantastycznie. Ale w porządku. Naprawdę.

Jej oczy zmatowiały, gdy to mówiła.

– Na jakim etapie indukcji jesteś?

Evie wyrecytowała daty i leki, które będzie musiała zacząć brać oprócz tych, które zażywała teraz. Znów będzie czekanie, kolejne testy i skany. Kiedy opowiadała mi o wszystkim, co ją czekało, czułam się, jakbym zgubiła się w labiryncie i podążała za nią, starając się nie stracić jej z oczu w płątaniu zakrętów.

– W każdym razie – stwierdziła na koniec – dobrze, że trzeba się przy tym tyle uczyć. Dzięki temu nie myślisz o tych wszystkich medycznych sprawach.

Ich dom zdominowały podręczniki indukcji i mnóstwo notatek sporządzonych pełnym zawijasów pismem Evie i skrupulatnymi kapitalikami Seba. Ich sfery były ustawione na zatwierdzone przez BSR filmy dokumentalne, które wypełniały ich pokoje tym samym monotonnym, znudzonym głosem.

Ściany w ich salonie były poobklejane różnokolorowymi notatkami do powtórek i skomplikowanymi diagramami. Niektóre słowa były wielokrotnie podkreślone, inne, zakreślone wściekłymi kolorami markerów, aż krzyczały ze ścian.

– Nie można powiedzieć, że się nie angażujesz – stwierdziłam.

Evie kiwnęła głową, a zaraz potem zgięła się w pół i pobiegła do toalety.

T E R A Z

Mężczyzna podał nam numer i kod pocztowy. 918, NNW 1HW.

Wyszukując adres, starannie zatałam za sobą ślady. Użyłam pracosfery w sklepie, a potem odnalazłam to miejsce na starej mapie należącej do taty i zapamiętałam lokalizację. Na wszelki wypadek wytyczyłam najlepszą trasę, która pozwalała uniknąć patroli na granicach miast. Nie wiem, czy Thomas zrobił to samo, ale nie sądzę. Jeśli nie, być może trochę go to spowolni.

Powtarzam sobie ten adres, kiedy ogarnia mnie niepokój lub kiedy nie mogę zasnąć.

NNW 1HW. 918. Cyfry i litery pojawiają się w mojej głowie nieproszone, tak jak przez cały dzisiejszy dzień – do tego stopnia wyryte są w mojej pamięci.

Stoję teraz przed numerem 918. Matowosrebrzyste pochylone cyfry na szarych drzwiach. Niemal je minęłam – wszystkie drzwi są do siebie podobne. Cały budynek składa się z identycznych mieszkań, przypominają mi sześcioboki plastra miodu.

Chciałabym móc powiedzieć, że ciągnęło mnie do tych drzwi, że było coś magnetycznego w mojej więzi z córką i właśnie dzięki temu się tu znalazłam. Ale trafiłam tu tylko przez numer, który nam podano. Tylko dlatego znalazłam te drzwi wśród wielu identycznych na korytarzu.

Unoszę rękę i pukam. Dotarłam do celu.

W T E D Y

Jakob Luke Maybury-Moss urodził się o drugiej po południu w piątek w połowie maja.

Evie zdradziła mi, że była ociążała i nie czuła się najlepiej, ale przez większość czasu ukrywała to, zachowując stoicki spokój. „Nie mogę narzekać” – powtarzała wówczas jak mantrę i przesuwiała palcami po wypukłości brzucha, jakby chciała sobie o tym przypomnieć.

Podczas ciąży BSR monitorowało jej dietę. Każdy posiłek i każdą przekąskę musiała zapisywać w swojej mobilnej sferze, podobnie jak codzienny spacer i ćwiczenia relaksacyjne. Każdego dnia musiała wypić określoną ilość wody, więc rano napełniała dwa pojemniki i powoli je opróżniała, łyżek po łyżku, w miarę jak mijał dzień. Przytłaczało mnie, że każdy kęs, który przechodził przez jej usta, liczba kroków, które zrobiła w ciągu dnia, wszystko, co robiła, było nadzorowane przez BSR. Każdy jej ruch był poddawany drobiazgowej analizie. Czy postępuje właściwie? Czy to bezpieczne dla dziecka? I co jeszcze mogłaby zrobić, żeby na tym skorzystało?

Preferowano porody naturalne, cesarskie cięcie wykonywano tylko z konieczności. Evie powiedziała mi, że to dlatego, że naturalny poród wiąże się z korzyściami zdrowotnymi dla dziecka. Stale kontrolowała swoją postawę, aby dziecko jak najlepiej ułożyło się do porodu, a jej wielkie teraz ciało sprawiało, że kuliła się w sobie, bo niepokój nie opuszczał jej ani na chwilę.

Powiedziano jej, że szansa na udaną indukcję wynosi trzydzieści procent i że kobiety mogą poddawać się temu procesowi średnio osiem do dziewięciu razy. Musiałam zaciskać usta, żeby nie zadać oczywistego pytania: jaki odsetek dzieci był poddawany ekstrakcji? Tych liczb nigdy nam nie podawano.

Kiedy Evie była w ciąży, w sferach krążył raport o gwałtownym wzroście liczby poronień. Uczepiła się go. Zastanawiała się głośno, czy wynikało to z czegoś, co robiła lub czego nie robiła matka; czy wiązało się ze spożywanym jedzeniem, poziomem stresu, ilością wykonywanych ćwiczeń lub ich brakiem. Przeskakiwała z jednej kwestii na drugą, jakby chciała je rozłożyć na czynniki pierwsze. A gdy delikatnie jej sugerowałam, że żadna z tych rzeczy nie powoduje poronień, było to jak rzucanie grochem o ścianę. Nie rozmawialiśmy o tym, ile przeszli cykli indukcyjni, ile bólu zniosła, żeby dotrzeć do tego punktu. Lepiej było się skupić na teraźniejszości, na tym, że była w ciąży i że wkrótce urodzi dziecko. Evie do tego stopnia starała się robić to, co „wydawało się właściwe”, że czasami zdawała się osuwać w jakąś otchłań, zagubiona w liczbach i statystykach, zanurzona w poradach i stałych obserwacjach. Zastanawiałam się, czy ona sama tak właśnie się czuła.

Jej życie było wypełnione kontrolami BSR i wizytami opieki medycznej. Z początku spotykała się z różnymi położnymi, ale w połowie ciąży przydzielono jej taką, która miała poprowadzić ją aż do samego porodu. Zapytałam, jaka ona jest, a kiedy Evie spuściła wzrok i mruknęła pod nosem coś w stylu „jest w porządku”, byłam pewna, że coś przede mną ukrywa. Raz zapytałam o to Seba, kiedy wyszła z pokoju. Zarumienił się.

– To nic takiego... Evie uważa – tu ściszył głos – że położna jej nie lubi. Ale jest przewrażliwiona. Wszystko jest w porządku, naprawdę.

Próbowałam znów podpytać o to Evie, ale nie dała się wciągnąć w rozmowę.

Wszyscy żyliśmy jak na szpilkach. Kiedy termin porodu był już blisko, tata wydzwaniał do mnie prawie codziennie nie po to, żeby porozmawiać o czymś konkretnym, lecz dla podtrzymania kontaktu. Gadaliśmy przez kilka chwil o jego działce, a potem rozmowa nieuchronnie schodziła na Evie i jej nienarodzone dziecko. Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek w życiu tak dużo rozmawiali.

– Evie dziś się do ciebie odzywała? – pytał mnie za każdym razem.

– Czemu sam do niej nie zadzwonisz? – spytałam go podczas jednej z takich rozmów.

– Nie chcę jej ciągle zawracać głowy. Powinna odpoczywać, a nie odbierać telefony ode mnie.

– Na pewno chętnie by z tobą porozmawiała, tato.

– Nie, nie – powiedział zdecydowanym tonem. – Zadzwoń do mnie, jeśli będzie chciała. Lepiej będzie, jeśli dowiem się od ciebie, co u niej słyhać.

Potem zwykle dzwoniłam do Evie i prosiłam ją, żeby porozmawiała z tatą. Pewnego dnia, gdy po rozmowie z nim odkładałam słuchawkę i myślałam, jakie to absurdalne, na mojej mobilnej sferze pojawiła się nagle twarz Seba.

– Zabrali Evie do szpitala – powiedział. – Poród zaczął się wcześniej. Właśnie tam teraz jadę. Zadzwoń, kiedy tylko będę miał jakieś wieści.

A potem zniknął tak szybko, że wydawało mi się, że jedynie wyobraziłam sobie tę rozmowę. Zadzwoiłam do taty, który miał więcej pytań niż ja odpowiedzi, a potem pozostało już tylko czekanie.

– Proszę, niech wszystko pójdzie dobrze. Proszę, niech Evie nic się nie stanie – powtarzałam sobie.

Wypowiadanie tych słów na głos nadawało im jakąś moc. Evie była w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży. Próbowałam na szybko przywołać swoją wiedzę o tym okresie ciąży, bo wielokrotnie powtarzała mi informacje o każdym etapie rozwoju dziecka. Poczułam się lepiej, gdy przypomniałam sobie, że w trzydziestym szóstym tygodniu jego płuca powinny być już na tyle wykształcone, żeby mogło samodzielnie oddychać.

Próbowałam pracować. Odśluchiwałam kolejne rozmowy Jonaha z córką. Doszłam do wniosku, że chcę zawrzeć w dokumencie jego życia jeszcze więcej informacji o łączącej ich więzi. Część wersji roboczych, które wysłałam, została już zaakceptowana, więc pogрузyłam się w starych nagraniach wideo, na których widać Jonaha i jego malutką córeczkę jadących wzdłuż wybrzeża. Niedaleko miejsca, w którym mieszkali, był taki punkt na wyspie pływowej, do którego często wracali. Opisałam go w nowym fragmencie i byłam zadowolona z efektów – wyszło nostalgicznie, osobiście, ale też z łatwością można było się do tego odnieść. Noc jakoś minęła.

Następnego dnia rano zostaliśmy wezwani do szpitala kilkoma słowami: „Urodził się! Z E. wszystko w porządku. Przyjeżdżajcie!”.

Pojechałam razem z tatą. Był rozdrażniony, bo chwilę nam zajęło znalezienie miejsca do parkowania, ale nie wyraził tego głośno. Zniecierpliwiony sapał pod nosem, słabe westchnienia wprawiały powietrze w drżenie. Kiedy wreszcie

zobaczył wolne miejsce, krzyknął: „Tam!”, i skręcił tak gwałtownie, że niemal otarliśmy się o parkujący obok samochód.

Gdy przyjechaliśmy, Evie, Seb i Jakob tworzyli ciasny krąg. Młodzi rodzice obejmowali się rękoma, splatali palce, a Jakob był w samym centrum. Unieśli na nas wzrok, ich policzki płonęły. Razem tworzyli idealny obraz szczęścia. Czasem go przywołuję, przypominam sobie tamten szpitalny pokój i staram się dostrzec każdy szczegół.

Stanowili niemal jedno, spleceni ze sobą w ten sposób, że trudno było powiedzieć, gdzie kończyło się ramię Evie, a zaczynało ramię Seba. Pamiętam zaróżowione twarze, blask w oczach, uśmiechy... Po tym, co się wydarzyło później, lubię wspominać tamtą prostą, błogą scenę. Była jak pojedynczy płomień świecy w ciemności, samotny kwiat wśród chwastów.

– Chcielibyśmy, żebyście kogoś poznali – powiedziała Evie z szerokim uśmiechem. Podeszliśmy trochę bliżej, by przyjrzeć się maleńkiej twarzyczce śpiącego Jakoba. – Chcesz go potrzymać, tato? Dziadku!

– Och, daj go Kit – powiedział tata i cofnął się niepewnie ze spojrzeniem utkwionym w Jakobie. Na jego twarzy zobaczyłam to samo zadowolenie, co wówczas, gdy przyglądał się swojej ukochanej działce, otoczonej płataniną kabaczków i krzakami pomidorów uginających się pod ciężarem owoców.

– Jest przepiękny – powiedziałam, przesuwając palcem po idealnej, niemal przezroczystej skórze na jego nosku.

Evie i Seb nie odpowiedzieli, tylko uśmiechnęli się do siebie, a potem znów wpatrzyli się w synka.

– Nie zostaniemy długo – oświadczył tata. – Chcieliśmy tylko powiedzieć... no wiecie: dobra robota!

– Dzięki, Luke – odparł Seb. – Ale zostań chwilę, zdejmij kurtkę.

Evie i ja spojrzaliśmy po sobie, uśmiechając się szeroko, podczas gdy tata jeszcze mocniej opatulił się swoją starą szarozieloną kurtką; miał ją od zawsze i wydawało się, że nigdy jej nie zdejmuje.

– Nie, nie. Musicie odpocząć. Chcieliśmy tylko do was zajrzeć – odparł tata.

Mimo to trudno było nam odejść od łóżka. Czas mijał w zawrotnym tempie, pora odwiedzin dobiegała końca. Zaskoczeni znów znaleźliśmy się na szpitalnych

korytarzach, szukając znaków prowadzących z powrotem na parking. Czas spędzony z Evie, Sebem i Jakobem wydawał nam się snem.

Gdy wyszliśmy z ich pokoju, z transu wyrwało nas kwilenie jakiegoś dziecka. Idąc korytarzem, przez okrągłe szybki w drzwiach dostrzegliśmy kilka innych rodzin z ich nowo narodzonymi pociechami, ale większość pokoi była pusta.

– Niewielu ludziom udaje się przebrnąć przez indukcję – mruknęłam pod nosem, bardziej do siebie niż do taty.

Nie byłam nawet pewna, czy to usłyszał, ale kilka chwil później powiedział:

– Naprawdę nie wiem, jak to mogą znieść. Na każdym rogu czai się BSR.

– Nie tutaj, tato – szepnęłam. Dokładnie w tym momencie na korytarzu mijają nas pielęgniarka i przyłapałam się na tym, że odwracam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy zwróciła uwagę na to, co powiedział. Znikła za rogiem, stukając rytmicznie obcasami o podłogę. Nie obejrzała się.

– Nie słyszała mnie – stwierdził tato z lekkim znużeniem w głosie.

– Ale nie warto było tak mówić, prawda?

Tata odpowiedział mi dopiero, gdy zatrzasnęliśmy drzwi samochodu.

– Naprawdę myślisz, że kogoś obchodzi, co sobie gada taki stary piernik jak ja?

– Nie wiem, tato. Ale istnieje taka możliwość. Tak to wygląda. Teraz, gdy już mają Jakoba, muszą zrobić wszystko, żeby uniknąć ekstrakcji.

– Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek zwracał na mnie uwagę.

– Tato! Obiecuj, że będziesz uważał. Ze względu na Evie i małego. Tak jak mówiłam, po prostu nie warto ryzykować.

– W porządku – odparł, ale całą drogę powrotną już milczał. Ożywił się dopiero później, gdy zaczęłam mówić o tym, ile Jakob ma włosów i jaki jest podobny do Evie.

– Jutro o tej samej porze? – spytałam, gdy się żegnaliśmy.

Tata się zgodził, choć chyba oboje czuliśmy, że to zbyt długo, nim ponownie spotkamy się z Evie i będziemy mogli cieszyć się widokiem naszego siostrzeńca i wnuka.

Ale gdy pojechaliśmy do nich następnym razem, nic już nie przypominało pierwszej wizyty.

Beztrioskie szczęście gdzieś się ulotniło. Zaczęło się zamartwianie.

Następnego dnia, gdy weszliśmy do sali, Seb szybko podszedł do drzwi i powiedział nam, że on i Evie muszą porozmawiać o Jakobie ze specjalistą i że możemy na nich poczekać.

– Nie ma żadnych powodów do obaw – powiedział, a potem zniknął w pokoju. Nim zamknęły się za nim drzwi, przez ułamek sekundy widziałam Evie. Siedziała pochylona do przodu, obejmując się ramionami. Jej mokra od łez twarz była zwrócona w stronę położnej, która coś do niej mówiła. Moja siostra była blada, a jej włosy wydawały się przytłaczająco czarne w zestawieniu z poszarzałą twarzą.

– Nic człowieka tak nie martwi jak to, gdy mówią, że nie ma żadnych powodów do obaw – stwierdził tata. Przygębieni usiedliśmy obok siebie.

– Dostaną każdą pomoc, jakiej potrzebują. Na pewno wszystko będzie w porządku – powiedziałam bez przekonania. Widziałam przecież twarz Evie.

Czekaliśmy tam tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle się z nimi tego dnia zobaczymy, ale wtedy drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł lekarz w białym kitlu. Tata wykonał taki ruch, jakby chciał wstać, ale po chwili zmienił zdanie i został na miejscu. Wzięłam go za rękę. Ścisnęliśmy sobie dłonie, czekając na wieści.

Potem w drzwiach pojawił się Seb, przywołał nas i raz za razem przeproszał.

– Co się dzieje? – spytałam, gdy weszliśmy do środka. Jakob spokojnie spał w dziecięcym łóżeczku obok łóżka Evie. Nie dostrzegłam nigdzie żadnych monitorów, mały nie był też podłączony do żadnych rurek. Evie siedziała zgarbiona na łóżku, z nogami podciągniętymi pod brodę. Odkąd przyjechaliśmy, lał deszcz, więc okna w szpitalnym pokoju były zaparowane, poznaczone strużkami spływających kropli.

– Ty im powiedz – poprosiła Seba. – Nie wiem, czy w tej chwili potrafię jasno myśleć, a co dopiero mówić.

– Mamy mały problem z... – przerwał, bo Jakob nagle zacisnął pięści przez sen. Gwałtownie odwrócił główkę, lekko napiął nóżki, a potem znów się rozluźnił. Gdy przestał się ruszać, Seb podjął: – Mamy mały problem z karmieniem piersią – dokończył ściszym głosem. Wyglądał, jakby czuł się winny, jakby się wstydził.

– Chce przez to powiedzieć, że ja mam problem z karmieniem piersią – wtrąciła Evie.

Tata i ja zaczęliśmy ich pocieszać. Zapewnialiśmy, że będzie lepiej, że otrzymają pomoc, której potrzebują.

– Ale przecież wygląda zdrowo – zauważył tata. Jakob, otoczony przez nas, spokojnie odpoczywał, nieświadomy tego, co się wokół niego działo. Żadne słowa nie były jednak w stanie sprawić, by twarze jego rodziców się rozluźniły.

– Mam nadzieję, że będzie lepiej – westchnęła w końcu Evie i spróbowała się uśmiechnąć.

Tata wydawał się bardziej uspokojony tym zapewnieniem niż ja. Zabrał Seba i razem poszli po herbatę. Wtedy przytuliłam siostrę długo i mocno. Miałam wrażenie, jakby rozpuszczała się w moich ramionach.

Zaczęła płakać. Głośny, rwany szloch wstrząsał całym jej ciałem. Wciąż trzymałam ją w ramionach, czułam, jak drży. Przypomniało mi to dawne opowieści o zmiennokształtnych: jeśli ktoś schwytał taką istotę i był w stanie utrzymać ją, gdy wielokrotnie zmieniała formę, zdradzała mu ona jakąś prawdę. Albo pojawiała się w swojej prawdziwej postaci. Nie pamiętam, jak to dokładnie było.

Gdy Evie przestała płakać, zaczęła się śmiać z łez, od których wciąż nie wyschły jej policzki.

– Muszę wziąć się w garść, prawda, Kit?

– Nie zapominaj, że dopiero co urodziłaś. Jesteś wykończona i masz nową małą osobkę, dla której zrobiłabyś wszystko. To znaczy... Tak, musisz wziąć się w garść, ale przy tym bądź dla siebie dobra.

– Po prostu wciąż się zastanawiam, czy...

– Zastanawiasz się nad najgorszą możliwością – dokończyłam za nią. – I to jest zupełnie naturalne. Ale musisz się skupić na tym, co się dzieje tu i teraz. Nie na tym, co może się zdarzyć.

– W tej chwili jestem w zupełnej rozsypce – przyznała Evie.

– A która świeżo upieczona mama nie jest?

– Muszę być silniejsza. Jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę, muszę... dać z siebie więcej.

Nerwowo załamywała ręce, jakby chciała zrzucić z siebie skórę. W jej rozszerzonych oczach widać było panikę. Powiedziała:

– Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić. Myślałam, że potrafię, ale co, jeśli nie?

Dotarliśmy do kolejnego ślepego zaułka w labiryncie. Ściany wokół nas były zbyt przytłaczające, zbyt wysokie, by móc zobaczyć, co jest po drugiej stronie, a przejście do centrum pozostawało zbyt dobrze ukryte. Pokój poszarzał. Umilkłyśmy, a moją głowę wypełnił odgłos deszczowych kropli uderzających w okno.

Deszcz przybrał na sile, wiatr smagał szybę. Wyrzesałam na zewnątrz, ale zamiast skupić się na lejących się z nieba strugach wody, pozwoliłam, by pochłonięły mnie nasze odbicia. Nasze ciała, Evie, która siedziała na łóżku, i moje, stojącej przy niej, zdawały się pogruchotane. A między nami widać było kanciaste zarysy łóżeczka Jakoba, który mimo wszystko spał dalej.

– Evie, myślę, że jesteś w stanie to zrobić. Tata i Seb też tak uważają. Teraz ty musisz w to uwierzyć. Dla Jakoba. Ale także dla siebie samej.

W tym momencie tata i Seb wrócili. W dłoniach trzymali papierowe kubki z parującą herbatą, butelki z sokiem jabłkowym i przekąskami. Przyłgnęłam do gorącego kubka, choć w pokoju wcale nie było tak zimno. Może szukałam pocieszenia albo musiałam uchwycić się czegoś konkretnego.

– Lepiej już pójdziemy – powiedział tata, gdy nasze kubki były puste.

Evie i Seb pomachali nam na pożegnanie i zaczęli się szykować do nadchodzącej nocy.

Dołączyliśmy do innych odwiedzających, którzy podobnie jak my, niepewnym krokiem szli szpitalnymi korytarzami w stronę wyjścia z poczuciem, że zostawili tu część siebie.

T E R A Z

Zielony znak z napisem „Wyjście” mruga na końcu korytarza. Światło zapala się, niepewnie drży, a potem gaśnie.

Zaczynam pukać delikatnie, ale wkrótce moje ręce zaciskają się w pięści i walę w szare lakierowane drzwi, aż zaczynają się trząść. Słyszę, jak w środku rozmawiają jacyś ludzie, krzyczą zaskoczeni.

– Proszę, proszę – mówię przez drzwi. – Jestem tu po M...

Zanim zdążę wypowiedzieć jej imię, drzwi się otwierają. Wtaczam się do środka.

Jestem w przyjemnym mieszkaniu. Ktoś się postarał, by było wesołe, choć sam pudełkowaty pokój jest bez wyrazu i czuję w nim tę samą klaustrofobię, co w długich korytarzach budynku. W słoiku po dżemie stoją ozdobne witki i gałązki obwieszane jaskrawymi świecidełkami. Na ścianie wisi mnóstwo obrazków w żywych kolorach. Razem przypominają gobelin lub narzutę.

Chłonę to wszystko – barwy i dbałość o detale, które odmieniają ten wąski pokój – ale nie widzę tego, co dla mnie najważniejsze. Rozglądam się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów mojej córeczki – skarpetki w paski, która przy każdej możliwej okazji zsuwa jej się ze stópki, jednego z kolorowych klocków, którymi lubi stukać o twardą drewnianą podłogę.

– Mimi – udaje mi się wydusić, choć nagle trudno mi oddychać.

Stojący przede mną ludzie wyglądają na parę. Kobieta ma długie ciemne włosy związane nisko w luźny kucyk, tak że włosy rozsypują się jej na ramionach. Mężczyzna jest chudy, starannie ubrany. Ma rudawą brodę, którą w pierwszej chwili trudno zauważyć, bo jest tak jasna.

– Kit? – pyta cicho kobieta.

Kiwam głową, wciąż nie mogę oddychać. Wciąż dławi mnie rozpacz. Obracam się, szukając jakichkolwiek śladów córki.

– Proszę – mówię łagodnie mężczyzna. – Musisz się uspokoić. Nie możemy wzbudzić podejrzeń, wiesz o tym.

Mówi to cicho, jakbyśmy się już znali, i może właśnie to powstrzymuje mnie, by nie zacząć biegać po ich mieszkaniu i przewracać wszystkiego, co stanie mi na drodze.

– Gdzie ona jest? – pytam.

Kobieta robi krok w moją stronę i wyciąga rękę. Lekko wzrusza ramionami.

– Śpi, oczywiście – odpowiada.

– Mogę ją zobaczyć? – Gwałtownie łapię powietrze. – Muszę ją zobaczyć.

Kobieta bierze mnie za rękę – zaskakuje mnie to, jak zimna jest jej dłoń. Prowadzi mnie do jakichś drzwi i lekko je uchyla.

W środku jest ciemno i przez chwilę nic nie widzę. Potem dostrzegam łóżeczko i śpiące w nim ciało. Przepycham się obok kobiety, wyszarpuję rękę. Podbiegam do łóżeczka.

Mimi leży odwrócona do mnie plecami, z kocykiem naciągniętym niemal na samą głowę. Delikatnie go zsuwam, w myślach wyrzucając tym ludziom, że pozwolili jej spać z kocykiem na głowie – kilka dni temu widziałam w sferach reportaż o dziecku, które w ten sposób udusiło się w nocy. W domu Mimi miała śpiworek, w którym nic takiego by jej nie groziło.

Ale gdy odsuwam kocyk, jestem wstrząśnięta. To nie moja córeczka, na jej głowie nie widać puszków blond włosów. Patrzę na ciemnowłosego chłopczyka z tak krótko obciętymi włoskami, że wydaje się przez to starszy.

– Jest tam – kobieta pokazuje drugą stronę pokoju.

Kiedy tu wbiegałam, nie zauważyłam, że stoi tu więcej łóżeczek – co najmniej trzy.

Potykając się, dopadam do tego, które mi wskazała.

Odsuwam nakrycie.

W T E D Y

Łagodnie kołysała jego łóżeczkiem, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Robiła to intuicyjnie. Po raz pierwszy, odkąd urodził się Jakob, zobaczyłam, że zaszała w niej przemiana.

Przypomniałam sobie, jak się męczyłam, by znaleźć właściwe słowa, gdy rozmawiałam z nią w szpitalu, jak nieswojo się przy tym czułam. „Uwierz”, powiedziała jej. Teraz, gdy patrzyłam na Evie, wydawało mi się, że wierzy, że jest matką. I to dobrą matką, kompetentną, taką, która się stara, która kocha. A ponieważ sama tak myślała, wcielała to w życie.

Wrócili już do swojego małego domu, który teraz był zupełnie odmieniony. Każde wolne miejsce zaścielały rzeczy Jakoba: muślinowe ubranka, miękkie zabawki, kanciasty czarny bujany fotelik, który zdominował salon. Przypominało to cieniutką warstwę pierwszego śniegu – świeże płatki, które osiadały tam, gdzie spadły, aż pokryły wszystko bielą.

– Każdy jest inny – powiedziała. – I chyba dlatego może to być tak bardzo mylące. I irytujące. Nie masz pojęcia, ile razy ktoś mi mówił, co się w jego przypadku najlepiej sprawdziło, a gdy ja tego próbowałam, okazywało się, że u mnie w ogóle nie działa. Podejrzewali, że problemem jest krótkie wędzidełko języka, ale gdy poszliśmy na wizytę, powiedzieli, że to nie to. W końcu jednak doczytałam o dodawaniu do mleka z piersi sztucznego pokarmu i teraz Jakob przybiera na wadze. Przybiera i przybiera! – zawołała radośnie. – I nigdy nie zgadniesz, na kogo wpadłam w przychodni. – Nie czekała na moją odpowiedź. – Na Rogera! Pytał o ciebie. Powiedział... jak to było? Powiedział, że nieważne, co się między wami wydarzyło, ma nadzieję, że jesteś szczęśliwa...

Skrzywiłam się i zbyłam ten komentarz, chociaż było w nim coś, co wydawało mi się dziwne. Roger był ostatnim facetem, z którym byłam

w związku, ale rozstaliśmy się, gdy zaczął na mnie naciskać, żebym poddała się indukcji.

– Wiem, wiem – powiedziała szybko Evie. Zauważyłam, że od mojego przyjazdu prawie nie zamykały się jej usta. – Ale wydawało mi się, że mówił to szczerze, jakby naprawdę tak myślał. A potem mi powiedział, że zaczął pracować dla BSR i że naprawdę to uwielbia. Wtedy wymyśliłam jakąś wymówkę i sobie poszłam. Przepraszam, pewnie nie chcesz o nim słuchać, prawda?

– Nie bardzo – przyznałam. – Lepiej opowiedz mi o Jakobie.

Evie zagłębiła się w zawilóści nowego planu karmienia Jakoba. Opowiadała mi o wahaniach jego wagi, o poradach, które dostała od wizytujących pielęgniarek i konsultantów do spraw laktacji. Mówiła z przejęciem o tym, jak sypiał i jak to się wiązało z karmieniem. Próbowwała w ten sposób powiedzieć, że choć czuje padający na nią cień ekstrakcji, może tylko uparcie iść naprzód, żeby pozostać poza jego zasięgiem.

Starałam się nadążyć za wszystkim, co mówiła, ale byłam zbyt rozdrażniona i przejęta wzmianką o Rogerze, wiadomością, którą mi przekazał, i tym, że teraz pracował dla BSR. Odkąd wpadł na pomysł, że chce mieć dziecko, dostał fiksacji na punkcie tego, że musimy poddać się indukcji. Gdy tylko zorientowałam się, dokąd zmierza, zerwałam z nim. Przypomniałam sobie tę twardość w jego spojrzeniu podczas kilku naszych ostatnich rozmów, to, jak ton jego głosu stawał się zimny i pełen złości. Zrzucił na mnie winę za wszystko, twierdząc, że umyślnie go zwodziłam.

Powróciłam myślami do Evie, która nie zauważyła mojego rozkojarzenia i dalej wymieniała każdy szczegół dni i nocy Jakoba, porównując je z licznymi standardami BSR. Przypominało mi to sposób, w jaki opowiadała o sprawach sądowych, nad którymi pracowała, zanim urodziła synka. Musiała przeanalizować mnóstwo informacji z najróżniejszych źródeł, by podjąć konkretne działania: niewątpliwie był to najlogiczniejszy sposób postępowania. Kiedy mówiła, jej oczy stawały się szkliste, i zorientowałam się, że to wyćwiczony monolog. Zastanawiałam się, czy osobą, której o tym najczęściej mówiła, nie była ona sama.

– Czyli teraz waży tyle, ile powinien – przerwałam jej. Rozmawialiśmy już tak długo, że Jakob zdążył obudzić się po drzemce, został nakarmiony i teraz

znów spał w ramionach Evie.

– Prawie. Bardzo niewiele mu brakuje. Ale najważniejsze, że przybiera na wadze. Już niedługo. Już niedługo – powtórzyła. Wciąż go kołysała, choć już spał. Zupełnie jakby potrafiła czytać w moich myślach, dodała: – Obudzi się, jeśli przestanę. Uwielbia ten ruch.

– Chcesz mi go na chwilę dać? – spytałam. – Mogłabyś wziąć prysznic czy coś. Jestem pewna, że też potrafię go kołysać.

– Nie, nie przejmuj się tym. Po prostu dobrze jest się wygadać, naprawdę. Te wszystkie myśli ciągle tłuką mi się po głowie. Zwłaszcza po nocach. Seb oczywiście słucha, ale jest prawie równie zmęczony jak ja. Mam wrażenie, że nie zawsze za mną nadąża.

W tych pierwszych dniach spędzałyśmy tak większość czasu. Evie mówiła, a ja słuchałam i kiwałam głową. Podawała mi najnowsze wiadomości o wadze Jakoba i o tym, jak sypiał. Przerzywała tylko wtedy, gdy sam zaczynał szukać ustami jej piersi albo gdy przychodziła pora karmienia. Zwykle leżał wtulony w mamę, a my wpatrywałyśmy się w niego, zachwycone, że jest na tym świecie razem z nami. Dyskutowałyśmy o tym, co odziedziczył po naszych rodzicach, co po Sebie, a co po niej. Moja siostra zorganizowała ceremonię nadania imienia, na której poznałam Thomasa i dowiedziałam się, że dostali pierwsze ostrzeżenie. To nimi wstrząsnęło, ale w sumie Evie wydawała się bardziej zdeterminowana i pewna siebie niż zdenerwowana.

Próbowałam nie zauważać, że po tamtym pierwszym dniu w szpitalu nigdy nie pozwoliła mi go potrzymać. Zbyt wiele razy jej to proponowałam i spotykałam się z odmową, by nie zrozumieć, że nie chciała, by ktokolwiek oprócz niej trzymał go w ramionach.

Wkrótce do mnie dotarło, że nie potrafiła zostawić go nawet na chwilę.

– Jesteś przepiękny – mówiłam do Jakoba, kołysząc go delikatnie w bujanym foteliku. Spojrzał na mnie poważnymi, zamyślonymi oczami. – Naprawdę jest idealny – powiedziałam do Evie.

– Prawda? – Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po puszystych włoskach, z którymi się urodził i których jeszcze nie stracił. – Karmienie piersią wciąż sprawia mi trudności, ale jakoś sobie radzimy. Tylko że to wciąż bardzo boli. W zeszłym tygodniu musieliśmy jechać do szpitala. – Nie

zauważyła mojego zaniepokojenia i pospiesznie ciągnęła dalej: – Nie ma powodów do zmartwień. Po prostu miał w pieluszce trochę krwi, ale okazało się, że to z moich popękanych sutków.

– Nic ci nie jest?

Evie zbyła moją troskę machnięciem ręki.

– Nie ma powodów do zmartwień. Muszę to przetrzymać i dalej karmić piersią. Wciąż pracuję nad przystawianiem małego, ale sztuczny pokarm daje mi trochę wytchnienia.

Nagle umilkła, jakby wpadła w trans.

– Jesteś pewna, że nie chcesz się zdrzemnąć czy coś w tym stylu? Mogę go popilnować.

– Nie, nie – zaprotestowała Evie, machając rękami. – Nic mi nie jest, naprawdę.

Nie było to do końca przekonujące; twarz miała bladą ze zmęczenia i patrzyła na mnie pustym wzrokiem, jakby tak naprawdę mnie nie widziała.

– Nawet na dziesięć minut? – spytałam. – Przyjdę po ciebie, gdyby zaczęła płakać.

– Naprawdę, nic mi nie dolega. – Jakby na dowód tych słów wzięła dziecko na kolana i zaczęła mu śpiewać kołysanki.

Nie mogła jednak zabronić Sebowi brać go na ręce, a on dawał go potrzymać mnie albo tacie. Przyglądała się temu bardzo uważnie. Z początku zerkała ukradkiem, z ukosa, ale te podchody szybko jej się nudziły i później już otwarcie, łączywie wpatrywała się w każdego, kto akurat trzymał Jakoba.

Pogorszyło jej się do tego stopnia, że nie poprzestawała na samym patrzeniu. Pewnego popołudnia zajrzeliśmy do nich z tatą. On trzymał Jakoba po tym, jak Seb wcisnął mu go w ramiona, a Evie nakrywała w tym czasie do lunchu. Ojciec sięgnął po szklankę wody stojącą na stole i gdy tylko zamknął na niej palce, Evie z brzękiem upuściła talerze na blat i wyciągnęła ręce po Jakoba.

– Poradzę sobie – zapewnił tata.

– Ale będzie ci łatwiej – upierała się Evie. – Będziesz mógł używać obu rąk.

– Tak mi dobrze, kochanie. Trzymam go.

– Nie, tato, proszę. Oddaj mi go. Ja go wezmę.

Zabrała Jakoba, a on natychmiast się rozplakał, wyraźnie poruszony. Kwilił cicho, uskarżał się z regularnością sygnału alarmowego. Evie kołysała go rozpaczliwie, dopóki nie przestał. Przez resztę naszej wizyty ona i tata bardzo świadomie i systematycznie się unikali.

– Posuwa się z tym trochę za daleko – stwierdził tata, gdy odjeżdżaliśmy. Potem westchnął, jakby sobie o czymś przypomniał.

Z roztagnieniem kiwnęłam głową. Nie chciałam mu mówić, że kiedy ostatnio u nich byłam, spotkało mnie coś bardzo podobnego. Seb i ja karmiliśmy Jakoba mlekiem modyfikowanym, które Evie dopiero co zaczęła mu podawać, i nie zauważyłam, że smoczek wysunął mu się z buzi.

– Kit... butelka – wydukała moja siostra. Wydawała się zakłopotana. Ze względu na siebie? Na mnie? – Musisz go obserwować, kiedy je. Nie wolno spuszczać go z oka.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Nie przejmuj się. To się ciągle zdarza – Seb próbował dodać mi otuchy.

– Nic się nie stało – dorzuciła Evie, ale w jej głosie słychać było poirytowanie.

Kiedy smoczek wysunął się po raz drugi, bez słowa zabrała mi Jakoba i butelkę. Ułożyła go bezpiecznie w zgięciu łokcia w sposób, którego nie udało mi się opanować, i dokończyła karmienie.

Zaraz potem wyszłam. Powiedziałam, że przypomniałam sobie o przesyłce z pracy, którą muszę odebrać. To kłamstwo było dla nas wszystkich łatwiejsze.

Podczas kolejnych wizyt odmawiałam trzymania Jakoba i starałam się unikać niezręcznych sytuacji.

Ten czas pełen był wzlotów i upadków. Zachwycaliśmy się Jakobem, a zachwyty ten promieniował na niego i z powrotem, i znowu, odbijając się jak w gabinecie luster. A potem były momenty, gdy można było jedynie siedzieć cicho, żeby nie doprowadzić do sprzeczki. Pewnego dnia Seb i Evie ciągle na siebie wrzeszczeli, bo Seb pozwolił przez chwilę Jakobowi ssać palec, żeby przestał płakać, a Evie martwiła się, że będzie miał od tego wiatry albo że złapie jakąś chorobę, bo Seb nie umył mu rąk. Były poranki, podczas których Evie prawie się do mnie nie odzywała, bo wprowadzała dane o drzemkach i karmieniu

Jakoba i coś nie zgadzało się z wytycznymi. Widziałam wtedy jej wymizerowaną, wynędzniałą twarz w słabym blasku pracosfery i po cichu wychodziłam.

Wmawiałam sobie, że nadopiekuńczość Evie wynikała po prostu z tego, że chciała dla Jakoba wszystkiego, co najlepsze. I pogodziłam się z tymi epizodami.

Jednak jakiś miesiąc po narodzinach Jakoba wydarzyły się dwie rzeczy, które zmieniły wszystko.

* * *

Zaczęło się od telefonu i tak samo się skończyło.

Pewnego wieczoru dzwoniłam do taty. Nie miałam żadnego konkretnego powodu, po prostu nie odzywał się do mnie przez jakiś czas i próbowałam go złapać. Dzwoniłam i dzwoniłam, dopóki nie włączyła się automatyczna sekretarka.

Nie zmartwiłam się. Przychodziło mi do głowy co najmniej pięć powodów, dla których mógł nie odbierać, więc się tym za bardzo nie przejęłam. Zostawiłam mu wiadomość z pozdrowieniami, i niewiele poza tym.

Potem zapomniałam o tej sprawie i dopiero następnego dnia rano pomyślałam, że to dziwne, że nie oddzwonił. Znów spróbowałam go złapać i znów usłyszałam głos automatycznej sekretarki. Zostawiłam jeszcze jedną wiadomość z prośbą, by się do mnie odezwał.

W końcu, gdy nadal nie dawał znaku życia, pojechałam do jego mieszkania. Kiedy wchodziłam po schodach do jego frontowych drzwi, wciąż nie przychodziło mi nawet do głowy, że coś może być nie tak. Kilka lat wcześniej miał problem z telefonem i przez jakiś czas nie wiedział, czy ktoś do niego dzwonił i czy ma jakieś wiadomości. Ale wtedy to Evie wszczęła alarm, bo ja wyjechałam akurat na kilka dni z Rogerem.

Od czasu, gdy tata przeszedł na emeryturę, jego zachowaniem zaczęły kierować przyzwyczajenia. Nie ukrywał, jak bardzo lubi rutynę związaną z chodzeniem codziennie do pracy, i martwiłyśmy się, że życie na emeryturze będzie dla niego bezcelowe, niczym ciągnąca się przed nim kręta pusta droga pozbawiona jakichkolwiek charakterystycznych miejsc czy punktów orientacyjnych. Martwiłyśmy się jednak niepotrzebnie. Powiedział nam o swojej

działce, jakby odkrywał przed nami jakąś karcianą sztuczkę, zręcznym ruchem wyciągał asa z rękawa.

Kiedy znalazłam go na podłodze w salonie, leżącego twarzą do ziemi, nieruchomego i zimnego, z huczącym głucho telewizorem, żałowałam, że nie dane mu było umrzeć na swojej działce, z ustami przy brunatnej, żyznej ziemi, którą tak kochał. W otoczeniu kabaczków i roślin strączkowych, o które dbał od nasionek, kiedy były jedynie obietnicą tego, co z nich wyrośnie.

To była moja pierwsza myśl.

Nie było go zbyt wiele w tym mieszkaniu. Potem, gdy razem z Evie spakowałyśmy jego rzeczy, pozbyłyśmy się szafek, pozdejnowałyśmy wszystko ze ścian, uderzyło nas, że mieszkanie wydawało się niemal nie różnić od tego, gdy wszystkie jego rzeczy leżały na swoich miejscach. Położone w ładniejszej części dzielnicy niż ta, w której mieszkałam, było praktyczne i łatwe w utrzymaniu, wręcz do tego stopnia, że zupełnie pozbawione wyrazu.

Tata leżał na beżowym dywanie. Plama kolorów pośród szarości. Z początku nie mogło do mnie dotrzeć, że to on.

Potem coś we mnie zaczęło się zamykać; jakby przeniknęła mnie ciemność, odrętwienie, które sprawiało, że czułam się oderwana od tego, co widzę. Na zewnątrz było cicho – żadnych odgłosów przejeżdżających samochodów, śpiewu ptaków, rozmawiających ludzi, szumu sfer.

Do moich uszu docierało tylko tykanie zegara, przypominające uderzenia w bęben, które nigdy nie gubią rytmu. Chciałam zadzwonić do Evie; wiedziałam, że powinnam wezwać karetkę, jednak zanim zrobiłam jedno i drugie, podbiegłam do ojca.

Jego ręce były ugięte, a dłonie przylegały do podłogi. Zastanawiałam się, czy próbował się podnieść, czy uświadomił sobie, że tu leży i w pobliżu nie ma nikogo, kto by mu pomógł. Jego ciało było sztywne i ciężkie; byłam pewna, że już nie mogę mu pomóc, ale zmusiłam się, żeby go odwrócić i na niego spojrzeć.

Nie przypominał już siebie. Był absolutnie nieruchomy, jego twarz stała się pustą maską. Patrzył gdzieś obok mnie, a jego brązowe oczy stały się matowe, pozbawione życia.

– Tato – szepnęłam. – Tato. – Wydawało mi się ważne, żeby powiedzieć to na głos.

Nie miałam nadziei, że go obudzę. Gdy uklękłam obok niego, nagle dotarło do mnie, że to będzie ostatni raz, kiedy do niego mówię, ostatni raz, kiedy słyszę, jak zwracam się bezpośrednio do niego.

Myślałam, że się rozpłaczę. Chciałam, ale nie potrafiłam.

Zamiast tego jedną ręką spokojnie sięgnęłam po swoją mobilną sferę, by zadzwonić do Evie, a drugą zamknęłam mu oczy. Wyglądał, jakby tylko spał.

T E R A Z

Mocno śpi zwinięta w półksiężyc, tak jak sypia Thomas.

Urosła przez ten miesiąc, kiedy jej nie widziałam. Ma bledsze policzki, ale jej włosy są dłuższe, trochę potargane.

Chcę ją obudzić, chcę usłyszeć, jak wypowiada moje imię – jedyne, które ma w tej chwili dla mnie znaczenie – ale zadowolam się wzięciem jej w objęcia. Jej ciało osuwa się na moje, Mimi opiera główkę o moją szyję, a ja oplatom jej nogami swoje biodra.

To jest jej miejsce. Tutaj pasuje.

Czuję się tak, jakbym otulała ją całym ciałem.

Chowam twarz w jej włosach, ignoruję uporczywą woń obcego szamponu i wdycham jej własny zapach. Nie zmienił się, jest idealny.

Kobieta unosi brwi, gdy wynoszę Mimi z sypialni. Mężczyzna kładzie jej rękę na ramieniu, jakby chciał ją uspokoić.

– Zabieram ją – mówię po prostu.

– Twój wybór – odpowiada mężczyzna. – Ale proszę, poczekaj chwilę. Musimy się upewnić, że nikt cię nie zobaczy. Jak widziałaś, mamy tu też inne dzieci.

Skłaniam głowę, wyrażając zgodę. Mężczyzna przechodzi do innego pokoju i słyszę, jak rozmawia przez telefon.

Mimi coś mamrocze, zastanawiam się, czy zaczyna się budzić.

– Hej, kochanie – mówię śpiwnym głosem – to mamusia. Mamusia tu jest. – Jej głowa bezwładnie opada do tyłu, nie udaje mi się jej podtrzymać i klnę, gdy jej szyja wygina się w dół. Na policzku ma smużkę śliny.

– Nie obudzi się – wrywa się kobiecie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czasem... czasem musimy im coś podawać, żeby były cicho.

– Odurziliście ją?!

Kobieta wzdyga się, gdy podnoszę głos.

– Zrozum, proszę – mówi. – Przecież wiesz, jak jest. To niełatwe, ale robimy to, żeby pomagać ludziom takim jak ty. Nie chcieliśmy, ale w budynku zjawili się funkcjonariusze BSR. Musimy być ostrożni.

Mam ochotę dalej krzyżeć, mam ochotę wrzasnąć, ale uspokajam się i kręcę głową. Trochę mocniej przyciskam do siebie Mimi, pewna bardziej niż kiedykolwiek, że przyjdzie po nią było najlepszym, co mogłam zrobić.

Nigdy nie powinnam była pozwolić jej odejść.

– Możesz już wyjść – mówi dobrze ubrany mężczyzna, gdy znów się pojawia. – Pośpiesz się.

Właśnie ma otworzyć mi drzwi, kiedy odzywa się ta kobieta:

– Poczekaj – mówi. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Nie będzie mogła tu wrócić. Tak to wygląda. Jej łódź odpływa za dwa dni. A jeśli tu zostaniesz, znajdą cię. Nie możesz jej wiecznie ukrywać.

Thomas chciałby, żebym posłuchała tych słów.

– Nie mogę – jąkam się. – Już nie zniosę rozłąki. – Ukrywam Mimi w ramionach i wtedy dociera do mnie, że jest bosa, bo przecież leżała w łóżku. – Macie jej buciki? – pytam. Kiedy ją zabierali, spakowałam jej parę malutkich kapci z króliczkami, miękkich i puszystych, ale te, które mi przynoszą, nie należą do Mimi. Wkładam je jej mimo to. Jest tak wiotka, że muszę ją w tym celu położyć.

– To – wskazuję na odurzoną, śpiącą córeczkę – nie jest w porządku. Czuję to.

– To trudne, ale tak jest najlepiej. Dla was wszystkich. Żebyście byli razem, żebyście mogli pozostać rodziną. – Teraz kobieta płacze. Łzy płyną po jej twarzy i nawet nie próbuje ich otrzeć.

Mężczyzna ją przytula.

– Idź – mówi do mnie. – Idź już.

Kobieta nie przestaje płakać.

W T E D Y

Kiedy Evie odebrała mobilną sferę, płakała. Przez chwilę miałam wrażenie, że wszystko przebiegło odwrotnie i że to ona zadzwoniła do mnie, żeby przekazać tę straszną wiadomość. Jej szloch jeszcze bardziej podkreślił to, że sama nie byłam w stanie się zmusić, by opłakiwać śmierci rodzica, który nas wychował, by uznać jego nieobecność. Łzy napłynęły mi do oczu i gwałtownie wciągnęłam powietrze, ulegając ich sile i obfitości.

– Skąd wiedziałaś? – spytała mnie Evie. Przez mobilną sferę jej głos wydawał się odległy.

– Miałam cię zapytać o to samo. Byłaś tu przede mną?

– Nie, oni przyszli do nas. Wczoraj zjawili się bez zapowiedzi. Od tamtej pory nie przestaję płakać.

– Oni?

Jej głos przeszedł w szept, jakby bała się, że ktoś nas podsłucha.

– BSR.

– BSR? – spytałam. – Co to ma z nimi wspólnego?

– Dostaliśmy NSR, Kit. Za używanie mleka modyfikowanego. Dostaliśmy pieprzony NSR, bo podawaliśmy Jakobowi sztuczny pokarm.

– Evie, poczekaj. Nie dzwonię w tej sprawie. Chodzi o tatę.

Kiedy już jej o tym powiedziałam, po drugiej stronie zapadła cisza. Usłyszałam tylko, jak Evie wciąga powietrze.

– Możesz tu przyjechać? – spytałam. – Jestem u niego. Zaraz wezwę karetkę, ale czy możesz przyjechać?

– Oczywiście. Zaraz tam będę. – Potem się zawahała. – Kit? To prawda?

– Odszedł. – Wypowiedziałam to słowo powoli, łagodnie, z przedziwnym poczuciem, że nie mówię tego Evie, tylko sobie.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, czekając, aż przyjedzie. Nie byłam w stanie usiedzieć na sofie ani podkulić nóg na jednym z krzeseł przy stole. Sięgałam po oprawione w ramki zdjęcia, studiowałam zamarłe, uśmiechnięte twarze. Obejrzałam stertę poczty przy tosterze i odłożyłam ją z powrotem na miejsce. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tu byłam, i jedynym wspomnieniem, które przyszło mi na myśl, był wielkanocny obiad kilka lat temu, kiedy tata ugotował jagnięcinę dla Evie, Seba i dla mnie.

Naprawdę nie byłam tu od tego czasu? Ogarnął mnie żal, ale wtedy pomyślałam o tym, kiedy ostatnio go widziałam: pojechaliśmy zobaczyć się z Evie i Jakobem, a potem zabrał mnie na działkę i z dumą chwalił się pomidorami, które hodował w szklarni. Kiedy tam byliśmy, jego palce nawet przez chwilę nie odpoczywały. Nieustannie obrywał listki, przesuwał owoce, żeby miały więcej miejsca, zwisając na krzaczkach, i wydawało się, że rośliny rozkwitały i rozrastały się bujnie pod jego dotykiem. Wychodząc, kłaniał się każdemu, kogo mijaliśmy. Jakaś para zatrzymała go, żeby poprosić o radę. Zaczęli mu opowiadać, jak rośnie sadzonka, którą od niego dostali. Wychodzenie stamtąd zajęło nam tyle czasu, że w końcu go zostawiłam i poszłam sama, bo byłam umówiona z przyjaciółmi na kolację.

– Na razie, kochanie – powiedział, choć był skupiony na czymś innym. Kiedy się oddalałam, słyszałam łagodny tembr jego głosu, jak cichy akompaniament dla moich kroków. Wspominając to ostatnie spotkanie i to, jak się rozstaliśmy, jeszcze raz pozwoliłam sobie, by się rozpłakać. Ale to nie był ów rozpaczliwy, rozdzierający szloch, jak podczas rozmowy z Evie przez mobilną sferę. Te łzy sprowadziło wspomnienie szczęśliwej, pogodnej chwili z kimś, kogo kochałam i kto kochał mnie.

Tamtego dnia już nie płakałam. Gdy ratownicy zabierali ciało taty, byłam spokojna, niemal zdystansowana. Szczegółowo odpowiedziałam na ich pytania. Nie, nic nie wiem o chorobach serca w mojej rodzinie. Tak, przewróciłam zwłoki. Nie, nie próbowałam go reanimować. Dlaczego? Bo wiedziałam, że już nie żyje.

Nie załamalam się, kiedy wyszli, transportując na noszach jego ciało przykryte kocami tak, że przypominał już tylko kilka nierównych worków.

Nie płakałam, kiedy zaczęłam przeglądać jeden z naszych starych albumów ze zdjęciami, które znalazłam na regale taty. Uśmiechnęłam się do dwuletniej

siebie siedzącej na jego kolanach, wpatrzonej w płaszącą przed nami Evie, i przerzuciłam wiele stron dokumentujących nasze wspólne życie. Byłam bliska łez tylko w chwili, gdy otworzyłam lodówkę i zobaczyłam niemal puste, schludnie utrzymane półki: trzy blade cukinie i trochę fasolki w pojemniku na owoce oraz na środkowej półce gotową zapiekankę pasterską dla jednej osoby.

Zawsze nam powtarzał, że pierwszą rzeczą, jaką nauczył się przyrządzać po śmierci mamy, była zapiekanka pasterska. Miał szczęście, bo była to jedna z nielicznych rzeczy, którą obie z Evie byliśmy gotowe jeść.

Kiedy Evie przyjechała i wpadła do mieszkania taty z powieszonym na przedramieniu dziecięcym fotelikiem, w którym leżał wygodnie Jakob, zastanawiałam się, czemu tak się upierałam, żeby od razu przyjechała. Wtedy wydawało się to ważne, ale teraz, gdy już zabrali ciało taty i dotarło do mnie, że świat nie przestał się kręcić, cała pilność tej sprawy gdzieś się ulotniła.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam – powiedziała zdyszana, rozglądając się jak ktoś, kto szuka dla siebie zajęcia. Chwilę później, przybita, snuła się po mieszkaniu tak jak ja wcześniej, jakby czegoś szukając. Brała do ręki stare rzeczy i odkładała je na miejsce.

– Ratownicy podejrzewają, że to był atak serca, ale więcej będą mogli nam powiedzieć dopiero za jakiś czas, kiedy już go zbadają. Nie ma jednak pośpiechu, bo nic nie świadczy o popełnieniu przestępstwa czy czymś podobnym. Wyglądało to tak, jakby po prostu zasnął.

– Sprawdziłam na swojej mobilnej sferze – wyznała Evie. – Zadzwoił chwilę po dwunastej, tuż po tym, jak wyszli funkcjonariusze BSR, i wszystko mu opowiedziałam. Tak bardzo próbował mnie wesprzeć, wciąż powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Nie mogę znieść myśli o tym, że tam leżał. I żadna z nas o tym nie wiedziała.

Skinęłam głową.

W tym czasie na pewno byłam czymś zajęta – jadłam obiad, odsłuchiwałam kolejne rozmowy Jonaha z córką, a może spałam, słuchałam muzyki albo leżałam w wannie.

W tym czasie jeszcze żył, a chwilę później już nie, i ja o tym nie wiedziałam.

– Mam nadzieję, że za bardzo nie cierpiał... – powiedziała Evie. Prawie udało jej się dobrać do końca zdania, ale niezupełnie. Głos jej zadrżał, twarz się

wykrzywiła.

Przylgnęłyśmy do siebie.

Przypominało mi to te długie noce po śmierci mamy, gdy wpełzałam do łóżka Evie i chowałyśmy się pod kołdrą, jakbyśmy chciały stłumić nasze głosy, ochronić się przed nieznanymi siłami. Robiło się tam gorąco i duszno od naszych oddechów, a wtedy Evie brała jakąś dużą książkę i podpierała kołdrę, robiąc coś w rodzaju namiotu.

W te ciemne noce, kiedy rozmawiałyśmy, leżąc obok siebie, ze splecionymi dłońmi, wydawało się, że to najbezpieczniejsze miejsce z możliwych. Później tata opowiadał, że próbował przenieść mnie do mojego łóżka, ale nawet przez sen tak strasznie protestowałam, że poddawał się i zostawiał nas tam razem, choć było nam ciasno.

– Chyba powinnyśmy porozmawiać, co teraz zrobić – odezwała się Evie, gdy już odsunęłyśmy się od siebie. – Z pogrzebem i... ze wszystkim.

– Jest na to czas. Nie zaczynajmy tego jeszcze. A tak w ogóle – przypomniałam sobie nagle – opowiedz mi o tym NSR-ze. Co się stało?

– Och, tamto – powiedziała z goryczą Evie. Jej twarz wykrzywiła się na to wspomnienie. – Ta kobieta po prostu zjawiła się na progu. Jakby znikąd. Nie miałam pojęcia, czego chce. Jezus, nawet zaproponowałam jej herbatę.

– Jak wyglądała? – spytałam ostro, bo przemknęło mi wspomnienie twarzy funkcjonariuszki BSR u Marie i Leo. Jej matowe brązowe włosy, twarde, przenikliwe spojrzenie.

– Była dość młoda. Ładna. Długie blond włosy. Nie taka jak tamta, na którą natknęliśmy się na parkingu. Była niemal jej przeciwieństwem. Szczupła, dobrze ubrana. Mówiła bardzo rzeczowo. Powiedziała po prostu, że słyszała, że mamy problemy z odzyskaniem wagi urodzeniowej dziecka, a ja jej wyjaśniłam, że teraz już jest w porządku, że jego waga mieści się w odpowiednim centylu. Ale wtedy zapytała, czy używamy czegoś oprócz karmienia piersią.

Głos Evie zdrzął i przez chwilę czułam się tak, jakby ta rozmowa odbywała się przy mnie, jakbym przeżywała ją na nowo. Pewnie Evie zawahała się tak jak teraz, kiedy ta kobieta zaczęła ją wypytywać. Jej spojrzenie powędrowało do torby z rzeczami Jakoba, do butelki z mlekiem modyfikowanym, leżącej wśród zapasowych pieluszek, nawilżanych chusteczek i smoczków.

– Nie mogłam skłamać. Wiedziałam doskonale, dokąd zmierza, ale to by tylko jeszcze pogorszyło sytuację. Ona już wiedziała, wyczułam to. Wyjaśniłam więc dokładnie, co robimy. Że karmię go piersią, ale uzupełniamy te posiłki mlekiem modyfikowanym, żeby prawidłowo przybierał na wadze.

Evie wciągnęła powietrze do płuc, niemal sapiąc, jakby opowiadając to wszystko, zapomniała o oddychaniu. Złapała się za gardło, powietrze zaświszczało, ale to nie powstrzymało jej przed dokończeniem historii.

– Potem powiedziała... Powiedziała, że ponieważ używaliśmy mleka modyfikowanego bez odpowiedniego zezwolenia, będzie musiała natychmiast wystawić nam NSR.

– Potrzebne jest zezwolenie na używanie mleka modyfikowanego?

– Tak – odparła Evie, nie patrząc mi w oczy. – Do tego stopnia są zwolennikami karmienia piersią. Jeśli ubiegasz się o pozwolenie na używanie mleka modyfikowanego, możesz z miejsca dostać za to NSR. Dlatego zdobyłam je nieoficjalnymi kanałami. Myślałam, że jeśli tylko uda mi się... Cóż, to już nie ma znaczenia. Zapytała, skąd mieliśmy mieszankę, i musiałam wymyślić historyjkę o jakiejś mamie, która dała mi torbę na placu zabaw. Że niby miała stosowne pozwolenie, ale już nie potrzebowała tego mleka. Funkcjonariuszka pytała o jej nazwisko, ale powiedziałam, że nigdy potem jej już nie spotkałam. A później poinformowała mnie, że nie możemy kwestionować tego NSR-u, bo zalicza się do jakiejś kategorii czy coś w tym stylu. Wtedy przestałam jej słuchać. Patrzyłam tylko na Jakoba. Wpatrywałam się w jego buzię i nie widziałam nic poza nią. Tylko jego małeńki nosek. Jego powieki. Policzki. Powiedziała coś w stylu: „Rozumiesz?”. A właściwie nie. Powiedziała: „Czy rozumiesz, co zrobiłaś?”. Wypełniła papiery i sobie poszła. Po prostu zostawiła mnie z tym zmiętym świstkiem i już jej nie było. – Evie zaczęła szukać czegoś w torbie z rzeczami Jakoba i wyciągnęła cienką jak łuska cebuli kartkę. Poznałam niebieską czcionkę BSR w nagłówku i logo z komiksowych kótek, które nakładały się na siebie, tworząc trzyosobową rodzinę. Reszta kartki pokryta była starannym pismem, a drobne, równiutkie literki wyglądały tak, jakby napisało je dziecko.

– Ile ich teraz macie? – spytałam. – Ile musielibyście dostać, żeby...

– Siedem. Więc zostało nam sześć. I trochę ponad dziesięć miesięcy, nim Jakob skończy roczek.

Dzieci mogły zostać poddane ekstrakcji w każdym wieku, ale statystyki nie kłamały – po pierwszych urodzinach stawało się to znacznie mniej prawdopodobne. Poza tym NSR-y były co roku resetowane. Jeśli udało się nie dostać ich zbyt wiele w pierwszych dwunastu miesiącach, zazwyczaj oznaczało to, że twoje dziecko nie zostanie poddane ekstrakcji. Wpajano nam, że jeśli utrzymywało się standardy BSR w tym pierwszym, kluczowym dla dziecka okresie, to najpewniej zostaną one utrzymane również w przyszłości. Oczywiście rodziny nadal były monitorowane.

– Nie dojdzie do tego, Evie – powiedziałam. – Nie ma takiej możliwości. Wszystko robisz jak trzeba. Tak ciężko pracujesz.

– Ale to, co robisz, nie do końca działa, prawda? Od teraz będziemy musieli przestać podawać mu mieszankę. A co, jeśli jego waga spadnie? Wtedy na pewno znów zapukają do drzwi. Ale, co ważniejsze, nie chcę też, żeby znów zszedł niżej na siatce centylovej. To niezdrowe. To by nie było dla niego dobre. Wolę, żeby go nam zabrali i był szczęśliwy i zdrowy, niż żeby był z nami i nie rozwijał się prawidłowo.

– Ale to ważne, że nadałaś temu priorytet, prawda? Mam na myśli niedożywienie Jakoba.

– Oni tak tego nie widzą – powiedziała żałośnie Evie. – Ta kobieta wspomniała coś o tym, że nie dają szansy karmieniu piersią. Moglibyśmy się oczywiście ubiegać o pozwolenie na używanie mieszanki, ale wtedy od razu dostaniemy kolejny NSR.

– Skąd ją wzięłaś? Tę mieszankę, której używałaś.

– Och, ktoś mi powiedział, gdzie ją zdobyć – odparła niejasno. Skrzywiła się, jakby chciała o tym zapomnieć, więc na nią nie naciskałam. Objęła się ramionami. – Może... może za mało się starałam przy karmieniu piersią...

– Przecież to kompletne szaleństwo. – Widziałam, jak Evie się z tym zmagала. Powiedziała mi, że przez pierwszych kilka nocy Jakob płakał w nieskończoność i za każdym razem, gdy próbowała przystawić go do piersi, odsuwał się i krzyczał jeszcze głośniej.

– Kit, nie możesz tak mówić. Musimy przestrzegać ich zasad. Bo jaki mamy wybór?

T E R A Z

Zanim to wszystko się wydarzyło, nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby złamać przepisy o podróżowaniu z dzieckiem, ale teraz pakuję Mimi na tylne siedzenie samochodu. Układam ją i okrywam płaszczem najlepiej, jak umiem, tak by nie było jej widać. Zapinam jej pasy bezpieczeństwa i dla pewności sprawdzam, czy na pewno dobrze się dopięły, ale to kiepski substytut dziecięcego fotelika.

Odjeżdżam bardzo powoli, starając się nie budzić podejrzeń. Zerkam w lusterku na zwieszoną główkę śpiącej Mimi. Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas się nie obudzi i będę mogła ją stąd spokojnie wywieźć.

Od jakiegoś czasu tłukła mi się po głowie myśl, żeby na własną rękę spróbować znaleźć łódź, na którą zabraliby mnie razem z Mimi. Nie wiem jednak, gdzie jej szukać ani jak skontaktować się z kimś, kto by mi w tym pomógł.

Nie mogę pojechać do hotelu. Myślę o napakowanej gotówką torbie, którą w pośpiechu zostawiłam. Jeśli pojedziemy do Santy, znajdą nas z łatwością. Chcę dotrzeć do Thomasa, ale nie jestem pewna, gdzie teraz jest, a nie mam jak się z nim skontaktować.

Potrzebuję pieniędzy, i to sporo. Potrzebuję kogoś, kto da mi pieniądze.

Możemy się udać tylko w jedno miejsce – może nie jest idealne, ale zawsze to coś.

Będzie musiało wystarczyć.

W T E D Y

Utknęliśmy w innej rzeczywistości – w miejscu, które wydawało się bardzo odległe od naszego wcześniejszego życia i z którego nie potrafiliśmy uciec.

Zrobiłam sobie przerwę w pracy i większość czasu spędzałam u Evie i Seba. Moje dni były wypełnione pomaganiem siostrze przy Jakobie lub przeglądaniem rzeczy taty. Wieczorami zbieraliśmy się we troje. Dla Seba i dla mnie posiłki oznaczały kilka kęsów tosta albo jakieś kupione kilka dni wcześniej danie na wynos, ale Evie starała się pobudzić laktację. Szykowaliśmy więc dla niej talerze pełne jedzenia i stawialiśmy je w zasięgu tej ręki, która nie podtrzymywała akurat główki Jakoba. Uzupełnialiśmy wodę w butelkach, która wydawała się znikać, gdy tylko spojrzeliśmy w inną stronę. Kiedy Evie nie karmiła, zaczęła używać laktatora, bo słyszała, że to może pomóc zwiększyć produkcję mleka. Siedziała podłączona do podwójnej pompki, próbowała jeść, próbowała pić, uspokajała się ćwiczeniami oddechowymi, a na koniec unosiła butelkę, w której był ledwie centymetr albo dwa płynu.

Mina jej rzedła, kiedy widziała tę nędzną ilość, ale nie narzekała, gdy po godzinie nie było go więcej. Kiedy Jakob znów zaczynał płakać z głodu, bez słowa odkładała laktator i przyciągała go do siebie.

Wtedy wydawało się, że ledwie udaje nam się przetrwać. Działaliśmy na mieszanke żałoby, złości i rozpacz.

Wieczorami nasze rozmowy nieuchronnie kręciły się wokół taty. Wydawało się, że jest tak wiele do załatwienia: pogrzeb, mieszkanie, uporządkowanie spraw z jego życia – począwszy od drobnych rzeczy, takich jak anulowanie subskrypcji, aż po pytanie, co zrobić z jego działką. Jednak gdzieś w tle wciąż czaiły się NSR-y, troska o Jakoba i strach o to, co teraz zrobi BSR.

Działaliśmy sobie na nerwy. Pewnego ranka, kilka dni po śmierci taty, poszłam do jego mieszkania. W sumie nie miałam żadnego konkretnego powodu, po prostu mnie tam ciągnęło. Chciałam poczuć, że jestem blisko niego, znaleźć jakieś stare fotografie, poszukać jego odręcznych notatek. Ale gdy przyjechałam na miejsce, usłyszałam za drzwiami jakieś hałasy.

– Evie? – zawołałam.

– Co ty tu robisz? – spytała. Wybiegła mi na spotkanie lekko zarumieniona. Nie wiedziałam, czy płakała, czy może był jakiś inny powód.

– Właściwie to nie wiem – odparłam. – Chciałam tu po prostu trochę pobyc.

– Przeglądam rzeczy taty – powiedziała.

– Pomogę ci – zaproponowałam.

– Nie. To znaczy... w pewnym sensie ja za to odpowiadam. Jako najstarsza. Chcę to zrobić.

– Jesteś pewna?

– Tak. Ale jest tego mnóstwo. Mogłabyś wrócić później? Żebym mogła się skupić? Jakob śpi, ale mam mało czasu, zanim znów się obudzi.

– Cóż, chyba tak. Słuchaj, na pewno nie chcesz, żebym ci pomogła? To, że jesteś starsza, nie oznacza, że wszystko musisz robić sama.

– Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę – zapewniła Evie. – Chcę to zrobić. – W jej głosie pojawiła się jakaś zawziętość, która powstrzymała mnie przed zadawaniem dalszych pytań.

Później, gdy wróciłam do mieszkania taty, zauważyłam, że Evie zabrała wszystkie jego papiery – listy, zdjęcia, dokumenty, wszystko. Natychmiast do niej zadzwoniłam ze swojej mobilnej sfery.

Kiedy odebrała, jej twarz była odwrócona od ekranu, mówiła do Seba.

– Kiedy mówię „pilnuj go”, to go pilnuj. Pilnuj go, bo jak Boga Kocham... Dziękuję – powiedziała głosem ociekającym sarkazmem, a potem odwróciła się do mnie. – Kit? Mam mało czasu. Co się dzieje?

– Wracam od taty. Zabrałaś prawie wszystko.

– Co takiego? Tylko trochę jego papierów.

– Wszystkie. Wszystkie jego papiery.

– Właśnie je przeglądam i przygotowuję dla notariusza. Robienie tego tutaj ma więcej sensu.

– Pozwól mi przyjechać i ci pomóc.

Przeczesała ręką włosy, jakby chciała je sobie wyrwać, a potem jej spojrzenie znów powędrowało na Jakoba.

– Możemy pogadać o tym później? Przepraszam, Kit, to nie jest dobry moment. Nie mogę... – Ale nie dokończyła zdania. – Niedługo do ciebie zadzwonię.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, gwałtownie zamknęła ekran.

Wmawiałam sobie, że to z powodu jej zmęczenia, że to wszystko z powodu życia pod ogromną presją, ale i tak nie mogłam powstrzymać guli rosnącej w gardle i poczułam się bardzo, bardzo samotna.

Postanowiłam, że spróbuję jej pomóc najlepiej, jak potrafię. Chociaż nigdy nie oddzwoniła do mnie w sprawie dokumentów taty ani nawet o nich nie wspomniała, chętnie przyjęła moją pomoc w przygotowaniu domu na ewentualne niespodziewane wizyty funkcjonariuszy BSR. Zaczęłyśmy od mleka modyfikowanego. Wiedziałam, że Evie nie chce go wyrzucać, więc zaproponowałam, że mogę przechować to, co jej zostało. Potem zabrałyśmy się do sprzątania, jakbyśmy chciały w ten sposób wymazać obecność funkcjonariuszy w naszym życiu; zaczęłyśmy od kuchni. Moja siostra karmiła piersią z zacięciem, z ponurą determinacją, ale Jakob jakby wyczuwał tę surowość w jej mleku, bo często przestawał jeść i zaczynał płakać. Nic nie było w stanie go uspokoić. Ani więcej mleka, ani kołysanie w ramionach tak jak zwykle.

– Chyba wciąż jest głodny – mówiła Evie błagalnym tonem. Nie musiała nic więcej dodawać. Rozumiałam, co to znaczyło.

Gdy zużyła resztę mieszanki, którą dla nich przechowywałam, spytała, czy mogłabym zdobyć więcej. Nie mogłam jej kupić w sklepie, bo receptę można było uzyskać wyłącznie drogą oficjalną, ale Evie znalazła sposób. Nie było żadnej „mamy na placu zabaw”, wszystko odbywało się przez bibliotekę.

– Bibliotekę? – spytałam z powątpiewaniem. – Gdzie to usłyszałaś?

– Od innej mamy. Któregoś dnia byłam poza domem i próbowałam karmić Jakoba piersią, ale oczywiście mi nie wychodziło. Wtedy do mnie podeszła.

– Co dokładnie powiedziała?

– Spytała, czy wszystko w porządku, a potem powiedziała, że gdybym potrzebowała dodatkowej pomocy, powinnam zajrzeć do biblioteki w dzielnicy South East.

– Czyli w ogóle nie wspomniała o mieszaneczce?

– Cóż, nie użyła tych słów... Kiedy pierwszy raz tam poszłam, nie byłam nawet pewna, czego się spodziewać. – Evie wydawała się trochę zagubiona. – Poszłabyś tam? Zrobiłabym to sama, ale nie chcę ryzykować, na wypadek gdyby...

Evie wyjaśniła mi, gdzie mam się udać. Biblioteka w dzielnicy South East mieściła się w jednej z sal miejscowego szpitala. Ponieważ książki zostały załadowane do sieci sfer, biblioteki nie zajmowały już całych budynków. Poupychano je w małych pomieszczeniach, wciśnięto w kąty publicznych budynków i często – tak jak w tym przypadku – prowadzili je wolontariusze.

Kiedy tam przyjechałam, miejsce wydało mi się dziwne, ale nie potrafiłam powiedzieć dlaczego.

Młoda kobieta za ladą w pierwszej chwili sprawiała wrażenie, jakby spodziewała się kogoś innego, ale potem wyraz jej twarzy się zmienił i posłała mi lekki, nerwowy uśmiech. Jej włosy były obcięte tak krótko, że dokładnie widziałam kształt jej głowy, każdą wypukłość, każdą linię. Nosiła luźną sukienkę i buty do kostek. Na półce wciąż leżały jakieś książki, a całą ścianę zajmowały broszury BSR. Było ich mnóstwo. Obejście całego pomieszczenia zajęłoby nie więcej niż minutę. Przy jednym ze stolików siedział starszy mężczyzna, który nad czymś się pochylał. Byłam podenerwowana i przez chwilę starałam się udawać, że zajrzałam tu tylko po to, by przeglądać książki. Podeszłam do regału z żółtymi, wyblakłymi wydaniem kieszonkowymi, ich strony były podniszczone, pozawijane. Zerknęłam szybko na mężczyznę i zobaczyłam, że układa puzzle; już prawie skończył zewnętrzną ramkę.

Spojrzałam na kobietę. Obgryzała palce z oczami utkwionymi w drzwiach. W tamtej chwili, gdy skubała knyki, wydawała się jeszcze młodsza. Musiała wyczuć moje spojrzenie. Odsunęła rękę od ust i popatrzyła mi w oczy.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Uhm... Ktoś prosił, żebym tu przyszła w jego imieniu – mówiłam ścisłym głosem, choć w tym cichym pomieszczeniu mężczyzna układający

puzzle i tak mnie słyszał. Wtedy mnie uderzyło, dlaczego to miejsce wydało mi się takie dziwne: nie było tykających nad głową sfer. Bez nich panowały tu cisza i spokój. – Ta osoba prosiła mnie, żebym pokazała pani tę kartę. – Podałam jej kartę biblioteczną. Nie było na niej nic, co wskazywałoby na Evie, tylko długi ciąg cyfr i logo biblioteki.

Kobieta przyjrzała się karcie, zanotowała numer i oddała mi ją.

– Proszę przyjść jutro. Dziś nic nie mamy. Jutro będzie tu ktoś inny, ale będziemy mieli to, czego pani potrzebuje. Niech pani nie zapomni torby. I proszę wziąć ze sobą tę kartę. Przyjmujemy tylko gotówkę.

– Ile? – spytałam. Evie dała mi pieniądze, by zapłacić. Powiedziała, że biorą tyle, na ile daną osobę stać, ale chciałam się upewnić, czy nic się nie zmieniło.

– To działa na zasadzie „zapłać, ile możesz”.

Gdy wróciłam następnego dnia, młodej kobiety z wczoraj faktycznie nie było; zastąpiła ją inna, o wiele starsza. Nosiła okrągłe bransolety, które pobrzękiwały za każdym razem, gdy poruszała nadgarstkami. Siedziała z mężczyzną, który wciążył w milczeniu wpatrywał się w puzzle.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Byłam tutaj wczoraj i...

– Ma pani ze sobą kartę?

Podałam ją kobiecie. Zerknęła na numer i oddała mi ją.

– Ile pani potrzebuje? Dziś mogę pani dać najwyżej osiemset gramów.

– W takim razie niech będzie osiemset gramów, a później zobaczymy.

– Proszę mi dać torbę, zapakuję to pani.

Podałam jej sfatygowany plecak, a ona zniknęła w czymś, co wyglądało na pomieszczenie gospodarcze. Gdy wróciła, plecak był solidnie wypchany. Podałam jej pieniądze, które przyjęła bez liczenia.

– Dziękuję – powiedziała z szerokim uśmiechem i tonem, który wydawał się maskować całe zdarzenie.

Zajrzałam do plecaka dopiero po powrocie do domu. W środku znajdował się nieopisany słój z kremowobiałym proszkiem. Mógłby to być jakiś rodzaj mąki. Wyglądał zupełnie niewinnie.

Trzymałam ten słój w torbie i zawsze nosiłam go ze sobą. Gdyby któregoś dnia Jakob był głodny i płakał, mogliśmy przyrządzić z tego zapasu butelkę

pokarmu i podać mu oprócz mleka matki.

– Wiesz może, czym jeszcze zajmują się ci ludzie z biblioteki? – spytałam Evie.

– Nie – odparła. – I nie chcę wiedzieć.

Poprosiła mnie, żebym nie mówiła o tym układzie Sebowi.

NSR wstrząsnął nim bardziej, niż był skłonny to przyznać. Kiedy byliśmy u nich w domu, żartował o BSR, a potem głośno się śmiał. Szeroko rozkładał ręce, jakby chciał wygłosić jakieś przemówienie, a potem łapał cię za łokieć albo za ramię, gdy dochodził do puenty. Ale żarty nie były szczere i widać to było po jego oczach.

– Jak myślisz, jak sobie radzi? – spytał mnie ściszym głosem pewnego wieczoru, gdy Evie wyszła do płaczącego Jakoba.

– Evie? Tak dobrze, jak tylko można sobie życzyć. A co z tobą?

– Ze mną? No wiesz, czuję się kompletnie bezsilny i nienawidzę tego. Taki już jestem. Ale chciałem spytać o Evie, bo martwię się, że czuje się za to bardziej odpowiedzialna niż ja. Karmienie piersią było trudne, a ona od razu doszła do wniosku, że mleko modyfikowane to jedyny sposób.

Zjeżyłam się.

– Modyfikowane mleko pomogło Jakobowi przybrać na wadze. Nie było innego wyjścia.

– Cóż... – Seb wzruszył ramionami i lekko się ode mnie odsunął. – Nie mieliśmy na to pozwolenia.

– Zaczynasz mówić tak, jakbyś był po ich stronie – zauważyłam.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Próbuję tylko zrozumieć, dlaczego to się przytrafiło właśnie nam, i martwię się, że Evie może czuć się za to bardziej odpowiedzialna.

– A uważasz, że była bardziej odpowiedzialna?

– Jasne, że nie. Ale skoro używaliśmy mleka modyfikowanego bez zezwolenia, to się musiało źle skończyć, prawda? Nie powiedziała mi, że go nie mamy.

– A co, według ciebie, powinna była zrobić?

Seb się rozżłościł, ale uratował go powrót Evie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, wszystko dobrze. – Uśmiechnął się, a ona wzruszyła ramionami. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że rozmawialiśmy o niej. Usiadła na sofie obok nas, ale, jak zauważyłam, wybrała miejsce na tyle odległe, by ciała jej i Seba się nie dotykały, i obserwowała go spod zmrużonych powiek.

Od tamtego wieczoru ja też zaczęłam na niego trochę inaczej patrzeć.

Następnego dnia rano Evie otworzyła mi drzwi z Jakobem na rękach. Miała sine cienie na twarzy i zaczerwienione, przekrwione oczy.

– Co się stało? – spytałam natychmiast.

– Po prostu kolejna kłótnia. I nie mogliśmy nawet porządnie na siebie nawrzeszczyć, bo ktoś mógłby nas usłyszeć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– BSR kładzie wielki nacisk na pozytywne relacje w rodzinie. Kłótnia z partnerem to dla nich poważny sygnał alarmowy. Gdyby sąsiedzi to zgłosili albo gdyby akurat przechodził tędy funkcjonariusz...

– Ale chyba nic nie słyszeli?

– Ostrożności nigdy za wiele. Chociaż doprowadza mnie to do szału. W tej chwili mam ochotę tylko wrzeszczyć, ale...

Wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy, jakby próbowała zapanować nad dziką furją.

– Prawie trzasnęłam drzwiami i wyszłam. Jeszcze nigdy w życiu nie wpadłam w taką wściekość – ciągnęła. – Ale potem pomyślałam, że przecież nie mogę zostawić Jakoba, i się powstrzymałam. Seb znalazł mleko modyfikowane.

– I co powiedział?

– Ciągłe naciska, żebyśmy ubiegali się o zezwolenie. Jestem na niego po prostu... wściekła. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie możemy tego zrobić, że zwrócilibyśmy na siebie uwagę. To byłoby jak zapraszanie BSR do naszego domu. Obwinia mnie o to, co się stało, ale nie chce się do tego przyznać. Nie jestem pewna, co rozłościło mnie bardziej: to, że naciska, żebyśmy spróbowali dostać zezwolenie, że jego zdaniem to moja wina, czy też to, że nie chce przyznać, co tak naprawdę czuje. Musimy przetrwać tych kilka kolejnych tygodni. Wiem, że jestem w stanie to zrobić. – Mówiąc, zgrzytała zębami i widziałam napięcie w całym jej ciele.

– Przykro mi, Evie. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Wzięła głęboki wdech.

– Nie wolno ci nikomu powiedzieć o mieszance, którą dla nas przechowujesz, dobrze? Nie mówiłam mu, że jesteś w to zamieszana.

– A jak Jakob?

Evie zmarszczyła brwi.

– Za wolno przybiera na wadze. Spadł o parę centyli.

Zerknęła na synka, który utkwiał w niej swoje nieruchome spojrzenie. Wpatrywał się w nią wielkimi oczami, jakby prowadzili niemy dialog.

– Poprawimy się w karmieniu piersią, prawda, kolego? A potem na dobre pozbędziemy się tych funkcjonariuszy. – Wyciągnęła do niego palec, a on złapał go mocno i zacisnął na nim piąstkę.

Zupełnie jakby ściskali sobie ręce.

Przygotowania do pogrzebu taty toczyły się bocznym torem, zdawały się czymś odległym. Jakoś udało nam się przebrnąć przez organizację tego wszystkiego. Ze względu na sytuację związaną z Jakobem powiedziałam Evie, że wszystko zaplanuję, a potem się z nią skonsultuję, by mieć pewność, że na wszystko się zgadza. Kiedy to zaproponowałam, otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Jakob znów zaczął płakać i musiała się nim zająć. Zgodziła się zrezygnowana.

Choć od lat nie spędzałyśmy tyle czasu razem, między mną a siostrą rosła przepaść. Czasem przyłapywałam ją na tym, jak patrzy w dal, a na jej twarzy widać było mieszaninę różnych emocji, których nie umiałam do końca rozszyfrować: smutek, niedowierzanie, złość, ogromne zmęczenie. Kiedy jednak próbowałam do niej dotrzeć, wycofywała się. Patrzyła na mnie, jakby było coś, o czym chciała mi powiedzieć, ale jej usta pozostawały zamknięte, oczy zmartwione i powtarzała tylko, że to nic takiego.

– Po prostu jestem zmęczona – odpowiadała i się odwracała.

Kilka razy wracałam do biblioteki po kolejne mieszanki. Za każdym razem wszystko odbywało się tak samo. Kilka razy spotkałam tamtą starszą kobietę, ale młodsza, która była tam podczas mojej pierwszej wizyty, już się nie pojawiła. Evie nadal karmiła piersią mimo zablokowanych przewodów mlecznych i zapalenia sutka. Dzielnie to wytrzymywała, przełknęła ból, choć wciąż był

wypisany na jej twarzy. Pewnego dnia powiedziała mi, że nie muszę już wracać po więcej mleka.

Decyzji do podjęcia w sprawie pogrzebu było coraz więcej. Piętrzyły się one przede mną, aż w końcu pękłam i decydowałam o wszystkim na podstawie pierwszej myśli, jaka przychodziła mi do głowy. Granitowy nagrobek. Dębowa trumna. Wiersz. Gdybym spróbowała analizować te wybory albo zastanawiać się nad tym, co by się najbardziej podobało tacie, zgubiłabym się w labiryncie niepewności.

Codziennie chodziłam na jego działkę. Brałam doniczki, które zostawił na kolejne sadzonki pomidorów, przeglądałam brązowe koperty z nasionkami i sadziłam je, tak jak mnie nauczył.

Z początku cisza wytrącała mnie z równowagi. Przywykłam do nieustannego hałasu sfer, który wypełniał mi uszy i głowę. Nie minęło jednak dużo czasu, gdy zaczęłam czekać na tę ciszę, pragnąc jej. Na działce słyszałam odgłosy przekopywania ziemi szpadlem, chłupot błota pod butami, wyraźny, czysty śpiew kosa nad głową.

Często padało, a wtedy stałam w szklarni albo w małej zagraconej szopie i czekałam, aż przestanie. W tych momentach zaczynałam słuchać tak jak nigdy dotąd. Wsłuchiwałam się w deszcz i zakochiwałam się w nim, w dźwięku kropel uderzających o ziemię i bębniących o dach.

Nie należę do ludzi, którzy wierzą w duchy czy życie pozagrobowe, ale wielką przyjemność sprawiało mi wyobrażanie sobie rąk taty kierujących moimi, kiedy zajmowałam się działką. Robiłam dziury w czarnym, lepkim kompoście i wrzucałam do nich nasionka, które wyglądały jak drobiny kurzu. Naprawdę czułam się tak, jakby tata był tam ze mną. Czasem przyłapywałam się na tym, że w tej ciszy nasłuchuję czegoś jeszcze: jego głosu. To właśnie przy jednej z takich okazji przyszedł mi do głowy najlepszy pomysł związany z pogrzebem, coś, co wreszcie wydawało się godne taty. Natychmiast zadzwoniłam do Evie, żeby jej o tym powiedzieć.

– Wreszcie wymyśliłam, co powinnyśmy zrobić z kwiatami – powiedziałam jej. – Nie będzie żadnych kwiatów.

– I co, zamiast tego wszyscy wpłacą jakieś datki na walkę z chorobami serca?

– Cóż, tak też mogłybyśmy zrobić, ale przyszło mi do głowy, żeby zamiast kłaść kwiaty na trumnie, ozdobić ją warzywami wyhodowanymi na działce. Nie uważasz, że tacie to by się spodobało?

– Kit... – zaczęła, a potem wahała się przez chwilę i w końcu doszła do wniosku, że musi być brutalna. – To okropny pomysł.

Skończyło się na goździkach. Różowych i białych puchatych kulkach, które kiwały się wesoło na srebrzystych łożyczkach. Były zbyt trywialne, zbyt radosne, ale jakie to miało znaczenie? I tak ich nie widział.

Na dzień przed pogrzebem Evie i Seb dostali drugi NSR. Tym razem dokument został wysłany pocztą w nijakiej białej kopercie z nadrukowanym adresem. Wyglądał zupełnie inaczej niż pierwszy, odręcznie wypełniony formularz. Gdy go oglądaliśmy, zastanawialiśmy się, czy nie wypłuł go jakiś komputer, zupełnie bez udziału człowieka.

W dokumencie dużymi literami napisano, że powodem niepokoju jest waga Jakoba, i dodano, w przeciwieństwie do pierwszego, że NSR można zaskarżyć w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli rodzice są przekonani, że dziecko przybrało na wadze i może zostać usunięte z rejestru BSR.

Siostra zadzwoniła do mnie, by o tym powiedzieć, kiedy szykowałam jedzenie na stypę. W jednym z napadów podejmowania decyzji postanowiłam zrobić quiche, ale szybko pożałowałam tego pomysłu. Ciasto kruszyło mi się w rękach i musiałam zaczynać wszystko od początku. Myśl o skończeniu tego dania wydawała mi się tak nieprawdopodobna i odległa, że niemal przegapiłam połączenie od Evie, bo akurat postanowiłam zamówić gotowe jedzenie.

Byłam przy drzwiach, z kluczami w ręce, gdy jej twarz pojawiła się na mojej pracosferze. Wyglądała na zdesperowaną i pewnie przesłaby przez nią do mojego salonu, gdyby tylko było to możliwe.

– Nie wiem, co robić. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić – powiedziała mi tamtego ranka.

– Ale przybrał na wadze? – spytałam. – Na tyle, żeby...

– Tak mi się wydaje. Próbowaliśmy go zważyć w domu. Waży więcej, niż napisali w liście, ale nie mamy odpowiedniej wagi. Seb poszedł kupić taką, która jest zatwierdzona do użytku przez BSR. Kiedy wróci, zamierzamy sfilmować dla

nich ważenie Jakoba, a jutro musimy zabrać go do kliniki, żeby potwierdzić wynik. Tylko w ten sposób będziemy mogli zakwestionować ten dokument.

– Ale pogrz...

– Wiem, wiem. Będziemy tam. Przyjedziemy zaraz po ważeniu. Rozumiesz chyba, że musimy to zrobić?

I w ten sposób samotnie stałam i opłakiwałam ojca na jego pogrzebie.

T E R A Z

Nie jestem już sama. Jest ze mną Mimi.

Porusza się. Nie wie, gdzie jest, i natychmiast zaczyna płakać. Wygląda na to, że obudziła się już z płaczem.

– To mamusia, kochanie – mówię do niej pieszczotliwie z przedniego siedzenia, a wtedy jej łkanie cichnie. – Mimi? Mimi? – Nie widzę żadnego ruchu, nie słyszę żadnych odgłosów. Wściekam się na siebie, że nie zapytałam tych ludzi, kiedy ostatnio jadła, kiedy dawali jej mleko, jak dawno temu ją przewijali. Nie mam pewności, czy zaczyna być głodna, czy to po prostu zmęczenie, czy jeszcze coś innego. – Zostań ze mną – mówię jej. – Trzymaj się.

Podjeżdżam do zapuszczonej przydrożnej restauracji. Widok żadnej jeszcze nigdy mnie tak nie ucieszył.

Gdy tylko zatrzymuję samochód, podbiegam do tylnych drzwi i biorę córkę w ramiona.

– Mimi – płaczę. Jej powieki drgają i na chwilę otwiera oczy, ale zaraz znów je zamyka.

Gdy ją obejmuję i przytulam do siebie, z serca spada mi jakiś ciężar. Mogę jej dotknąć; naprawdę tu jest. Przytulam twarz do jej główki, a moje łzy zostawiają mokre ślady na jej rzadkich włoskach. Wycieram oczy; chcę ją widzieć wyraźnie.

Jednocześnie chcę trzymać ją jak najbliżej i wpatrywać się w jej twarz.

Trudno mi przestać, ale gdy już to robię, dotykam dłońmi jej policzków i całuję aksamitny czubek jej nosa. Ona jednak wciąż śpi.

Nie uśmiecha się, poznając mnie. Na jej buzi nie ma tego zachwyty, który ogarniał ją całą za każdym razem, gdy widziała mnie po przebudzeniu. Teraz jej twarzyczka jest ciężka od snu, powieki się nie unoszą. Nie chcę w to uwierzyć. Wyobrażam sobie, jak mruży oczy i chichocze, i jak odbija się to na mojej twarzy.

Moje łyzy zmieniają się w śmiech, w zachwyty. Zupełnie jakbym próbowała obudzić ją siłą woli. Wykrzywiam usta w głupawy grymas, nadynam policzki i dotykam nosem jej noska, co normalnie sprawiłoby, że zaczęłyby chichotać jeszcze głośniej – gdyby nie spała.

Kiedy nie mogę jej dobudzić, ujmuję jej twarz w dłonie, przesuвам palcami po jej pucołowatych policzkach, po maleńkich różanych usteczkach, pokrytym meszkiem uszku. Każdy szczegół jej buzi jest cudowny. Nie mogę się na nią napatrzeć.

A ona śpi dalej.

W następnej chwili krzywi się i zaczyna płakać, z wciąż zamkniętymi oczami.

– Co ci jest, kochanie? – mówię śpiewnym głosem. Oglądam ją dokładnie i stwierdzam, że jej pieluszka jest pełna i śmierdząca. Mimi wciąż się nie obudziła. To było to, co nazywaliśmy z Thomasem „popiskiwaniami przez sen”, ale i tak do niej mówię, jakby wsłuchiwała się w każde moje słowo. – Chodźmy zmienić pieluszkę. Na pewno są tu jakieś toalety – mówię do niej, choć nie mam pojęcia, jak miałabym to zrobić. Jestem zupełnie nieprzygotowana.

Kiedy otwieram drzwi restauracji, czuję zbyt silną woń środka dezynfekującego. Jakaś młoda dziewczyna w uniformie w różnych odcieniach brązu szerokimi, znudzonymi ruchami myje podłogę. Końcówka mopa zwisa ciężko, zbyt słabo wyciśnięta i szara od brudu. Pozostawia mokre ślady na podłodze, gdy dziewczyna zamaszystym ruchem wyciąga ją z wiadra.

– Przepraszam, muszę skorzystać z toalety. Gdzie ją znajdę? – pytam.

Dziewczyna nie przerywa mycia podłogi, ale wskazuje głową na lewo i wtedy dostrzegam drzwi.

Rozkoszuję się wszystkimi przyziemnymi szczegółami przewijania Mimi, chociaż muszę improwizować z papierem toaletowym i ręczniczkami. Każda chwila wydaje mi się niesamowicie cenna. Przez cały czas mówię coś do niej bez ładu i składu, myjąc ją starannie, z nadzieją, że przewijanie wyrwie ją ze snu.

Kiedy wychodzę z łazienki z Mimi na rękach, w restauracji jest cicho. Słychać tylko klimatyzację, rytm mokrego mopa przesuwanego po podłodze i szum sfer zawieszonych pod sufitem. Zerkam w ich stronę, nie mogąc się powstrzymać.

Wyświetlają jakiś raport BSR, kolejne zestawienia liczb i danych statystycznych, które brzmią tak samo. Powtarzalny strumień informacji, jedna nieodróżnialna od kolejnej.

Na ekranie przemykają liczby zapisane niebieskim fontem o łagodnych krawędziach, wybranym zapewne dlatego, że nie chciano, by wyglądał agresywnie. Potem zaczyna się reportaż o dzieciach z XC.

Już mam wyjść, gdy moją uwagę przykuwa jakiś ruch za oknem. W pierwszej chwili wydaje mi się, że nic tam nie ma. Tylko trawa i bury, zakurzony krzak obok szarego, niemal pustego parkingu. Widzę zarys swojego samochodu, ale trudno mi coś wyraźnie zobaczyć.

Nagle zauważam trzepot skrzydeł i dwoje oczu – lśniące czarne guziczki, wścibskie i głodne. Wpatrują się we mnie. To rudzik. Jego pierś jest wyblakła, prawie bez koloru, jakby był stary. Jest coś jeszcze w kształtach jego ciała, co wskazuje, że nie jest w najlepszej formie.

Przekrzywia głowę, tak jak robią ptaki, kiedy coś wypatrzą, ale tym razem wygląda to tak, jakby wypatrzył mnie. Jakby mnie poznał.

Na działce taty mieszkał rudzik, który przylatywał do nas na robaki. Tak przynajmniej mówił tata. Ptak mieszkał w krzaku głogu niedaleko jego działki i przez całe lata właściwie się stamtąd nie oddalał.

Rudzik szybkimi ruchami przeskakuje kilka kroków, zbliża się do okna. Prawie całkiem nieruchomieje, tylko od czasu do czasu ledwie dostrzegalnie drży. Wygląda jak jakiś nieożywiony przedmiot. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, odlatuje. Nie jestem w stanie go śledzić i tracę go z oczu.

Chwilę później znów się pojawia przy tamtym szarym krzaku. Wlatuje w niego i po raz kolejny znika. Muszę tylko cierpliwie poczekać, aż z niego wyfrunie. Wygląda na to, że to jego dom i z pewnością się stąd nie oddali.

Faktycznie, kilka chwil później znów go widzę. Choć zdaje się to niemożliwe, czuję, że ten jego taniec, te podskoki w przód i w tył, szybkie przemykanie i trzepot skrzydeł to pokaz przeznaczony wyłącznie dla mnie.

Obserwuję go do chwili, gdy kelnerka pyta, czy chcę zająć któryś stolik. Kręcę głową i odwracam się do wyjścia.

Po tym, jak rudzik zniknął ostatni raz w swym zakurzonym krzaku przy tej niezbyt gustownej restauracji, do głowy przychodzi mi niepokojąca myśl: gdzie

teraz jest mój dom?

I czy potrafiłabym odnaleźć do niego drogę powrotną?

W T E D Y

Chciałam iść do domu, ale Evie i Seb wciąż się nie pojawili.

Stypa ciągnęła się już od dwóch godzin i goście zdążyli zjeść niemal wszystko. Musiałam tak dużo mówić, że aż zaschło mi w gardle.

Stałam w miejscu, przestępując z nogi na nogę, i zeszywniałam na dźwięk dziecięcego płaczu.

„Przepraszam” – Evie ruchem ust przekazała mi to nad głowami taty kolegów z działki, którzy otworzyli właśnie butelkę whisky i zaczęli wznosić toasty na jego cześć.

– Jak poszło? – spytałam, gdy już stałyśmy obok siebie.

– Miałam cię spytać o to samo.

– Unieważnili ten NSR?

Evie uśmiechnęła się do mnie smutno i jej oczy wypełniły się łzami. Głośno pociągnęła nosem.

– Tak – powiedziała w końcu, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co mówi.

– Och, Evie... – Padłyśmy sobie w ramiona.

– A jak było tutaj? – spytała stłumionym głosem, z ustami wciąż schowanymi w moich włosach.

– Och, w porządku. To znaczy okropnie. W końcu nie przygotowałam jedzenia. Wszystko kupiłam. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Dobrze. To dobrze. – Roześmiała się, ale z policzka otarła łzę. – Tak się cieszę, że już po wszystkim. I nie chodzi mi o pogrzeb. Wiesz, co mam na myśli. – Dotknęła kosmyka moich włosów, jakby chciała go poprawić. – Przepraszam, że nas nie było. Nie mogę uwierzyć, że to musiało się wydarzyć akurat teraz.

– Nie przejmuj się. Tata by tego chciał.

– Mimo wszystko... przepraszam. Chcesz się stąd wyrwać? Możemy zająć się sprzątaniami. Wyglądasz na wykończoną, a to może jeszcze trochę potrwać. – Zerknęła na szklaneczkę z whisky.

Gdy wyszłam z małej, dusznej salki, którą wynajęłyśmy na stypę, wieczorne powietrze wydawało się chłodne. Na ulicy zaczął padać lekki deszcz, ale minęłam stację metra. Podobało mi to uczucie, kiedy krople spadały mi na twarz. To było jak delikatna pieśczoćta po smutkach i trudach tego dnia. Próbowałam skupić się na dźwięku spadających kropel, ale sfery nad moją głową szumiały, wyświetlając historię za historią, i zagłuszały go.

Byłam zmęczona rozmowami, stanem wśród ludzi, noszeniem czarnych ubrań, które dodatkowo mnie przygniatały, ale jeszcze nie byłam gotowa na powrót do domu. Weszłam do jednego z zatłoczonych pubów i precyzyjnie się między ludźmi do baru.

Ponieważ Evie nie było na pogrzebie, wbrew własnej woli stałam się jego centralnym punktem i teraz sprawiało mi przyjemność, że brnę przez tłum niezauważona. Nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nie próbował składać mi kondolencji ani pytać, jak się czuję. Nie było tu nikogo, kto podkreślałby, ile tata dla niego znaczył; nikt z tych ludzi nawet nie wiedział, że tata umarł.

Jakaś okropna część mnie czuła, że to wszystko jest farsą. Miałam dość ciągłego powtarzania tego samego, byłam znużona ubieraniem swojej żałoby w słowa. Za każdym razem, gdy to robiłam, stawało się to trochę bardziej wymęczone, trochę bardziej ponure, trochę mniej rzeczywiste.

I właśnie wtedy ktoś dotknął mojego ramienia. Czyjaś ręka musnęła skraj mojego topu i na chwilę spoczęła na nagiej skórze na karku. Dotyk był delikatny, ale w tym zatłoczonym barze wydał mi się intymny i czuły. Wciągnęłam powietrze, a potem gwałtownie je wypuściłam. Coś we mnie się poruszyło.

– Kit? – Jego głos był cichy, ale słyszałam go przez gwar, jakby przesywał mnie na wylot. Wypowiedział moje imię z namysłem, jakby było czymś ważnym, czymś, nad czym warto się zastanowić.

Odwrociłam się w stronę tego głosu – i stał tam on. Mężczyzna, którego – tak czułam – jednocześnie znam i nie znam wcale. Jakby było nam pisane spotkać się właśnie teraz, właśnie tutaj, jakby to wszystko było nam przeznaczone. Uśmiechał się do mnie tak sympatycznie, że poczułam gulę w gardle i smutek,

który dusiłam w sobie przez cały dzień, weszła we mnie na widok jego łagodnej twarzy.

Nie myśląc o tym, co robię, rzuciłam mu się w ramiona. Nic nie powiedział, gdy wyciągnęłam do niego ręce i oparłam głowę na jego piersi. Otoczył mnie ramionami. Czułam ich ciepło i siłę. Miałam przemożne wrażenie, że między nimi jestem bezpieczna, że tam mogę odpocząć, tam mogę po prostu być.

Bicie jego serca zdawało się głośniejsze niż wszystko inne, cokolwiek nas otaczało. Głośniejsze niż gorączkowe pijackie rozmowy w barze, mocniejsze niż skrzeczące głosy dobiegające ze sfer, które w niekończącej się pętli odtwarzały kolejne materiały.

A potem, jakby budząc się ze snu, uświadomiłam sobie, co robię. Wyprostowałam się i go puściłam. Na chwilę przytulił mnie jeszcze mocniej, być może czując, że coś się we mnie zmienia. Potem mnie puścił.

– Thomas – powiedziałam. Patrzył na mnie z taką samą intensywnością jak wtedy, gdy się poznaliśmy, na ceremonii nadania imienia Jakobowi. Jakby utrwalał w pamięci moją twarz. Pochyliłam się w jego stronę i zbliżyłam twarz do jego twarzy. Gdybym odwróciła głowę, mogłabym musnąć ustami jednodniowy zarost na jego policzku. – Przepraszam. Nie mam w zwyczaju witać się w ten sposób z ludźmi. Zwłaszcza z ludźmi, których spotkałam tylko raz.

– To dobrze – odparł. – To znaczy, że robisz tak tylko ze mną.

– Ja... no wiesz...

– W porządku – powiedział łagodnie. – Nie musisz mi wyjaśniać. Ja... hm... też tego nie robię. Może to po prostu...

Ale zanim zdążył skończyć zdanie, zaskoczyłam nas oboje i przysunęłam się do niego. Przez chwilę nasze oczy były zaledwie kilka centymetrów od siebie. Jego źrenice się rozszerzyły, a tęczołki przypominały topiący się brąz.

Pocałunek najpierw był delikatny, tylko lekko musnęliśmy się ustami, ale potem wsunął ręce w moje włosy, ujął w dłonie moje wilgotne policzki i trzymaliśmy się w ramionach z jakąś dziwną desperacją, z tęsknotą, z której aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy.

– Przepraszam – powiedziałam jeszcze raz, gdy odsunęliśmy się od siebie.

– Nie przepraszaj. Chcesz pójść w jakieś spokojniejsze miejsce? – Słowo „spokojniejsze” musiał wykrzyzczyć, bo grupka ludzi obok nas zaczęła coś

wrzeszczyć. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Pokiwałam głową.

Gdy wyszliśmy z baru, Thomas wyciągnął rękę, by schwytać na palce krople deszczu. Roztarł je z zamyśleniem.

– Przejdziemy się? Nie przeszkadza ci, że pada?

– Nie. Lubię deszcz.

Niespiesznie ruszyliśmy chodnikiem, zrównując tempo naszych kroków. Nasze dłonie przy każdym ruchu prawie się dotykały.

Ciemną ulicę rozświetlał upiorny blask sfer. Przeszliśmy na jej drugą stronę, kierując się wzdłuż gęstej zabudowy. Stare, wąskie i wysokie kamienice zdobiły przeróżne gzymsy i półkoliste witraże z numerami domów, znajdujące się nad drzwiami wejściowymi. W większości okien paliło się światło, więc mogliśmy zaglądać do salonów, sypialni i przedpokojów. W wielu z nich lśniły pracosfery; czasem widzieliśmy ludzi siedzących przy jednej z nich i ładujących przeróżne kanały na jej kulistej powierzchni.

– Człowiek nigdy nie czuje się naprawdę sam, nie uważasz? – Thomas wskazał na sfery na przystanku autobusowym, z których sączyły się monotonne słowa.

– Tak – przyznałam.

– Znasz jakieś miejsce, gdzie by ich nie było?

– Jedno – odparłam. – Działka mojego taty. Spędziłam tam sporo czasu, odkąd umarł.

– Przykro mi. Seb mi powiedział. Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie masz ochoty.

– W porządku, tylko że... Mówiłam o tym przez cały dzień. Dziś był jego pogrzeb. To dlatego jestem tak ubrana. – Z zakłopotaniem pociągnęłam za materiał sukienki. – Zwykle nie ubieram się tak smutno.

Thomas wziął mnie za rękę, a ja z wdzięcznością mu na to pozwoliłam. Przez jakiś czas milczeliśmy. Podobało mi się to w nim. Między nami panowało milczenie, ale nie miało to znaczenia, bo sposób, w jaki mnie dotykał, był bardziej pocieszający niż słowa.

Spacer tamtego wieczoru trwał i trwał. Na każdym skrzyżowaniu skręcaliśmy w lewo albo w prawo. Na każdym światłach cierpliwie czekaliśmy, żeby przejść

na drugą stronę. Czasem zerkałam na niego ukradkiem, ale zawsze to zauważał i odpowiadał mi uśmiechem.

Zadrzałam, choć miałam na sobie płaszcz. Deszcz podstępnie zmoczył kolejne warstwy mojego ubrania i zaczęłam marznąć.

– Niedobrze – stwierdził Thomas. – Chętnie spacerowałbym z tobą aż do wschodu słońca, ale martwię się, że możesz doznać hipotermii.

– Dobrze się bawię. Nigdy bym nie przypuszczała, że to możliwe w taką noc. Ale lepiej już pójść do domu.

– Odprowadzę cię. – Znowu roześmialiśmy się równocześnie, a potem, tak naturalnie, jakbyśmy byli razem od lat, przytuliliśmy się. Pocałował mnie w czoło, a potem jego usta wędrowały w dół, między moimi brwiami, na czubek nosa, nad moją górną wargę.

I nagle nie było mi już tak zimno.

T E R A Z

Już prawie przekraczam próg restauracji. Gdybym się nie zatrzymała, żeby popatrzeć na rudzika, nie zobaczyłabym tego.

W sferach pojawia się znajomy obraz – duży szary przysadzisty budynek. Natychmiast go poznaję i sam jego widok sprawia, że czuję, jakby zapadły mi się płuca. Całe powietrze zostaje wypchnięte z mojego ciała tak szybko, że sprawia mi to ból. To budynek, który dopiero co opuściłam. Ten, w którym ukryta była Mimi.

Nie muszę czytać nagłówków ani słuchać beznamiętnego głosu czytającego wiadomości. Przez chwilę widzę chłopca o ciemnych krótkich włosach, którego widziałam śpiącego w łóżeczku. Funkcjonariusz BSR wynosi go z budynku. W jego ramionach chłopczyk wydaje się bardzo mały. Zauważam, że wciąż śpi.

„Dzięki kolejnym nalotom i przeszukaniom BSR udało się znaleźć ukryte niemowlęta. Wygląda na to, że zostały mocno odurzone”.

Na sekundę przed tym, nim kamera się oddala, dostrzegam w tłumie postać. To, jak stoi, jego twarz. Widzę go tylko przez sekundę, ale to on, jestem pewna.

Jest w tłumie przed budynkiem i patrzy na wynoszone dzieci.

Thomas.

Wróciłam do biblioteki w South East.

Kiedy dostaliśmy kilka pierwszych NSR-ów, uderzyła mnie myśl, że właśnie tam powinnam się udać. Czułam, że to miejsce przyciąga mnie jak magnes.

Umówiłam się z Thomasem, że przez część poranka zajmie się Mimi, a potem ruszyłam krętą drogą w kierunku szpitala.

Kiedy weszłam do środka po raz pierwszy od czasu, gdy byłam tam po mleko modyfikowane dla Evie, pomieszczenie było puste. Na stoliku leżała układanka, inna niż poprzednim razem. Była niedokończona, ale brakowało tylko kilku elementów w jednym z narożników.

– Halo! – zawołałam. – Jest tu kto?!

Z pomieszczenia gospodarczego wyłoniła się kobieta z rozczochraną krótką fryzurą na pazia.

– Witam. Mogę w czymś pomóc? – powiedziała. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to ta sama młoda kobieta, którą widziałam, gdy byłam tu po raz pierwszy. Od tamtej pory urosły jej włosy. Wyglądała, jakby od wielu dni nie wysypiała się porządnie, jej cera była blada, niemal przezroczysta. Ale to z całą pewnością była ona.

– Mam taką nadzieję.

W tym planie nigdy nie podobało mi się, że wszystko zależało od tego, czy będziemy rozdzieleni.

– Musicie wyruszyć osobno – stwierdziła krótko młoda kobieta z biblioteki. – Podróżująca rodzina za bardzo rzuca się w oczy. – Iris, bo tak właśnie miała na imię, kojarzyła mi się z kwiatem, a jej chude ciało przypominało prostą niczym włócznia łodygę wyrastającą z ziemi. – Mimi pojechałaby pierwsza. Zostałaby zabrana w bezpieczne miejsce, z którym nie macie żadnego związku, gdzie nikomu nie przysłoby do głowy jej szukać. A potem wy też byście wyruszyli. Zatrzymywalibyście się w bezpiecznych domach, przemieszczali od dzielnicy do dzielnicy. Zawsze w ruchu.

– A Mimi...

– Miałaby opiekę – przerwała mi Iris. – Poprzez biblioteki tworzymy sieć ludzi chcących pomagać. Niektórzy myślą, że biblioteki są przeżytkiem, ale w pewnym sensie właśnie to pomogło naszemu ruchowi. Ludzie nie doceniają siły tego miejsca, które nas jednoczy. – Gdy to mówiła, jej oczy płonęły.

– Kiedy znów zobaczymy Mimi?

– Po tym, jak ty i... jak ma na imię twój partner?

– Thomas.

– Wy też będziecie musieli się rozdzielić. Umieścimy was na różnych łodziach i przeprowimy przez kanał La Manche. Spotkacie się po drugiej stronie.

– We Francji – powiedziałam smutno. Po głowie tłukły mi się nieliczne informacje o sąsiadującym z nami kraju. Tamtejszy demokratyczny rząd został obalony wiele lat temu. Słyszałam opowieści o handlu dziećmi. Żałowałam, że nie czuję ulgi czy pewności, ale choć Iris rzucała mi koło ratunkowe, o jakim dotąd nawet nie śniłam, poraziły mnie wątpliwości. – Po prostu wydaje się, że to niemożliwe, by mogło nam się udać.

Kobieta nie wnikała w moje zastrzeżenia.

– Stamtąd wyruszycie do Niemiec. Oni wciąż przyjmują imigrantów. Tam otrzymacie wsparcie.

– W Niemczech. – Staralam się brzmieć tak, jakbym była już przekonana, ale trudno mi było wyobrazić sobie ogrom działań, o jakich mówiła.

– To jedyny sposób – stwierdziła krótko. – Albo zostanieie tutaj. Wiesz, co się stanie, jeśli to zrobicie. Przemysł to sobie. Porozmawiaj z...

– Thomasem – podsunęłam.

– Ale jeśli będziecie gotowi to zrobić, nie zwlekajcie za długo. Pojawi się ktoś inny, kto zajmie wasze miejsce. – Odwróciła się ode mnie i wzięła stos książek, które leżały na biurku. Czuałam, że moje niezdecydowanie ją drażni.

– Czy to się już komuś udało? – wyrzuciłam z siebie.

– Tak. – Milczała przez chwilę. – Niektórym tak.

Powiedzenie o tym Thomasowi zmieniło wszystko.

Następnego dnia pojechał do biblioteki, żeby porozmawiać z Iris albo kimkolwiek, kogo tam zastanie. Jakby nie mógł uwierzyć, że może nam być dana taka szansa, dopóki nie usłyszy tego od kogoś innego. Kiedy wrócił, ledwie hamował swój entuzjazm. Umówił się na spotkanie już następnego dnia, żebyśmy mogli omówić z Iris kolejne kroki. Zadawał pytania i dowiedział się o całej operacji więcej, niż mogłoby mi przyjść do głowy.

– Sieć bibliotek jest częścią większego podziemnego ruchu oporu – poinformował mnie. – Jest w to zaangażowany ktoś, kto pracuje dla BSR i ponoć zdejmuje opaski. Jest bratem jakiegoś ważniaka. Ryzykuje wszystko. Podobno te

opaski są nie tylko odbiornikami danych NSR, ale też lokalizatorami, więc zdejmą je, gdy tylko zabiorą Mimi.

Zauważyłam, że mówił o tym tak, jakbyśmy już postanowili, że tak się stanie; jakbyśmy już uzgodnili, że to zrobimy. Przełknęłam głośno ślinę i jeszcze raz spróbowałam wyobrazić sobie, jak ten plan się rozwija; jak podróżujemy przez Europę, by znaleźć bezpieczne miejsce i pozostać razem. Bez powodzenia.

– Chociaż BSR będzie nas szukać – ciągnął Thomas – zapewne nie podadzą tego do wiadomości publicznej. Nie chcą ogłaszać przez sfery, że ludzie przed nimi uciekają. Da się ich unikać, ale musimy działać według wskazówek i nie rzucać się w oczy.

– Naprawdę to zrobimy? – spytałam.

Ale Thomas mnie już nie słuchał. Podniósł Mimi wysoko w górę, tak że radośnie zachichotała, i nią zakołysał. Potem mocno ją przytulił i spojrzął na mnie.

– Musimy.

Następnego dnia Iris powiedziała, że umówi nas na spotkanie z osobą, która będzie nami kierować. Poprosiła, żebyśmy już nie wracali do biblioteki, chyba że nie będziemy mieli innego wyjścia.

– Musimy znaleźć jakieś prywatne miejsce spotkania. Z dala od sfer – wyjaśniła. – Najlepiej, żeby to było miejsce związane z wami, ale jeśli nic wam nie przychodzi do głowy, coś znajdziemy.

– Znam takie miejsce – odezwałam się. – Ogródki działkowe w zachodniej dzielnicy. – Thomas ścisnął moją dłoń. Kilka razy zabrałam tam Mimi, ale kiedy była malutka, trudno było czymkolwiek się zająć, a odkąd zaczęliśmy dostawać NSR-y, nie wybrałam się tam ani razu.

– Może być – odparła Iris.

Wyjaśniłam jej szczegółowo, która działka jest nasza, i narysowałam prostą mapkę.

– Niech jedno z was będzie tam w środę o dziesiątej rano. Tylko jedno z was. Nie zabierajcie ze sobą Mimi. Jeśli nikt się nie zjawi, to będzie znaczyło, że z jakiegoś powodu nie możemy tego kontynuować.

– Jaki to może być powód? – zapytał szybko Thomas.

Iris zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, czasem to po prostu niemożliwe.

Przyjrzała się naszym spanikowanym minom. Choć nie byłam przekonana do tego planu, to teraz myśl o tym, że jego realizacja może się okazać niemożliwa, ścisła mi serce jak imadło.

– Po prostu zobaczymy, co się wydarzy w środę – stwierdziła. Miałam wrażenie, że więcej otuchy nie jest w stanie w nas tchnąć.

W dniu spotkania spakowałam do torby termos z herbatą, klucz do małej szopy i rękawice ogrodnicze, jakbym naprawdę zamierzała spędzić trochę czasu na działce, tak jak kiedyś. To mnie uspokajało. Ustaliliśmy, że będzie lepiej, jeśli to ja tam pojedę. Nie wzbudzimy w ten sposób podejrzeń. Czułam się kompletnie rozdarta. Z jednej strony bardzo chciałam zrobić to sama, a z drugiej – chętnie zrzuciłabym to zadanie na barki Thomasa.

Pomaszerowałam tam niespecjalnie przekonana, że to coś da. Po tym, co powiedziała Iris, byłam pewna, że nikt nie przyjdzie. Dopóki jednak ta chwila nie nadeszła, wciąż istniała nadzieja, że nie stracimy Mimi.

Wydawało mi się, że widzę jakąś postać stojącą przy wejściu, ale gdy się zbliżyłam, okazało się, że to tylko luźny kawałek brezentu zaczepiony o żywopłot. Mimo to przyspieszyłam kroku, a kiedy dotarłam do bramy, zmusiłam się, żeby się nie rozglądać. Oboje z Thomasem bez końca rozmawialiśmy o tym, że musimy starać się nie rzucać w oczy, że być może osoba, z którą się mamy spotkać, będzie nas obserwować, by ocenić, czy jesteśmy w stanie podjąć się tak niebezpiecznej operacji. Nie zwlekałam więc. Skierowałam się w stronę dawnych grządek taty z udawaną pewnością. I choć nikogo tam nie było, otworzyłam drzwi szopy i zajęłam się szukaniem wideł. A potem zaatakowałam jedną z grządek, wrywając zarastającą ją chwasty.

Czułam, jak łyzy zbierają mi się pod powiekami, a w gardle rośnie gula. Część mnie chciała zapaść się pod wilgotną ziemię i wyć, ale coś mnie powstrzymało. Kontynuowałam pielenie tak metodycznie, jak robiłby to tata. Nawet nie zauważyłam nadchodzącego mężczyzny, dopóki nie znalazł się tuż przy mnie.

– To dobre miejsce na spotkanie – powiedział, patrząc na zaniedbane grządki mojego ojca.

Pracowałam dalej, mocno wbijając widły w ziemię, wrywając korzenie i usuwając kamienie, jakby go tam w ogóle nie było.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz – powiedziałam. Zerknęłam w jego stronę. Był łysy, chyba po pięćdziesiątce. Miał na sobie szarozielony płaszcz, mimo że słońce przygrzewało. Nie wyglądał jednak, jakby był nie na miejscu, stojąc tak i rozmawiając ze mną pośrodku działki w ten środowy poranek.

Nie zwracając uwagi na to, co powiedziałam, kontynuował:

– Rozumiem, że wyjaśniono ci, co się stanie, i nadal chcesz to zrobić.

– Tak.

– Mogę wysłać kogoś po twoją córkę w niedzielę po południu. Będziecie musieli wyjechać zaraz potem. Zabierzcie ze sobą tyle gotówki, ile tylko możecie, ale nie wypłacajcie całej zbyt nagle, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Dam ci listę kryjówek, z których będziecie mogli skorzystać.

– I to wszystko?

– Tak, mniej więcej. Dam ci mapę. Są na niej drogi, których musicie unikać, i bezpieczne domy, do których możecie się udać. Powiedziano mi, że macie własny samochód. Kilka razy zmienicie pojazdy. Wszystko jest zaznaczone na mapie, ale pokażę ci ją teraz, żebyś mogła się z nią zapoznać. Wykorzystajcie kilka następnych dni na przygotowania.

Przytaknęłam, choć w głowie miałam kompletny chaos.

– To naprawdę zadziała? Wystarczy unikać niektórych dróg i poruszać się objazdami, żeby nas nie złapali?

– Nic nie jest stuprocentowo pewne, ale tak, to powinno zadziałać. Chyba że będziecie mieć pecha. Wasza trasa prowadzi przez biedniejsze obszary, więc jest mniejsze ryzyko, że ktoś was znajdzie.

– W porządku – powiedziałam, choć wciąż nie byłam pewna. – Czy to musi się stać tak szybko?

– Jeśli będziecie dłużej zwlekać, może być za późno. – Pochylił się w stronę grządki z warzywami i wyrwał kilka chwastów. Kiedy znów spojrzałam w tamto miejsce, zauważyłam, że rosnąca tam sadzonka karczocha ma teraz przestrzeń, żeby się rozwijać.

– A te wszystkie historie w sferach o porwaniach w Europie? – spytałam szybko. Miałam mnóstwo pytań, a czułam, że mężczyzna ten może w każdej chwili zniknąć i przepadnie szansa, by je zadać.

– Zdarzają się, ale nie jest tak źle, jak to przedstawiają – odparł po prostu.

– Dokąd zabierzecie Mimi w niedzielę?
– Lepiej, żebyście tego nie wiedzieli.
– Muszę wiedzieć – powiedziałam. – Inaczej wątpię, żebym była w stanie to zrobić.

Pokręcił głową, ale chyba dostrzegł coś w moich oczach, bo po kilku chwilach ustąpił.

– Dobrze, podam ci kod pocztowy i numer mieszkania, w którym będzie ukryta. Ale nie jedź tam. To bardzo ważne. Narazisz na niebezpieczeństwo nie tylko swoją córkę, ale i wszystkich, którzy biorą udział w operacji.

– Nie pojedę – zapewniłam szybko.

Podał mi dalsze szczegóły i metodycznie wyjaśnił wszystko, co wiązało się z mapą, którą trzymałam w drżących rękach. Gdy w końcu sobie poszedł, miałam przedziwne uczucie, że może tylko sobie wyobraziłam całą tę rozmowę. Kiedy zrelacjonowałam ją Thomasowi, miał wiele pytań. Żałowałam, że nie przyszło mi wcześniej do głowy, by je zadać.

– No dobrze – stwierdził, gdy dotarło do niego, że nic więcej nie jestem w stanie mu powiedzieć. – A zatem niedziela.

– Tak. Jesteśmy pewni, że chcemy to zrobić?

– Tak. To zbyt wielka okazja, żeby z niej nie skorzystać.

– Ale to wszystko dzieje się tak szybko.

– Musi tak być – powiedział łagodnie. – Pamiętaj... to nasza jedyna szansa.

Thomas próbował mnie przekonać, żebym spojrzała na to tak jak on – jakby to było cudowne odkrycie. Gdybym nie pomagała Evie z mlekiem modyfikowanym, nigdy nie dowiedziałabym się o bibliotece. Gdyby ci ludzie nie mieli wolnego miejsca, nie byłiby w stanie nam pomóc. Choć zgadzałam się z nim, że to słuszna decyzja, nie potrafiłam pozbyć się niepokoju, który mnie dręczył. To wszystko wydawało mi się po prostu zbyt nierealne, by mogło wydarzyć się naprawdę. Dużo myślałam o Evie. Zastanawiałam się, czy brała pod uwagę zrobienie czegoś takiego, gdy ona i Seb zbliżali się do krytycznej liczby NSR-ów za opiekę nad Jakobem. Zastanawiałam się nawet, czy poszła do biblioteki, gdy już odebrano im synka, choć tak wyraźnie dawała do zrozumienia, że traktuje to miejsce z lekceważeniem.

Jakaś część mnie nie przestawała kwestionować tego, co zamierzaliśmy zrobić. To było jak kamień u szyi. Czy Mimi naprawdę będzie z nami lepiej? Skoro dostaliśmy tyle NSR-ów, to czy kompleks nie dawałby jej lepszych możliwości? Staralam się ignorować te myśli i zamiast tego słuchać dzikiego, płomiennego instynktu, który podpowiadał mi, że powinna być z nami, że nikt nie będzie w stanie kochać jej bardziej. I czy nie było to lepsze od tego, co zapewniono by jej w kompleksie? Nie potrafiłam powiedzieć Thomasowi o swoich wątpliwościach, choć zastanawiałam się, czy też o tym myślał.

Ostatniej nocy na stacji ładowania widziałam jednak news w sferach.

BSR przeprowadziło naloty na domy, w których znaleziono „składowiska” dzieci. Takiego właśnie użyli słowa: składowiska. Jakby te dzieci były tylko ładunkiem.

Przetrzymano je pod deskami podłogowymi. Były niedożywione, w kiepskim stanie; wymagały pilnej pomocy lekarza. Nagranie wideo pokazywało, jak funkcjonariusze BSR wynoszą je jedno po drugim. Wszystkie wyglądały na porzucone i bezdomne. Miały wielkie, udreżone oczy. Jedno z dzieci leżało na noszach przykryte kocem – nie przeżyło.

Wbrew temu, co Iris i łysy mężczyzna z działki – nigdy nie poznaliśmy jego imienia – mówili o tym, że BSR nie chce upubliczniać informacji o uciekających przed nimi ludziach, sytuacja uległa zmianie. Materiał ten trafił do publicznych wiadomości i było tylko kwestią czasu, kiedy w sferach pojawią się nasze twarze.

Czułam też, że ten news jest jak przesłanie od BSR bezpośrednio do nas. Brzmiało: „Oddaliście swoje dzieci obcym ludziom i patrzcie, co się stało. Nie zapewniliście im bezpieczeństwa. Nie ochroniliście ich”.

Właśnie wtedy postanowiłam, że muszę jechać po Mimi, że wyjadę następnego ranka. Nie mogłam czekać, by przedyskutować to z Thomasem, który próbowałby mnie przekonać, żebym nie wierzyła w propagandę BSR. Zmarnowałby cenny czas, mówiąc o tym, co jest dla nas najlepsze. Musiałam się dostać do Mimi, musiałam po nią pojechać.

A co, jeśli będą ją trzymać pod deskami podłogowymi? Co, jeśli skończy wnieciona na noszach? Nie mogłam do tego dopuścić. Nie zamierzałam.

W T E D Y

Thomas pokazał mi swoje obrazy.

Malował wtedy, gdy nie był w pracy – wcześniej rano albo późno w nocy.

Utrwalał chwile. Uchwycone przez niego twarze nigdy nie były zwrócone w stronę malarza. Przyglądanie się im wydawało się niemal podglądaniem, jakbym kogoś szpiegowała. Zatrzymałam się przed pochylonym w zamyśleniu profilem. Było coś w tych włosach, w linii, jaką otaczały twarz, w ogólnych rysach postaci.

– To ja! – zawołałam.

Thomas kiwnął głową.

– To było po tym, jak się poznaliśmy. Po tym, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy. U Evie i Seba.

– Naprawdę? Namalowałaś to właśnie wtedy?

– Tego samego wieczoru. Wciąż śmierdziałem przypalonymi kiełbaskami.

Poczułam się tak, jakby przebiła mnie strzała. To był ostateczny, śmiertelny strzał.

– Kocham cię – powiedziałam. Było za wcześnie na te słowa, chociaż oddawały to, co wtedy czułam. Powróciło do mnie wspomnienie tego, jak straciły dla mnie swój blask, gdy byłam z Rogerem. Przypomniałam sobie, jak nie chciałam powiedzieć ich na głos Thomasowi, ponieważ nie czułam tego całkowicie i bezwarunkowo. Bałam się, że z czasem staną się wyświechtane i tak znajome, że ztratą swój kształt.

– Cholera, mam taką nadzieję – odpowiedział Thomas. – To znaczy... ja też cię kocham. Ale myślę, że wiedziałaś to już wcześniej. Nawet nie musiałem ci tego mówić. – Lekko pocałował mnie w usta, a potem zostawił mnie przed portretem, który namalował.

Nie potrafiłam przestać mu się przyglądać. Przesuwałam palcami po nierównościach farby, prześledziłam linie swojej twarzy uchwyconej przez Thomasa. Nie mogłam oderwać wzroku od konturu profilu, jak gdyby ta kobieta mogła zniknąć, jeśli się odwrócę.

T E R A Z

Staram się nakarmić Mimi. Moje piersi znów są pełne. Zastanawiam się, czy to ją obudzi, ale nie zaczyna ssać, jej powieki i usta pozostają zamknięte. Próbuję jeszcze raz, ale jej podbródek odbija się tylko delikatnie od mojego ciała – nie korzysta z życiodajnego mleka. Chcę próbować dalej, choć jakaś część mnie uświadamia sobie, że to nie ma sensu, i gdy układam ją na tylnym siedzeniu samochodu, nie potrafię się otrząsnąć z frustracji. Nie mogę sobie poradzić z zapięciem pasów bezpieczeństwa. Potrzebuję kilku prób, zanim w końcu mi się to udaje.

Znów okrywam ciało śpiącej Mimi płaszczem i przychodzą mi na myśl wszystkie przepisy, które w tej chwili naruszam. Przed oczami ukazują mi się wszystkie NSR-y, które bym za to dostała.

Dociera do mnie, że staram się nie myśleć o Thomasie. Nie teraz, gdy wreszcie przytulam naszą córkę, gdy odjeżdżam z nią ukrytą na tylnym siedzeniu. Nie chcę myśleć o tym, że był pod tamtym budynkiem i że musi być niedaleko.

Z okrucichów pamięci z trudem odtwarzam jego twarz. Im dłużej jadę, tym bardziej wydaje się postacią ze snu, postacią, której nie mogę sobie przypomnieć. Widzę jego światłocień, ale nie potrafię nakreślić ostrych linii, wyraźnych, zdefiniowanych kształtów.

Mój mąż.

Nie myślę o nim teraz zbyt często.

Nie widzę go tak, jak należy, twarzą w twarz. Oko w oko. Tak jest od czasu, gdy odeszła Mimi, choć może było tak już wcześniej.

Nie dlatego, że Thomas wygląda jak ona. Nie chodzi o to, że za bardzo mi ją przypomina. Mają oczywiście wspólne gesty. W ten sam sposób pocierają oczy, kiedy są zmęczeni, ich usta przybierają specyficzny kształt, kiedy ziewają, oboje

śpią zwinięci w kłębek. Drobne rzeczy, o których mogę wiedzieć tylko ja – obserwatorka, kochanka, matka. To przyziemna, święta wiedza, a ja jestem jedynym ekspertem w tej dziedzinie.

Nie patrzę na Thomasa, ponieważ martwię się, że jeśli zbyt długo będziemy się wpatrywać w swoje twarze, nie znajdziemy w nich nic z miłości, która nas kiedyś łączyła. Będziemy musieli pogodzić się z tym, że przepadła.

Myślę, że Thomas czuje to samo.

On też nie domaga się, byśmy patrzyli sobie w oczy, też schodzi z linii mojego wzroku. Wierzę, że oboje czekamy, nie wychylając się, aż być może któregoś dnia nasionko naszej miłości znów wykiełkuje, wypuści nowe korzenie wokół truchła tego, czym kiedyś byliśmy. I być może to czekanie, ta odmowa odejścia, póki coś się nie zmieni, póki coś się nie rozwinie... może to jest teraz dla nas miłość.

W T E D Y

Było to dzień po jednej z naszych pierwszych randek, na której całą kolację spędziliśmy, bardziej zachwycając się sobą nawzajem, niż jedząc. Pracowałam, albo całkiem nieźle udawałam, że pracuję, nad dokumentem życia jednego z nowych klientów. Widziałam niektóre filmiki tak wiele razy, że oglądając je po raz kolejny, dokładnie wiedziałam, co się zaraz wydarzy. To było coś w rodzaju prognozowania dokonywanego z najbezpieczniejszej pozycji.

Potem zajęłam się starymi plikami Jonaha, do których chciałam wrócić. Była to rozmowa telefoniczna, której słuchałam w dniu, gdy Evie i Seb rozpoczęli indukcję. Zapisałam ją w pliku córki Jonaha. Rozmawiali, ale Jonah ni stąd, ni zowąd zakończył połączenie. W pliku były zakłócenia dźwiękowe i nie byłam w stanie zrozumieć, co mu mówiła Genevieve.

Teraz kilkakrotnie odsłuchałam tę rozmowę, w ogóle nie próbując wyczyścić pliku. Usiłowałam wychwycić dźwięki, które zagłuszały ich słowa. Stukanie psich łap, szum pracosfery, chaotyczne słowa, pośpieszne pożegnanie. Co mi umykało?

Połączenie miało formę audio, co w przypadku Jonaha nie było niczym niezwykłym, choć większość moich klientów korzystała najczęściej z połączeń wideo. Widok ich twarzy podczas rozmów telefonicznych czasem pomagał, zwłaszcza gdy rozmawiali z członkami rodzin i bliskimi przyjaciółmi. Wszystkie szczegóły ułatwiały „namalowanie obrazu”, jak wielokrotnie powtarzano mi podczas szkolenia wiele lat temu.

W trakcie odtwarzania pliku dostrzegłam w rogu małą ikonę twarzy. Gdy jej dotknęłam, poszarpane szczyty i doliny audiografu zmieniły się w twarze Jonaha i Genevieve, które zajęły cały ekran. Zobaczyłam, że podczas rozmowy żadne z nich nie patrzyło w obiektyw.

Materiał audiograficzny zarejestrował także obraz, mimo że nie była to rozmowa wideo. Widziałam, że oboje w tamtym momencie byli tego nieświadomi. Bardzo niewielu klientów włączało kamery w taki sposób, choć była taka możliwość. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tym, by robił to Jonah.

Genevieve siedziała w kuchni i czytała podręcznik szkolenia psów. Gotowała coś na płycie kuchennej – widziałam w tle unoszącą się parę. To mógł być ten dźwięk po jej stronie, który zagłuszał audio. A potem, dokładnie w chwili, gdy wyczułam po tonie jej głosu, że chce powiedzieć o czymś Jonahowi, w tle, nad jednym z jej kanciastych kranów, pojawiło się małe niebieskie światełko i dał się słyszeć cichy szum gotującej się wody. Szybko usunęłam kuchenne odgłosy i po raz kolejny odtworzyłam rozmowę.

– Tato? Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć. – Genevieve zerknęła w stronę kamery. – Jeszcze nikomu o tym nie mówiliśmy...

Słuchając jej, Jonah wpatrywał się w swoją mobilną sferę. Przerzucał jeden element po drugim w takim tempie, że nie potrafiłam dojrzeć, co przeglądał. To były jakieś artykuły, ale nie widziałam treści. Jedynym, co rzuciło mi się w oczy, było to, że kilka z nich oznaczono logo BSR – być może nie wszystkie, choć nie byłam w stanie tego stwierdzić, ale na pewno było tak w przypadku wielu. Kiedy usłyszał słowa Genevieve, przerwał to, co robił, i zostawił na swojej mobilnej sferze otwarty dokument zawierający symbol BSR.

– Wszystko w porządku? – spytał, odwracając się w stronę pracosfery.

– Tak. Nic mi nie jest. To dobra... – wymamrotała. – To dobra wiadomość.

– O co chodzi, Gen?

– Josh i ja chcemy założyć rodzinę – powiedziała cicho i uśmiechnęła się. Ten uśmiech objął całą jej twarz. Zobaczyłam szeroką szparę między jej przednimi zębami.

Jonah, który do tej pory siedział przygarbiony, natychmiast wyprostował się jak struna. Na jego mobilnej sferze nadal mrugał dokument z BSR. Udało mi się odczytać kilka napisanych pogrubionymi kapitalikami słów: coś o „dzieciach z XC”, choć nie byłam do końca pewna.

– Poczekaj – powiedział Jonah, wstając. – Nigdzie nie wychodź. Zaraz u ciebie będę.

– Tato? Nie musisz...

– Na razie, kochanie.

I zakończył połączenie.

Zastanawiałam się nad tym. Były to cenne informacje do dokumentu jego życia, ale tym, co naprawdę mnie poruszyło, były pliki, które przeglądał na swojej mobilnej sferze.

Nie wiedziałam o tym, by Jonah miał jakiegokolwiek związku z BSR. Nigdy dotąd nie widziałam, by czytał coś o nim w jakimkolwiek innym kontekście, ani nie słyszałam, by o tym mówił.

Mogłam zrozumieć, dlaczego tak popędził do Genevieve, gdy usłyszał nowinę. Byli sobie bliscy i mieszkała niedaleko. Już wcześniej widziałam, jak rzuca wszystko i natychmiast wychodzi na spotkanie z nią. Od czasu tej rozmowy nie poruszali już jednak tego tematu, chyba że coś przeoczyłam. Z tego, co wiedziałam, Genevieve nie poddała się jeszcze indukcji ani nie zaczęła procesu tworzenia dziecka z XC.

Myślałam o tym, próbując to sobie jakoś poukładać, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

To był Thomas wymachujący torbą zawierającą pojemniki z folii aluminiowej.

– Kolacja! – zawołał.

Przyciągnęłam go do siebie razem z torbą parującego jedzenia i zapomniałam o całym świecie.

T E R A Z

Mimi leży na tylnym siedzeniu.

Nie potrafię przestać zerkać w lusterko, by zobaczyć jej twarz. Patrzę częściej do tyłu niż do przodu. Wtedy jednak dostrzegam czerwoną poświatę wskaźnika poziomu naładowania baterii.

Przypominam sobie, jak jako dziecko siedziałam z Evie w starym samochodzie taty, a on kazał nam pochylać się do przodu, by ułatwić samochodowi pokonanie wzniesienia. Zginałyśmy się wpół tak, że głowy zwisały nam nisko. Naprawdę wierzyłyśmy, że to pomaga.

Teraz moje ciało napina się w podobnej pozycji. Pochyliłam się nad kierownicą, siłą woli popycham samochód naprzód. Musimy podjechać na tyle blisko, by być w stanie resztę drogi pokonać pieszo.

Kiedy sprawdzałam kod pocztowy, który podał mi łysy mężczyzna – lokalizację miejsca, gdzie mieli zabrać Mimi – wydało mi się to niemal okrutne, że było to tak blisko nowego mieszkania Evie. Nigdy nie byliśmy w ich domu. Nie widziałam go nawet na zdjęciach, ale miałam jej adres i mimowolnie obliczyłam odległość dzielącą te dwa miejsca. Jeszcze zanim Mimi nas opuściła, po trochu liczyłam na to, że jeśli coś pójdzie nie tak, być może będziemy mogli ją zabrać i pojechać do Evie, zanim wykonamy kolejny ruch. Wbrew wszystkiemu zastanawiałam się, czy moja siostra by nam pomogła. Nie był to jednak realny plan i teraz, gdy wciskam pedał gazu, dociera do mnie, że nigdy nie wierzyłam, że naprawdę będę musiała to zrobić.

Nie próbowałyśmy maskować tego, jak się od siebie oddaliśmy, wysyłając sobie kartki z życzeniami czy świąteczne prezenty. Uczciwsze wydaje się nazwanie tego po imieniu: każda z nas poszła w swoją stronę.

Nie potrafię już rozmawiać ze swoją siostrą.

Nie mogę jej znieść, ale w tej chwili jest jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Prowadzi mnie do niej zwykła geografia – przeprowadziła się do miejsca położonego niedaleko tego, w którym ukrywano Mimi – oraz chemia: poziom naładowania baterii pozwoli mi dojechać jedynie tam.

Nie mam ochoty się z nią spotkać i jakaś część mnie jest przerażona, że zwrócenie się do niej o pomoc okaże się błędem. Nie jestem pewna, czy znajdę tam schronienie, którego obie z Mimi tak rozpaczliwie potrzebujemy. Mam nadzieję, że Evie mi pomoże, nawet o tym nie wiedząc. Że nie będzie ich w domu i będę mogła zabrać od niej to, czego potrzebuję. A potem zniknę.

Ale to mało prawdopodobne. Jest wczesne sobotnie popołudnie. Przypuszczam, że wyszła rano, ale zdążyła już wrócić, by przez resztę dnia odpocząć. Zawsze miała taki rytm. Czuję, jak spinam ramiona na myśl o tym, że możemy się na nią natknąć, że będę musiała z nią rozmawiać.

Ale inne możliwości już wyczerpałam.

I nie zamierzam się poddać.

W T E D Y

Gdy po kilku tygodniach zamieszkaliśmy razem, wydawało się to nie tyle wyborem, co koniecznością.

Wydarzyło się to tak szybko, że nawet Evie uniosła brwi. Zapytała, czy nie za bardzo się spieszymy z rozwojem tej relacji.

Potrafiłam odpowiedzieć jedynie, że tak, to prawda, ale i tak jestem absolutnie przekonana, że muszę to zrobić. Wprowadziłam się do mieszkania Thomasa, które było o wiele większe od mojego. Samej nigdy nie byłoby mnie na takie stać z moją odgórnie ograniczoną pensją i przysługującym mi kredytem mieszkaniowym.

– Kit się przecież zakochała – powiedział niemal z rozdrażnieniem Seb, przechodząc obok z Jakobem na rękach. – Zapomniałaś?

Evie zignorowała tę kpinę i ze znużeniem zbyła go machnięciem ręki.

Nie chciałam pytać, jak im się układa. Odnosiłam jednak wrażenie, że jest coś, o czym mi nie mówią. Zaczęli coraz częściej sobie dogryzać, zwykle to Seb zaczynał. Często działo się to tak szybko i nie wprost, że przypominały mi się stare filmy, na których dwóch przeciwników spokojnie sobie rozmawia, a potem nagle wydobywają sztylety i zaczynają walczyć.

Spędzałam z nimi coraz mniej czasu. Po części ze względu na Thomasa, ale też z powodu napięcia w ich domu i niejasnego, ale wciąż powracającego uczucia, że Evie i ja jakoś nie możemy do siebie dotrzeć. Za każdym razem, gdy widziałam Jakoba, był o tyle większy, że zdawał się innym dzieckiem niż to zaspane maleństwo, które trzymałam na rękach w szpitalu.

Jego policzki dość komicznie się wyduły, jak na karykaturze. Czoło trochę się cofnęło i poszerzyło, a gdy natrafiał na coś, czego jeszcze nie znał, na buzi pojawiał się lekko zatroskany wyraz. Zdarzało się, że reagowałam okrzykiem,

zaskoczona, gdy chwycił zabawki osadzone na drewnianym patyku nad jego bujanym fotelikiem. Kiedy ostatnio go widziałam, nie wiedział nawet, że tam są, a teraz po nie sięgał, badał je, dotykając palcami ich powierzchni.

– Tak, zaczyna to robić – wyjaśniała rzeczowo Evie, jakby nie widziała w tym takiego cudu jak ja. Była rozkojarzona, ciągle odciągała mleko do butelek albo wrzucała do pralki kolejną partię ubranek, które kiedyś były na Jakoba za duże, a teraz zdawały się zbyt ciasne. Evie też się zmieniała. Czasem, gdy przypominam sobie, jaka była kiedyś, zanim w jej życiu pojawił się Jakob, jak pracowała do późna i opowiadała o sprawach, które prowadziła, nie wydawała mi się tą samą osobą, którą teraz interesowało wyłącznie prowadzenie domu.

W takich chwilach milkłam i wyobrażałam sobie, jaki zachwycony byłby tata, obserwując, jak jego wnuk się zmienia. Studiowałby każdy szczegół, każdy etap jego rozwoju, jakby patrzył na rosnącą sadzonkę i jakby jego czujność w jakiś sposób mogła Jakobowi pomóc.

– Szkoda, że tata... – zaczynałam mówić, ale gryzłam się w język na widok wyrazu twarzy Evie. Znikały z niej wszystkie emocje; pozostawały tylko ból i strata. Wtedy czułam je też w sobie.

Czasem dręczyło mnie, że zamieszkałam z Thomasem tak szybko po śmierci taty. Zastanawiałam się, czy różne aspekty żałoby – szok, niedowierzenie, a potem ból, uporczywy ból, bo już go nie było – nie połączyły się w zaciekłość, z jaką pokochałam Thomasa.

Jednak przy innych okazjach, zwłaszcza gdy byłam z Evie i Jakobem, budził się we mnie ten ból. Tak jakbym trafiała na czuły punkt, a wtedy zaczynało mnie to przytłaczać: ciągle rozszerzająca się otchłań, nieskończenie wielka i bolesna. Wtedy byłam pewna, że moja żałoba po ojcu była czymś odrębnym, że żyła i oddychała w całkowitym oddzieleniu od pozostałych emocji i że gdybym jej na to pozwoliła, w jednej chwili by mną zawładnęła.

Sprzedawałyśmy jego mieszkanie – choć tak naprawdę wszystkim zajęła się Evie. Bardzo poważnie potraktowała swój obowiązek najstarszej córki. Upierała się, że to ona zajmie się finansami i podziałem jego majątku. Powiedziała, że chociaż tyle może zrobić po tym, jak nie było jej na pogrzebie.

Waga Jakoba nie stanowiła już problemu. Jego brzuszek urósł i teraz przypominał kulę, karczek opadał miękkimi fałdkami, a nóżki były cudownie

miękkie i pulchne. Czasem Evie pokazywała mi wykres jego wagi, na który wizytujący lekarze i pielęgniarki nanosili kolejne dane. Linia pięła się w górę, ostra jak skrzydło jaskółki.

Po tym, jak w dniu pogrzebu taty zakwestionowali NSR otrzymany ze względu na wagę Jakoba, nie dostali już kolejnych.

A przynajmniej Evie o żadnych mi nie wspominała.

T E R A Z

Podczas jednej z naszych ostatnich rozmów Evie zdradziła mi jeden szczegół dotyczący domu, do którego się przeprowadzali.

To była sztywna, przykra rozmowa przez nasze pracosfery, składająca się głównie z chwil milczenia, powtórzeń i wtrąceń. Zupełnie jakbyśmy nie byli w stanie słuchać, jak ta druga mówi, co chwilę wchodzącymi sobie w słowo, walcząc o to, by być usłyszaną.

– To niemal nad kanałem – powiedziała. – Naszym jedynym sąsiadem jest stocznia jachtowa, dziesięć minut spacerem od nas.

Dom leżał za miastem. Teraz, gdy pracowała dla BSR i wykonywała zadania, o które wolałam nie pytać, miała o wiele większe szanse na korzystny kredyt mieszkaniowy. Dzięki temu mogła zamieszkać poza granicami miasta, choć nie w elitarnych dzielnicach, w których wychowywano dzieci z XC.

Jej ton wydał mi się zbyt chełpliwy i nie mogłam się powstrzymać, by jej nie odpowiedzieć:

– Pewnie, jeśli nie potrafisz dogadać się z innymi, brak sąsiadów można uznać za zaletę.

Przez chwilę Evie milczała, oszołomiona, a potem się odgryzła:

– Próbowałam ci pomóc, Kit. Jeśli tego nie rozumiesz, to czeka cię bardzo przykre przebudzenie. Pomagałam ci.

– Tak ci się tylko wydaje – warknęłam. – Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to wygodny sposób patrzenia na szkody, które wyrządzasz.

– Nie potrafisz się powstrzymać, co? Musisz mieć swoje zdanie na każdy temat. Świat według Kit.

– Evie – zaczęłam. Próbowałam złapać oddech. – Evie...

Ale już zdążyła się rozłączyć.

Udaje mi się dojechać w pobliże stoczni jachtowej.

– Pora na spacer, Mimi – mówię. Wciąż jest pod wpływem leku, który jej podali, więc przytulam ją mocno do siebie. Porusza się lekko i mamrocze coś, co sprawia, że serce mi się kraje. Czuję to ostre mrowienie, gdy w reakcji na jej bliskość zaczyna mi płynąć mleko.

Muszę ją nakarmić i sama coś zjeść. Myślałam, że ten wilczy głód, który pojawiał się falami podczas ciąży, minie, kiedy już ją urodzę. Nie zdawałam sobie sprawy, ile będę potrzebować paliwa, by móc karmić ją piersią. W pierwszych dniach jadłam tak dużo jak jeszcze nigdy w życiu, wytrwale próbując uzupełnić kalorie, które jej oddawałam.

Prowizoryczna pieluszką, którą dla niej zrobiłam, już zdążyła przesiąknąć. Jeszcze mocniej przytulam Mimi do siebie i ruszam ścieżką biegnącą wzdłuż kanału. Jest pięknie, wręcz nierzeczywiście, jak na ulotce albo w reklamie w sferach.

Od wód kanału odbija się łagodne światło. Tak jak mówiła mi Evie, nikogo więcej tu nie ma – żadnych domów, żadnych innych spacerowiczów. To dobrze, bo na ścieżce jestem zupełnie bezbronna. Zdaję sobie sprawę, że Mimi jest za lekko ubrana. Próbuję otulić ją płaszczem i choć nie wydaje się zmarznięta, gdy przytulam ją do siebie, rozglądam się wokół z poczuciem winy.

Jeśli teraz natkniemy się na funkcjonariusza BSR, to będzie koniec.

Nie będę w stanie wyjaśnić, dlaczego żadna z nas nie ma opaski. Na pewno zostałybyśmy zatrzymane ze względu na to, jak ubrana jest Mimi, i oczywiście przez to, jak sama wyglądam. Pod płaszczem wciąż mam tylko piżamę; nie brałam prysznic, nie czesałam się ani nie myłam zębów. Nie chcę nawet wiedzieć, jak wyglądam.

Nie mam pewności, czy skręciłyśmy we właściwą drogę. Jeśli wkrótce nie natrafimy na dom, będziemy musiały zawrócić i ruszyć w przeciwnym kierunku. Uważnie przyglądam się Mimi, by zobaczyć, jak reaguje na to, że jest na świeżym powietrzu. Jej policzki zaróżowiły się, opadłe powieki wciąż są zamknięte. Domyślam się, że gdy była w mieszkaniu, z którego ją zabrałam, w ogóle nie wychodziła na zewnątrz. Czy zastanawiała się, co się stało? Czy myślała, że ją opuściliśmy?

Pytam ją o to teraz:

– Mimi, co robiłaś w tamtym mieszkaniu? Tam, gdzie byłaś z innymi dziećmi, z obcym panem i panią.

Głaszczę ją palcem po policzku.

– Wygląda na to, że dobrze cię karmili. Dbali o ciebie? Dobrze się tam czułaś?

Twarz Mimi na moment marszczy się przez sen.

– Wiesz, że rozdzieliliśmy się i byłaś tam z nimi tylko po to, żebyśmy wszyscy znów mogli być razem. Ty, ja i... tatuś.

„Pomyśl o tym w szerszej perspektywie” – słyszę w głowie głos Thomasa. „Teraz to wydaje się bolesne, ale może oznaczać, że czeka nas jakaś przyszłość. Możemy być razem”.

Prawie ochrypl, powtarzając mi te słowa. Nigdy nie chciałam rozstawać się z Mimi, nawet na sekundę.

W T E D Y

Evie powiedziała, że musi się ze mną zobaczyć. W cztery oczy. Natychmiast.

– Przyjadę do ciebie – powiedziała mi przez mobilną sferę.

– Zabierasz ze sobą Jakoba? – spytałam.

– Nie – odparła krótko i nic więcej nie wyjaśniała.

Spotkałyśmy się w kawiarni za rogiem, w pobliżu naszego mieszkania.

Spóźniła się. Zdążyłam już wypić mocną kawę podaną w szklance i kofeina pulsowała mi w głowie, odbijając się echem od czaszki. Nie wierzyłam własnym oczom, gdy zobaczyłam, jak otwiera drzwi kawiarni. Jeszcze nigdy nie była tak chuda. Wydawała się niemal tonąć w ubraniach, które miała na sobie, a włosy zwisały wokół jej twarzy matowymi, ciężkimi strąkami. W pierwszej chwili jej nie poznałam.

– Co się dzieje? To zabrzmiało, jakby wydarzył się jakiś nagły wypadek.

– Nie byłam z tobą do końca szczerą – odparła. – Jest coś, o czym musisz wiedzieć. Postanowiliśmy nikomu nie mówić, dopóki sprawy nie zajdą tak daleko. Nie jestem pewna dlaczego, ale tak zdecydowaliśmy. W każdym razie dotarliśmy do punktu, kiedy musimy o tym powiedzieć.

– O czym? Mówisz zagadkami.

– O BSR – powiedziała, zniżając głos. – Dostaliśmy kolejne cztery NSR-y. – Piła kawę tak dużymi łykami, jakby to była mocna whisky, która mogła ją wprowadzić w stan otępienia.

– Czyli macie pięć – powiedziałam.

– Czyli mamy pięć. I jeśli dostaniemy jeszcze dwa, to... to... – Mocno przechyliła szklankę i trzymała ją przy ustach, póki jej nie opróżniła.

Odczekała, aż jej słowa do mnie dotrą, aż mnie przenikną.

– Powinnaś przyjść i spędzić trochę czasu z Jakobem. Na wszelki wypadek.

Zaniemówiłam. Wypita kawa zalegała mi w żołądku i nagle zrobiło mi się niedobrze. Wszystko wokół się rozmazało. Wyobraziłam sobie, że zabierają Jakoba. Co stałoby się wtedy z Evie? Przez chwilę zastanawiałam się, czy to był powód, dla którego czułam ostatnio pewien dystans między nami. Zachowywała to wszystko dla siebie, pewnie nie chciała, żebym się martwiła.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało melodramatycznie, ale teraz to realna możliwość. – Mówiła szybko, ale potem zamilkła, jakby zabrakło jej słów, jakby uszło z niej powietrze. Nie musiała tego mówić. Jakob miał dopiero pięć miesięcy i musiało upłynąć dużo czasu, zanim w jego pierwsze urodziny system by się zresetował.

– Oczywiście – powiedziałam. – Jak się czujesz?

Evie spróbowała się uśmiechnąć, ale jej usta nie chciały się ułożyć we właściwy kształt. Zamiast tego wykrzywiły się niezręcznie, fałszywie.

– W sumie to... potwornie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– A co by to dało? – Potem jednak zaczęła wyrzucać z siebie kolejne słowa i zdania. Mówiła szybko, jakby chciały się z niej wydostać, jakby uciekały z niewoli. – Nie mogę już spać. W ogóle nie śpię, a potem przez cały dzień czuję się półżywa. Ciągłe popełniam błędy, co chwilę zmienia mi się nastrój. Wypadają mi włosy; kiedy je myję, wyciągam je całymi garściami. Nie potrafię już patrzeć na Jakoba i nie płakać. Płaczę, kiedy budzę go rano, płaczę, kiedy się z nim bawię w „a kuku”, płaczę, kiedy go karmię. Nie miałam pojęcia, że mam w sobie tyle łez. A to wszystko i tak nie ma znaczenia. To, jak się czuję, jest... nieistotne. Nic nie znaczy. Zawiodłam Jakoba, Kit. Zawiodłam naszą rodzinę.

– Nie. Nie, Evie. Nic podobnego. Tyle tylko że... – zaczęłam, ale nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, które mogłyby ją pocieszyć. Byłam przekonana, że to właśnie czuła: bezsilność. Świat zupełnie wymykał się jej spod kontroli, a ona była gotowa, żeby się poddać.

– Seb i ja prawie się do siebie nie odzywamy, chociaż musimy udawać, że jest inaczej. Jeden z tych NSR-ów dostaliśmy za napiętą atmosferę w domu, więc za każdym razem, gdy wychodzimy, musimy udawać szczęśliwą rodzinę. To wszystko jest po prostu takie...

Urwała.

– Może... – zaczęłam.

– Proszę, nie mów, że może do tego nie dojdzie – podjęła Evie. – Do wszystkich tych pięciu NSR-ów mogło nie dojść, ale doszło. Zostaliśmy teraz oznaczeni czerwoną flagą, jestem tego pewna. Tak jak twoi przyjaciele, Marie i Leo. Teraz to już tylko kwestia czasu. Najważniejsze, żebyśmy nacieszyli się każdą chwilą, jaka nam pozostała z Jakobem. Chociaż to też wydaje się niemożliwe.

– Okej. W porządku. Nie potrafię powiedzieć nic, co by cię pocieszyło, ale jestem tu. Jestem przy tobie. Przy Siebie i Jakobie. Jestem po waszej stronie. Rozumiesz? Nie jesteś sama.

– Dziękuję, Kit. – W jej głosie dało się słyszeć potworne znużenie. – Jesteś... jesteś... Ale problem nie leży w nas, tylko w... w... – Evie wyglądała na zagubioną.

– W BSR – dokończyłam za nią. – Problem leży w BSR.

– Chodź, przejdźmy się. – Nagle wstała.

– Teraz?

– Teraz. – Sięgnęła po torebkę i ruszyła do wyjścia.

Musiałam biec, żeby ją dogonić.

– Widziałaś ich? – spytała, gdy znalazła się na pustej ulicy. – Tamtą parę. Wyglądali, jakby słuchali, o czym rozmawiamy.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak wyglądali, ale nie potrafiłam.

– Nie – przyznałam.

Evie szła szybko ulicami, co jakiś czas skręcając w przecznice i przechodząc na drugą stronę. Pewnie miała nadzieję, że robi to w nieprzewidywalny sposób. Dopiero gdy oddaliśmy się od kawiarni, powiedziała mi, co widziała.

– Siedzieli kilka stolików od nas. Już tam byli, kiedy przyszedłam. Nie zwróciłabym na nich uwagi, ale w pewnej chwili kobieta sięgnęła po czajniczek i zaczęła z niego nalewać. Tyle tylko że nie było w nim herbaty. A potem po prostu dalej tam siedzieli. Nie ruszali się, nie rozmawiali. Kiedy wspomniałaś o BSR, mężczyzna skinął głową, a kobieta odwróciła się i na nas spojrzała. To właśnie wtedy cię stamtąd wyciągnęłam.

Nie odpowiedziałam, ale wyobraziłam sobie tę scenę. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby ktoś nas szpiegował, ale strach Evie był bardzo realny.

Widziałam go w jej oczach i w tym, jak sztywno się poruszała, jakby niosła jakiś wielki ciężar.

– Myślisz, że nas podsłuchiwali? – spytałam.

– Powinnam być ostrożniejsza.

– Ale przecież nie powiedziałaś nic złego.

– To, co powiedziałam, w zupełności by wystarczyło – odparła. – Powinnam już wracać do domu. Ale zajrzyj do nas niedługo, dobrze? Przyjdź i spędź trochę czasu z Jakobem. Po prostu... sama wiesz.

Kiwnęłam głową. Też nie chciałam wypowiedzieć na głos tych słów. To było nie do pomyślenia, nie do wyobrażenia.

– Poza tym wiem, że od jakiegoś czasu nie dowiedziałyśmy się nic nowego o majątku taty, ale jutro zamierzam omówić te sprawy z prawnikiem...

– Nie przejmuj się tym – powiedziałam. – Nie ma pośpiechu. To chyba ostatnia rzecz, jaką powinnaś sobie w tej chwili zawracać głowę.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że się tym zajmuję.

Machnęłam ręką. Nie chciałam o tym rozmawiać.

Umówiłyśmy się na spotkanie następnego dnia i pożegnałyśmy się całusem w policzek.

Patrzyłam za nią, dopóki nie zniknęła mi z oczu, a potem ruszyłam w stronę domu.

Choć nie byłam pewna, czy wierzę, że para w kawiarni nas podsłuchiwała, przez całą drogę do domu oglądałam się przez ramię.

T E R A Z

Odwracam się gwałtownie, gdy za plecami słyszę jakiś szelest. Wydawało mi się, że to odgłos kroków, ale drzenie trawy i ogon, który mi mignął, świadczą o czymś innym.

– To tylko szczur – mówię na głos. Teraz, gdy Mimi jest ze mną, nie potrafię się powstrzymać i zwracam się do niej nawet wtedy, gdy śpi i mnie nie rozumie.

Przed nami widzę zarys budynku. Jest wielki, imponujący. Czarne drewno i połysk grubego szkła; wygląda nie jak dom, ale bardziej jak współczesne dzieło sztuki. Nie mógłby się bardziej różnić od małego domku z czerwonej cegły, w którym wcześniej mieszkała Evie.

Gdy się zbliżamy, biorę głęboki oddech, w którym pobrzmiwają nuty porażki. Mój plan, żeby tu przyjechać, rozsypuje się w gruzy na moich oczach. Ostre linie i lśniące szkło wydają się wskazywać, jaka jest teraz Evie. Ma w sobie jakąś twardość i chłód. Wcześniej nie byłabym w stanie wyobrazić sobie jej takiej.

Mocno ściskam Mimi, podchodzę jeszcze bliżej i wtulam jej małe ciało w swoje. Osłaniają nas krzewy gęsto rosnące wzdłuż ścieżki nad kanałem i gdy zbliżamy się z boku do budynku, tracę go z oczu. Dopiero kiedy wyłaniamy się po drugiej stronie, widzę przerwę w żywopłocie, a za nią ścieżkę prowadzącą do domu.

– Chodźmy tędy – mówię i kieruję się w tamtą stronę.

Główka Mimi opada na bok. Na jej policzku lśni przezroczyta strużka śliny. Jest kompletnie nieprzytomna. Próbuję lepiej ją ułożyć, tak żeby jej głowa opierała się o moje ramię. Ona zaś osuwa się do przodu, jest tak bezwładna, że cała się napinam. Coś jest nie tak. Zupełnie nie reaguje. Przeklinam w duchu, że nie spytałam, jaki podali jej lek.

– Chodźmy obejrzeć sobie ten dom. Co ty na to? – Zmuszam się, by nadać głosowi radosne brzmienie, jakbym zaraz miała zacząć śpiewać piosenkę.

W T E D Y

Gdy tylko przyjechaliśmy, usłyszeliśmy ich podniesione głosy za drzwiami.

Dłóń Thomasa zawisła w powietrzu, zanim dotknęła dzwonka.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Nie – odparłam. – To okropny pomysł. Ale Evie mówiła, że muszą ciągnąć to dalej jak gdyby nigdy nic. Inaczej wszystko się rozsypie.

– Może trzeba było powiedzieć, że nie możemy przyjechać – wyrzucił z siebie. – Mogliśmy wymyślić jakąś wymówkę. Zrzucić winę na mnie.

Sceptycznie uniosłam brwi i spojrzałam na niego.

– Chcę się zobaczyć z Evie – powiedziałam.

Tamtego ranka dostali szósty NSR. Jak na ironię, stało się to na tym samym parkingu, na którym otrzymali pierwsze ostrzeżenie, w dniu ceremonii nadania imienia, podczas której Thomas i ja po raz pierwszy się spotkaliśmy.

– A teraz już nas zobaczyli – dodałam, gdy w oknie pojawiła się twarz Evie.

Ułożyła sobie włosy i zrobiła makijaż, jakby wybierała się do pracy. Sprawiała wrażenie profesjonalnej i zadbanej, ale nie udało jej się do końca ukryć podkrążonych oczu. Użyła też trochę zbyt krzykliwego różu, który dziwnie kontrastował z bladością jej policzków.

– Thomas! Cześć! – Wciągnęła go za próg i pocałowała w policzek. Mówiła trochę za głośno, zbyt piskliwie. Gdy odwróciła się do mnie, żadna z nas się odezwała, jedynie wymieniłyśmy spojrzenia. Z twarzy Evie zniknął pełen zachwyty powitalny uśmiech, zamieniając się w ponure znużenie.

– Wiesz przecież, że nie musieliście nas zapraszać – powiedziałam jej, gdy się ścisnęłyśmy.

– Chciałam cię zobaczyć – szepnęła. – Musiałam.

Ścisnęła moją dłoń i weszliśmy do kuchni, trzymając się za ręce. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że w jednej chwili mogliśmy czuć do siebie taki dystans, a w kolejnej byliśmy sobie tak bliskie. Przypomniało mi to drobne sprzeczki, które miewaliśmy jako dzieci. Mogliśmy na siebie naskoczyć z gwałtownością, z jaką wiatr zmienia kierunek, i równie szybko się pogodzić.

– Cześć, Kit – powiedział Seb i pomachał do mnie ręką. Przez krótką chwilę myślałam, że do mnie podejdzie i pocałuje mnie w policzek na powitanie, tak jak to zwykle robił, ale zauważył, że trzymamy się z Evie za ręce, i to go najwyraźniej powstrzymało. Zapadło milczenie.

– Wasz syn smacznie sobie śpi – zauważył Thomas, a jego głos wypełnił pustkę. Wskazał na pracosferę Seba, na której wyświetlał się obraz z kamery w pokoju Jakoba. Chłopczyk leżał na boku, zwrócony twarzą w stronę obiektywu, który znajdował się tak blisko niego, że mogłam dostrzec, jak drgają mu powieki. Pewnie coś mu się śniło.

– Naprawdę świetne ujęcie – ciągnął Thomas, gdy żadne z nas się nie odezwało.

– Mamy tam tyle różnych kamer, że po prostu przełączamy się na tę, która najlepiej go pokazuje – wyjaśnił Seb. Wykonał kilka zamasztych gestów na sferach i w ten sposób mogliśmy obejrzeć śpiącego Jakoba pod niemal każdym kątem.

Na koniec wrócił do zbliżenia na twarzy chłopca. Znow zapadło milczenie. W noktowizorze skóra Jakoba była upiornie szara. Od czasu do czasu maluch marszczył czoło, jakby wyczuwał, że wszyscy go obserwujemy i się martwimy.

– No dobrze – powiedziała Evie tonem, który miał znaczyć „no to zaczynajmy”. – Seb, zajmij się drinkami. Kit, chodź ze mną obejrzeć ten fragment ogródka, o którym ci mówiłam. A potem zjemy.

Każde z nas kiwnęło głową na zgodę, ale nikt nie drgnął, dopóki Evie nie pociągnęła mnie za rękę w stronę przeszklnych drzwi prowadzących do wąskiego skrawka uprawianej przez nią ziemi. Kilka tygodni temu rozmawialiśmy o tym, że skoro przejęłam działkę taty, to pomogę jej założyć warzywnik, ale nie przypuszczałam, że będzie chciała o tym rozmawiać właśnie teraz.

– Chodziło mi o to miejsce tutaj – powiedziała Evie, ciągnąc mnie na sam koniec ogródka. – Ale nie jestem pewna, czy będzie wystarczająco nasłonecznione. Jak myślisz?

– Naprawdę chcesz teraz o tym rozmawiać? – spytałam, wskazując na porośniętą trawą zapomniany splachetek ziemi.

– Nawciskałam Sebowi, jakie to dla mnie ważne, żebyś do nas przyszła i porozmawiała ze mną o warzywniku. Musimy tu tylko chwilę pobycć.

– Dlaczego... – zaczęłam, ale szybko ugryzłam się w język.

– Po tym, co się stało dziś rano, powiedział, że chce odwołać spotkanie... A ja tak bardzo chciałam się z tobą zobaczyć, że po prostu zaczęłam gadać o tym ogrodzie. Powiedziałam, że gdyby BSR się dowiedziało, że uprawiam własne warzywa, może zadziałałoby to na naszą korzyść.

– Evie... Przepraszam, nie powinnam się śmiać – wyrwało mi się i po chwili moja siostra śmiała się razem ze mną. Dźwięk odbił się echem i obie przycisnęłyśmy dłonie do ust, jakby to było coś zakazanego.

– Wiem, wiem, to niedorzeczne. Po prostu przestaliśmy się do siebie odzywać. Już nie mogę mu powiedzieć, że muszę się zobaczyć z siostrą. Muszę to uzasadnić czymś, co się wiąże z BSR. – Za każdym razem, gdy wypowiadała tę nazwę, ściszała głos i ledwie mruczała ją pod nosem. – Gdybym się nie śmiała, płakałabym. Już wolę się śmiać, chociaż jestem pewna, że Seb myśli, że mi odbiło. Po prostu chcę, żeby Jakob słyszał ten dźwięk. Jeśli to ma być ostatnie, co usłyszy, kiedy wciąż jest z nami, to wolę, żeby to był śmiech.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się wydarzyło dziś rano? Nie musimy tego wałkować, jeśli nie masz ochoty – dodałam szybko.

– Wiesz, jak to teraz wygląda. Właściwie to tak, jakbym nie pamiętała, o co chodziło tym razem. To znaczy, oczywiście, że pamiętam, ale wszystko zaczęło mi się ze sobą zlewać. Karmienie piersią, waga, a potem czapeczka chroniąca przed słońcem. Pamiętasz, jak pokazywałam mu gołębie w parku? A potem wszystko i tak sprowadza się do wsadzenia go do fotelika samochodowego.

Evie była wtedy sama i zapinała Jakoba w foteliku. Trochę za dużo czasu spędziła w supermarkecie i chłopiec zaczął być zmęczony. Kolejka okazała się dłuższa, niż się spodziewała. A do tego zapomniała o pieluszkach, a to po nie się tam wybrała.

– Widziałam, że zaczyna mu się zmieniać nastrój. Wiesz, jak to czasem bywa. Jakby niebo nagle pociemniało. W jednej chwili jest pięknie i słonecznie, a w kolejnej zbiera się na burzę. Potrzebował po prostu snu, powinien był się zdrzemnąć. To wszystko. Niemal pobiegłam do samochodu, żeby go w nim ułożyć. Domyślałam się, że stanie się to co zawsze. Powieki zaczęły mu opadać od samego kołysania. Gdy tylko wsiadaliśmy do samochodu i ruszałam, zwykle natychmiast zasypiał. Ledwie jednak wyjęłam go z wózka, zaczął krzyczeć. Ale, jak już mówiłam, usnąłby zaraz, gdybym tylko ruszyła. Tak mi się wydawało. I powiem ci coś, Kit, choć nie przyznam się do tego nikomu innemu, nawet Sebowi. Wiedziałam, że to, co robię, jest niewłaściwe. Zanim go bowiem wyjęłam, rozejrzałam się, sprawdzając, czy ktoś mnie nie obserwuje, czy w pobliżu nie ma jakichś funkcjonariuszy. Po tym, jak dostaliśmy ostrzeżenie na tym parkingu, zawsze wpadam tam w paranoję.

W tamtym momencie wyobraziłam sobie, jak Evie się rozgląda, a jej ciemne oczy błyszczą, gdy obraca głowę. To było to samo spojrzenie, które widziałam u niej w dzieciństwie, kiedy wciągała mnie w jakieś psoty. Kradliśmy przed kolacją herbatniki albo posypywałyśmy łóżko taty proszkiem powodującym swędzenie, kupionym w sklepie ze śmiesznymi gadżetami...

– I nikogo tam nie było?

– Ani żywej duszy. Wydawało się wręcz zbyt cicho. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co musieli sobie pomyśleć, kiedy zobaczyli, jak się rozglądam, sprawdzam, czy nie ma świadków. – Evie pokręciła głową, jakby w ten sposób chciała się pozbyć tej myśli.

Zapakowała siatki z zakupami do samochodu tak szybko, jak mogła, a potem wzięła na ręce Jakoba.

Natychmiast zaczął wrzeszczeć.

– Jestem pewna, że powiedziałam: „no już, już”; jestem tego pewna. Jestem pewna, że poklepałam go też po plecach i chwilę kołysałam na ramieniu. No wiesz, tak jak lubi. Ale chciałam po prostu posadzić go w foteliku i odjechać. W tym NSR-ze jest napisane, że nawet nie próbowałam go pocieszać. Nie próbowałam. Ale jestem pewna, że próbowałam. Jestem prawie pewna.

– Możesz zakwestionować ten punkt?

– Nie. Też na to liczyłam. Ale powiedzieli, że mnie nagrali. Nawet pokazali mi ten filmik. Nie widać na nim, żebym robiła cokolwiek, by go uspokoić.

– Ale mimo wszystko...

– To moje słowa przeciwko ich. Nie mam szans.

Evie zmagala się z wrzeszczącym Jakobem, próbując posadzić go w foteliku, a on wykręcał się i wiercił. To wtedy usłyszała odgłos kroków. Od razu wiedziała, co się dzieje.

– Próbowałam zachować spokój. Nadęłam policzki i jak wariatka wydawałam śmieszne dźwięki, śpiewałam piosenki... Cokolwiek, żeby tylko odwrócić jego uwagę, żeby przestał płakać. Robiłam głupie miny. Czasem to działa. Ale wtedy już tak wykrzywił buzię, tak głośno krzyczał, że nie sądzę, żeby mnie widział i słyszał. Zresztą i tak było już po wszystkim. Wiesz, w pewnym sensie nie to było najgorsze. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Dali mi ten swój świstek, a potem wrócili do samochodu z przyciemnionymi szybami zaparkowanego w pobliżu. Nie mogłam wiedzieć, że tam siedzieli.

– Co takiego? Cały czas tam byli? Zaczaili się na parkingu?

– Kto to może wiedzieć? – Evie z przygnębieniem wzruszyła ramionami. Kopnęła grudkę czarnej ziemi i ubrudziła sobie czubek buta. – To przecież nie ma znaczenia, prawda? Czy byli tam już wcześniej, czy dopiero się zjawili.

– Chodziło mi o to, czy ludzie wiedzą, że oni są wszędzie? Że chowają się za przyciemnionymi szybami, szpiegują nas? Tak jak tamta para, którą widziałyśmy w kawiarni.

Evie pokręciła głową.

– To nie ma znaczenia. Też się nad tym zastanawiałam, kiedy już było po wszystkim. Nawet gdybym od początku wiedziała, jak działają, nie jestem pewna, czy udałoby mi się cokolwiek zmienić. Tak się nie da żyć. Cały czas myślisz o tym, że ktoś cię obserwuje.

– Ale czy już teraz nie musimy żyć w ten sposób? Nie sądzisz, że tak?

Evie westchnęła. Zupełnie jakby jakaś siła ukryta w niej samej, siła, która popychała ją do przodu, która kazała jej pisać zawite kolorowe notatki, żeby przejść indukcję, i która uczyniła ją matką – w końcu ją opuściła. Zachodzące słońce namalowało na niebie różowe wstęgi. Światło powoli odpływało z miejsca, w którym stałyśmy, aż w końcu pochłonęły nas ciemności.

– Najgorsze było powiedzenie o tym Sebowi – mruknęła Evie. – Nigdy mi tego nie wybaczy.

– Jestem pewna, że to nieprawda.

– Inaczej na mnie patrzy. Obserwuj go dziś wieczorem. Patrzy na mnie, jakby... jakby nie chciał mnie widzieć.

Umilkłyśmy, bo Thomas podszedł do nas, trochę niepewnie trzymając dwa duże kieliszki. W jednym było aksamitnie złociste białe wino, a w drugim coś przezroczyściego i gazowanego. Thomas podał mi kieliszek z winem, a drugi dał Evie, która przyjęła go, marszcząc brwi.

– Chciałaś coś innego? Seb powiedział...

– Nie, w porządku. – Upiła łyk, jakby na potwierdzenie tych słów. – Dzięki.

– Seb powiedział, że za jakieś dziesięć minut będziemy zaczynać.

– Dobrze – odparła Evie. – Możesz mu przekazać, że do tego czasu wrócimy?

Na krótką chwilę spojrzenia moje i Thomasa się spotkały. Przesłaliśmy sobie całą masę niewypowiedzianych słów.

Gdy tylko opuścił ogród, Evie ujęła mnie pod łokieć.

– Seb mnie obwinia – powtórzyła. – Ma to wypisane na twarzy. Nawet jeśli byśmy przetrwali bez kolejnego NSR-u, nie wiem, jak mielibyśmy przejść nad tym do porządku dziennego... Pokonać tę otchłań, która nas dzieli. Widać ją na jego twarzy.

Zostałyśmy w ogrodzie dłużej, niż powinnyśmy, i w końcu Seb zawołał, że kolacja czeka na stole. Nie po raz pierwszy tego wieczoru przypomniały mi się czasy naszego dzieciństwa. Przeciąganie ostatnich chwil zabawy. Gry, w które się bawiłyśmy i które rozumialiśmy tylko my dwie. Tyle tylko że tym razem nie wyrwał nas z nich głos taty. I teraz nie była to już zabawa.

Evie powoli ruszyła w stronę kuchni. Przystając w każdej plamie cienia, niechętnie przeszła przez trawnik, jakby jej własny dom był ostatnim miejscem, w którym chciała być.

Seb rozgotował łososia, który odbarwił się na brzegach i kruszył się na widelcu w suche płatki.

Po kilku nieudanych próbach podjęcia jakiejś konwersacji Evie opadła na oparcie krzesła. Przez chwilę bez entuzjazmu przesuwiała łososia po talerzu,

a potem zdecydowanym gestem odsunęła od siebie prawie nietknięte jedzenie. Ciągnęło ją do pracosfery, na której wyświetlała się twarz Jakoba. Znajdowała się za jej plecami i by na nią zerkać, musiała ciągle odwracać głowę.

W obliczu jej irytującego milczenia mówić zaczęła – zbyt głośno – Seb. Jego śmiech odbijał się potężnym echem od ścian, był jak ręka poklepująca cię po plecach, szukająca aprobaty.

Po tym, jak odsunęła talerz z jedzeniem, Evie wstała i bardzo powoli, z rozmysłem wzięła ze sobą kieliszek z gazowaną wodą. Gdy wróciła, było w nim już białe wino, i to w absurdalnej ilości, bo kieliszek był naprawdę pękaty.

Seb spojrział na nią, unosząc brwi, a potem pokręcił głową i utkwiał wzrok w srebrzystej skórce łososa, którą zostawił schludnie ułożoną w stosik na brzegu swojego talerza.

Evie ledwie dostrzegalnym gestem uniosła kieliszek w stronę Seba, a potem upiła wielki łyk. Patrzyłam, jak przełyka, jak poruszają się mięśnie jej szyi. Potem upiła kolejny łyk i jeszcze jeden. Piła z determinacją, z wysiłkiem, jakby to było lekarstwo. Seb zaczął zbierać nasze talerze, pośpiesznie rzucając je jeden na drugi. Porcelana, zderzając się, pobrzękiwała głucho i twardo.

Oboje z Thomasem rozglądaliśmy się wokół, gdziekolwiek, byle tylko nie patrzeć na stół, wino, talerze. Potem nastąpiła krótka chwila, gdy zostaliśmy sami. Evie poszła bowiem zajrzeć do Jakoba, a Seb po deser, który zapomnieli zabrać z samochodu.

– Proszę, powiedz, że możemy niedługo stąd wyjść – szepnął Thomas. Skinęłam głową, nim Seb zdążył wrócić z opakowaniem miniptysi, które położył pośrodku stołu.

– Nie wiem, czy będą się jeszcze do czegoś nadawać – powiedział. W tamtej chwili wydawał się taki bezbronny i zmartwiony, że zastanawiałam się, czy się nie rozplącze.

– Wyglądają świetnie! Przepyszne! – zapewniliśmy z Thomasem pełnym entuzjazmu chórem.

Seb się wyprostował, wziął się w garść i ten dziwny wyraz zniknął z jego twarzy.

Moja siostra niemal niepostrzeżenie wśliznęła się do pokoju i oplotła palcami kieliszek wina, który był już prawie pusty.

Gdy rozległo się pierwsze pukanie, niemal go nie usłyszeliśmy. Seb namówił Thomasa, żeby opowiedział nam jakąś historyjkę z pracy. Przesłał podejmować próby rozmowy z Evie, która siedziała z podciągniętymi nogami, przyciskając kolana do piersi i ostentacyjnie balansowała butami na skrajach krzesła.

– Słyszeliście to? – spytał Seb.

Znów rozległo się pukanie. Tym razem głośniejsze.

– Kto to może być? O tej porze? – Głos Seba stał się o ton wyższy.

– To oni – powiedziała Evie. – Przyszli po niego. – Wydawało się, że z każdym słowem, jakie wypowiadała, było jej coraz mniej.

– Nie – stwierdził Seb, wstając. – To niemożliwe. – Zmartwiony zerknął na główkę Jakoba, który spał dalej, wypełniając pracosferę swoją senną obecnością.

Nagle Seb złapał Evie za nadgarstek i poderwał ją do pozycji stojącej, niemal ją przewracając.

– Jeśli to prawda – powiedział do niej – jeśli to oni, to chcę spędzić te ostatnie minuty z Jakobem. – W jego głosie słychać było, jakie to dla niego ważne. I wtedy wreszcie dostrzegli się nawzajem i zrozumieli. Evie kiwnęła głową i razem wybiegli z pokoju, zostawiając mnie i Thomasa przy stole. Znów rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Zabrzmiało niemal łagodnie, naturalnie. Chciałam wierzyć, że to tylko jakaś sąsiadka przyszła coś pożyczyć albo że ktoś chce zapytać o drogę. Może chodziło o coś zupełnie niewinnego. Znów byłam w mieszkaniu Marie i Leo, słyszałam tamto pukanie do drzwi, czułam tę rozpaczliwą nadzieję, że to ktoś inny, ktokolwiek, byle nie BSR.

– Powinniśmy otworzyć? – zapytał mnie Thomas.

– Sprawdźmy, czy sobie pójdą.

– Może to wcale nie BSR – powiedział z nadzieją w głosie.

Evie i Seb byli teraz u Jakoba. Wyjęli go z łóżeczka, więc pracosfera pokazywała puste miejsce. Wyobraziłam sobie, jak chłopiec śpi dalej w ramionach rodziców stojących po obu jego stronach. Nie było bezpieczniejszego miejsca, w którym mógłby być.

Pukanie zmieniło się w łomot. W mojej głowie pojawił się obraz wielkiej pięści walącej w drzwi. Siedziałam z Thomasem w milczeniu nad miseczkami z niedojedzonym deserem. Potem usłyszeliśmy głosy:

– Otwierać! Evie Moss? Sebastian Maybury? Wiemy, że tam jesteście. Jeśli w ciągu minuty nie otworzycie tych drzwi, będziemy zmuszeni je wyważyć.

Wtedy oboje ruszyliśmy się z miejsc; wstaliśmy jak pociągane za sznurki marionetki. Thomas dotarł do drzwi przede mną.

– Sebastian Maybury? – Gruby mężczyzna w okularach podniósł wzrok znad mobilnej sfery. Miał na sobie sfatygowany zielony sweter z łatami naszytymi na łokciach.

– Nie, jestem...

Ale zanim zdołał dokończyć, mężczyzna przepchnął się obok niego. Za nim weszło dwóch kolejnych funkcjonariuszy. Nie pamiętam, jak wyglądali, ich obraz zatarł mi się w pamięci, ponure twarze miały hardy wyraz, choć były zupełnie zwyczajne. Przepychali się, jakby brali udział w jakichś zawodach.

– Evie Moss? – zapytał mnie mężczyzna z mobilną sferą.

– To moja siostra. Jestem...

Ale już go nie było. Przeszedł do jadalni. Na stole zostały porzucone przez nas naczynia, a pośrodku leżało opakowanie po ptysiach. Przystanął, jakby miał ochotę zajrzeć, czy nie schowali się pod stołem, a potem ruszył dalej przez kuchnię do łagodnie oświetlonego salonu. W tym momencie rozległ się cichy płacz Jakoba i mężczyzna rzucił się na górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

Ruszyłam za nim, ale jeden z dwóch pozostałych funkcjonariuszy zagroził mi drogę.

– Możecie zostać tu, na dole. – Wskazał nam stół w jadalni.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale Thomas był tuż przy mnie.

– Nic więcej nie możemy zrobić – powiedział cicho, więc usiedliśmy bezradnie i czekaliśmy.

Długo nic się nie działo. Słyszeliśmy dobiegające z góry głosy, ale nie byliśmy w stanie rozróżnić słów.

Od czasu do czasu do naszych uszu docierało kwilenie Jakoba, ale szybko cichło, znikało, jakby nigdy go nie było. Potem nagle na sekundę twarz Jakoba pojawiła się w pracosferze.

Znów położono go do łóżeczka i przez kilka sekund wił się, zwrócony do kamery, marszczył twarz i szukał kogoś wzrokiem.

Potem ktoś wziął go na ręce i zniknął z pola widzenia.

T E R A Z

Widzę swoje odbicie w przeszklonych drzwiach. Z zewnątrz wyglądają jak lustro, ale pewnie to ten rodzaj szkła, przez który można patrzeć od środka.

Mam przetłuszczone włosy. Przylegają do czoła i opadają na ramiona, splątane, ciężkie i potargane. Próbuję przeczesać je palcami, ale są za bardzo skołtunione. Potem przypominam sobie o lustrze weneckim i zastanawiam się, czy ktoś mnie obserwuje. Szybko cofam rękę.

Czy ktoś tam jest?

W żadnym oknie nie świeci się ciepłe światło, jedynie z bladego kręgu na szarym niebie padają słabe promienie. Nie słyszę muzyki, żadnych rozmów ani paplaniny pracosfery.

– Zapukamy do drzwi? – zwracam się do Mimi, rozglądając się za czymkolwiek, co przypominałoby dzwonek. Niczego takiego jednak nie znajduję. – Zobaczmy, czy ktoś jest w domu?

Ze względu na córkę pukam teatralnie, ale nic nie przerywa jej snu. Przeszywa ją dreszcz i zaczynam uderzać głośniejszymi. Szyba jest gruba, a odgłosy pukania stłumione.

Nikt nie odpowiada.

Okładamy cały budynek. We wszystkich oknach jest ciemno, wszystkie drzwi są pozamykane. To forteca nie do zdobycia.

Powtarzam sobie, że nikogo tu nie ma.

Powtarzam sobie, że nikt mnie nie widzi.

A potem zaczynam szukać czegoś ciężkiego i twardego.

Znajduję pod ścianą stertę cegieł. Podnoszę jedną, potem kolejną i jeszcze jedną. Trudno to zrobić, jednocześnie trzymając Mimi, ale nie chcę jej odkładać

nawet na chwilę, jeśli to nie jest konieczne. Przenoszę je wszystkie pod jedną z wielkich przeszklonych ścian.

Kiedy wydaje mi się, że mam ich już dość, zdejmuję płaszcz, otulam nim Mimi i kładę ją w bezpiecznej odległości na trawie za rogiem. Nie porusza się. Mija chwila, nim jestem w stanie od niej odejść i wrócić pod okno do sterty cegieł.

Rzucam cegłą w szybę najmocniej, jak potrafię.

Pęka, ale się nie rozpada.

Przez cały czas nasłuchuję, czy Mimi się nie obudziła, czy nie wydała jakiegoś dźwięku, ale nic nie słyszę.

Ciskam kolejną cegłę w okno. Odkształca się, faluje, ale się nie tłucze.

Rzucam kolejną. I jeszcze jedną.

Moje odbicie rozpada się na wiele fragmentów; nie widzę już swojej twarzy.

Wreszcie to słyszę.

Trzask.

Jeszcze tylko kilka i będziemy w środku.

Czekam na wycie alarmu.

Na kogoś, kto podbiegnie do wybitej dziury i zażąda wyjaśnień.

Wracam biegiem po Mimi. Wpatruję się w dziurę, którą sama wybiłam.

Czekamy i czekamy.

Kiedy nikt się nie zjawia i nie słyhać wycia alarmu, biorę Mimi na ręce. Jest teraz cięższa, a od noszenia jej bolą mnie plecy.

Kopniakami odrzucam odłamki szkła, a potem pochylam się, kulę i w tej pozycji wchodzimy do środka.

W T E D Y

Co pozostało po tym, jak Jakob zniknął z domu?

Nic. A jednocześnie wszystko.

Pozostało miejsce, gdzie leżał, kiedy rozmawialiśmy, jedliśmy, piliśmy i kipieliśmy ze złości. Wgłębienie na kocyku, na pościeli.

Pozostały wszystkie przedmioty, rzeczy, które wcześniej były tak ważne dla jego przetrwania. Butelki do karmienia, fotelik samochodowy, wyjątkowo drogi wózek. Teraz, gdy spadek populacji tak mocno wpływał na produkcję, wszystko kosztowało znacznie więcej. Pozostały rzeczy, które lubił w tym krótkim czasie, kiedy był z nami. Drewniana zabawka w kształcie słonecznika z oczami pośrodku. Muślinowa tkanina w czarno-biały wzór, do której zawsze go ciągnęło.

Pozostała pustka, która wypełniła dom i ciążyła jak ołów w naszych ciałach. Przygniotła nasze serca, przyprawiała o ból głowy.

Pozostał związek, który kiedyś był tak pełny nadziei na przyszłość, a teraz wisiał na włosku. Wydawało się, że w każdej chwili może się rozpaść.

Pozostało obwinianie się, bezwstydnie wiszące w powietrzu, jak zapach starego, schorowanego psa. Zbijało nas z tropu. Nie chciało zniknąć.

Oprócz tego były jeszcze wspomnienia. Wspomnienia, które stężyły do fizycznej formy, zdjęcia, filmy. Evie oglądała je bez przerwy, a ja byłam przy niej. Seb i Thomas nie chcieli ich widzieć i zastanawiałam się, czy wspominali Jakoba w sposób, który sama wołałam: przez wspomnianie uczuć. Nagły przypływ radości. Dreszcz oczekiwania, gdy wychodziłam zza rogu i widziałam ich dom, gdy przychodziłam go odwiedzić. To, jak tańczyło moje serce, kiedy się uśmiechał.

W tamtych dniach miałam wrażenie, że gdyby uderzyć o siebie Seba i Evie, rozległby się pusty i głuchy dźwięk. Jakby czegoś w nich brakowało.

Evie stała się bardziej szorstka, skłonna do wybuchów i przykrych uwag, a Seb jakby stracił chęć do życia. Zaczynał jakieś zdanie, ale nie był w stanie go dokończyć. Nie potrafił podjąć najdrobniejszych decyzji.

W tamtych dniach przyłgnęłam do Thomasa. Czasem, gdy zśliśmy obok siebie, nagle czułam, że zaraz się przewrócę, że ugną się pode mną nogi. Wtedy kurczowo się go przytrzymałam i choć to uczucie często do mnie wracało, nie upadałam, trzymałam się w pionie.

Pozostały sny. Pozostały też koszmary. Ale żaden nie był tak realny ani tak bolesny jak świadomość tego, co się stało, że Jakoba już z nami nie ma i że być może nigdy go już nie zobaczymy.

Nie potrafiłam się skupić na niczym prócz bólu, który nas dręczył. Próbowałam pracować, ale słuchanie rozmów Jonaha i jego córki tylko nasilało poczucie straty. Evie nigdy nie będzie mogła rozmawiać w ten sposób z Jakobem.

W tamtych dniach wydawało się, że sfery są głośniejsze. Czy to dlatego, że wszystko w nas było cichsze, spokojniejsze, bardziej puste?

Tydzień po ekstrakcji Jakoba Evie zadzwoniła do mnie późno w nocy. Obudził mnie sygnał połączenia odbijający się echem w pustym mieszkaniu.

Gdy tylko przesunęłam ręką po pracosferze, jej twarz wypełniła całą kulę; musiała być tuż przy kamerze. Zaczęła mówić, zanim odebrałam, więc usłyszałam tylko koniec zdania:

– ...gdzie on teraz jest. Nie potrafię przestać o tym myśleć, Kit. Czy będzie nas pamiętał? Czy któregoś dnia minimy się na ulicy? Czy mnie pozna? Czy będzie mnie pamiętał?

Nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie będzie mnie pamiętał – ciągnęła. – Nigdy się nie dowiem, na kogo wyrośnie, kim się stanie, co się będzie działo w jego życiu. Czasem myślę... Czasem żałuję, że to nie ja umarłam zamiast taty. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała. Żałuję, że nie umarłam ze świadomością, że on żyje, że jest kochany. Tak, by się nie dowiedzieć o niczym, co się stało potem.

– To takie... – zaczęłam, ale Evie nie dała mi dojść do słowa.

– Kiedyś myślałam, że najważniejsze jest to, że się staramy. Że się tak strasznie, kurwa, staramy. Ale teraz wiem, że to wszystko gówno prawda. To nie

miało żadnego znaczenia. Nie ma go. Nie ma mojego synka i... i... – Jej słowa przeszły w szloch, a potem w jęk i zapadła ciężka cisza. Słysząc było tylko nierówny, urywany oddech.

– Evie, kochanie... – Zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, odwróciła się szybko w stronę jakiegoś dźwięku za jej plecami.

– Idzie tu – powiedziała. – Nie chce, żebym o tym mówiła. Muszę kończyć. – Jej wychudzona twarz zniknęła, a sfera zaczęła wyświetlać reportaż o nowej farmie grzybów.

Ekran wypełniły szeregi owocników, przypominające prywatną stojącą na baczność armię. Wyobraziłam sobie, jak w tej chwili moja siostra chowa się przed Sebem, który nie chce lub nie jest w stanie rozmawiać o tym, co się stało. Nie istniało coś takiego jak jeden właściwy sposób zachowania w takiej sytuacji, ale to, że Evie i Seb zareagowali tak różnie, wydawało się jakimś okrutnym żartem. To, co robiło jedno, irytowało drugie. Nie mogli się nie kłócić. Gdy Evie zachowywała się głośno, niemal zgryźliwie, Seb się wycofywał. Gdy Evie milczała, a Seb próbował jakoś do niej dotrzeć, zaciekle broniła swojej prywatności, żądając przestrzeni, żeby pobyć sama, tak jak nigdy wcześniej.

Zamknęłam obrazy przedstawiające farmy grzybów. Pracosfera zmieniła się w milczącą czarną kulę. Miałam już wracać do łóżka, ale ponownie włączyłam ekran. Zaczęłam przekopywać się przez pliki związane z pracą, póki nie dotarłam do tej rozmowy Jonaha i Genevieve, podczas której powiedziała mi, że postanowiła założyć rodzinę. Chciałam jeszcze raz przyjrzeć się plikom, które przeglądał Jonah, tym z logo BSR.

Znalazłam audiograf tej rozmowy, ale nigdzie nie było widać ikonki twarzy. Wielokrotnie próbowałam, zamknęłam nawet plik i otworzyłam go ponownie, ale bez względu na to, jak bardzo szukałam, nie mogłam znaleźć sposobu odtworzenia materiału z kamery, tak jak mi się to udało wcześniej.

Próbowałam po raz trzeci zresetować sferę, gdy zaczął się wyświetlać film BSR. Zobaczyłam obrazy rodziców i dzieci tańczące po ekranie, jakby znajdowali się na jakiejś karuzeli. Wtedy się poddałam i wróciłam do sypialni.

– Jak ona się czuje? – spytał Thomas, siadając na łóżku.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak strasznie – odparłam. Pochyliłam się, by wpełznąć pod kołdrę, i dopiero wtedy poczułam, jaka jestem wykończona. –

Nigdy nie miejmy dzieci.

– Nigdy – zgodził się ze mną Thomas, a potem próbowaliśmy zasnąć przy stłumionych odgłosach dziecięcego śmiechu dobiegających z mojej pracosfery.

T E R A Z

Pracosfera budzi się do życia. Słyszę głosy dzieci.

Zamieram. Jestem sparaliżowana, chociaż widzę, że to tylko film BSR, który zaczyna się odtwarzać.

Łapię Mimi i stoję tak, tyle tylko że już po drugiej stronie dziury w szybie.

Wyczuwam zapach Evie. Perfum, których używa, i dezodorantu zmieszanego z szamponem. Przechodziła tędy chwilę przed nami. Otarła się o grube płaszcze wiszące na wieszaku i zatrzasnęła za sobą drzwi, przekonana o ich solidności i trwałości.

Ale gdy szukam jej zapachu, rozwiewa się, już go nie ma.

Czuję ukłucie tęsknoty za przeszłością, za byciem z nią, za czasami, gdy jej dom znałam równie dobrze jak własny. Dni, które spędziłyśmy razem, były tak niewinne, że teraz wydają mi się czymś cennym.

Tęsknię za swoją siostrą. Tęsknię za byciem z nią, za jej obecnością, ale mogę tylko uznać ten fakt za ważniejszy niż wszystko inne, co stanęło między nami, tutaj, w jej domu. W miejscu, w którym powinna być. I będąc tu bez niej.

Film odtwarza się dalej, a ja robię krok do przodu. Przytulam do siebie Mimi i idę przez wielkie, przestronne pokoje.

Jest coś odkrywczego w oglądaniu fragmentów czyjegoś życia poprzez jego dom. Prawdziwy dom. Nie taki, który został wysprzątny dla gości, w którym sterty starej poczty wciśnięto do szuflad, a talerze powkładano do zmywarki.

Co zostawiasz po sobie, kiedy myślisz, że nikt tego nie zobaczy? Jakie fragmenty siebie odsłaniasz?

Na blacie leży pomarszczona skórka od banana, brązowa, pachnąca słodko zgnilizną. Trzy filiżanki, w których wciąż są torebki ekspresowe i ciemnobrązowe resztki zbyt mocnej herbaty. Mały garnuszek pozostawiony na płycie kuchenki.

Do jego dna przywarło coś, co wygląda jak ser. Wyobrażam sobie Evie stojącą w kuchni z widelcem w ręce, jedzącą kolację prosto z garnka. Każdy taki drobny ślad jest wyraźnie widoczny w tym eleganckim pomieszczeniu urządzonym w stylu industrialnym.

Salon jest nieskazitelnie czysty i uporządkowany. Zaczynam się zastanawiać, czy Evie spędziła tu ostatnio choć trochę czasu. Poduszki są wytrzepane i leżą równo na sofie, na stołach nic nie ma, zabawki starannie ułożono w pudłach. Wszystko pochowane, schludnie poukładane, idealne.

W tym sterylnym miejscu Mimi wydaje się jeszcze spokojniejsza. Sprawdzam, czy oddycha. Pragnę usłyszeć jej głos przecinający ciszę, ale wciąż jest pogrążona we śnie.

– Może posiedzisz tu sobie wygodnie? – paplam do niej. Klepię dość twardą poduszkę na sofie. Siedzam tam Mimi, obkładam ją innymi poduszkami i kocykami i z powrotem wkładam płaszcz. W domu jest zimno. – Teraz muszę tylko znaleźć coś, co nada się na pieluszkę.

Jakob na pewno jest już za duży, żeby nosić pieluchy, ale powinno mi się udać wymyślić dla niej coś lepszego niż te papierowe ręczniczki z toalety w restauracji.

Na oparciu sofy leży sweterek Jakoba, w którym będzie jej ciepło. Zabieram go. Z kuchni biorę ściereczki do naczyń i szybko robię z nich prowizoryczną pieluszkę.

– Zaraz wracam – mówię do Mimi, gdy kończę. – Jeszcze tylko chwilka. Znajdę coś, w co będę cię mogła ubrać, i za moment wrócę, dobrze?

Chowa twarz w sweterku Jakoba. Ile czasu musi jeszcze minąć, zanim leki, które jej podali, przestaną działać? Próbuję obliczyć, jak długo już śpi. Przez chwilę głaszczę jej jedwabiste włosy, a potem niechętnie ją zostawiam.

Jedną ścianę pokoju zajmuje biblioteczka. Po kurzu, który osiadł na półkach, stwierdzam, że Evie od dawna nie tknęła leżących na nich książek. Ostrożnie wysuwam jedną z nich – *Myszy i ludzie*. Wygląda na to, że to ten sam egzemplarz, który wiele lat temu wkładała do szkolnego plecaka.

Wstrzymuję oddech. Między okładką a stroną tytułową znajdują dwa dwudziestofuntowe banknoty, sprasowane niczym zasuszone stokrotki.

Zawsze tak robiła. Chowala pieniądze w książkach. Zaczęła to robić jako nastolatka i ten nawyk jej pozostał, nawet gdy dorosła, choć w tym sterylnym miejscu zaczynałam się zastanawiać, czy wciąż jest tą samą osobą. To znalezisko sprawia, że znów za nią tęsknię. Pozwala mi wierzyć, że mimo wszystko wciąż ją znam.

W następnej książce nie ma pieniędzy. Ale w *Dumie i uprzedzeniu* znajduję osiemdziesiąt funtów i po chwili potrafię już odgadnąć, w których książkach Evie schowała banknoty. Wybiera do tego klasykę, choć znajduję też trzydzieści funtów między stronami jakiejś antologii poetów, których nazwisk nie znam.

Upycham kilka banknotów w kieszeni pizamy, a potem, idąc za przykładem Evie, zaczynam wkładać kolejne między strony tandetnego kryminału, który jakby od niechcenia wepchnięto w przestrzeń nad innymi książkami na jednej z dolnych półek.

Zerkam na Mimi. Wciąż śpi, a jej oddech jest głęboki, równy.

Pośpiesznie kieruję się do kuchni. Wkładam książkę do solidnej torby, a potem zaczynam się rozglądać za jedzeniem.

Biorę wysoki, szklany dzbanek stojący przy zlewie, napełniam go wodą z kranu i wszystko wypijam. Napełniam go jeszcze raz, znów piję, a potem zabieram go ze sobą i podchodzę do lodówki.

W miseczce są jakieś resztki posiłku, coś, co wygląda na potrawkę z soczewicy. Pożeram ją w kilka sekund, bez podgrzewania. Potem wpycham do ust kawałek chleba. Muszę sobie powtarzać, żeby go przeżuć, zanim przełknę, tak jak przypominał mi Thomas w pierwszych dniach karmienia piersią, gdy wciąż byłam głodna i ciągle było mi za mało. Teraz czuję to samo. W jednej z szafek znajduję opakowanie herbatników i wkładam do ust jednego po drugim, popijając wielkimi łykami zimnego mleka. Zaczęłam jeść zaledwie kilka minut temu, ale już czuję, jak wracają mi siły.

Teraz mogę zacząć planować przyszłość.

Zabieram zawartość miski z owocami – lśniące jabłka i pomarańcze o grubej skórce, zabieram puszki fasoli, piątkę chleba, kawałek sera z lodówki.

Biorę sztućce z szuflady i jeszcze kilka ściereczek. Z suszarki zgarniam dwie butelki na wodę i napełniam je pod kranem.

Potem zaglądam do Mimi. Kiedy miotalam się po kuchni, nagle ogarnął mnie strach, że gdy podejde do sofy, zastane tylko puste miejsce: wgłębienie na poduszce zamiast jej pulchnego ciała.

Gdy widzę, że wciąż tam leży skulona, znów zaczynam oddychać. Mówię sobie, że nie powinnam była jej tu zostawiać, i tym razem biorę ją na ręce. Opieram jej główkę o swoje ramię i ostrożnie wchodzę po schodach.

Teraz ubrania.

Pierwszy pokój, do którego zaglądam, okazuje się sypialnią Evie. Układam Mimi na łóżku. Opada bezwładnie, wciąż głęboko śpi. Martwi mnie, że jeszcze się nie obudziła i że nie wiem, jakie podano jej leki. Nie chce się obudzić, choć mówię do niej po imieniu, głaszczę ją po policzku, ściskam jej stópki. Niechętnie zostawiam ją na łóżku.

Zaczynam mieć poczucie winy, gdy przeglądam ubrania Evie i otwieram szuflady, by zobaczyć, co jest upchnięte w głębi. Odrywam się od tego, co robię, widzę to z innej perspektywy, nie z punktu widzenia mojej wypaczającej obraz desperacji. Znajduję topy, które Evie nosiła wiele lat temu, ale od tamtej pory nie widziałam, by je wkładała. Stary czarny sweter, który kupiła, gdy razem byliśmy na zakupach, i nosiła go do czasu, aż zalęgły się w nim mole. Wciąż go nie wyrzuciła. Nie potrafię się powstrzymać: ściagam płaszcz i wkładam sweter na mój poplamiony mlekiem top. Rozciągam rękawy, by sięgały mi do nadgarstków. Robi mi się trochę cieplej, otula mnie jego miękkość.

Znów czuję zapach Evie – pozostałości jej perfum w fałdach wełny i tkanin. Przez chwilę się zastanawiam, co sobie pomyśli, gdy odkryje wybite okno i podąży śladem mojego plądrowania. Domyśli się, że to byłam ja. Będzie zła czy może smutna? Wolałabym się tego nie dowiadywać.

Odsuwam od siebie poczucie winy i z nową energią przetrząsam szuflady. Jest w nich wiele nowych rzeczy, niedawno poskładanych i dołożonych do starych. Sprawiają wrażenie nigdy nienoszonych. Są miększe, czystsze i ładniejsze niż cała reszta. Evie musiała być niedawno na zakupach.

Jasnoszary sweter z ukośnym dekoltem i rękawami trzy czwarte. Biały T-shirt, który później już nigdy nie będzie tak biały. Opieram się pokusie, by je zabrać, choć kuszą mnie swoją nowością. Chcę tych świeżych, nietkniętych rzeczy. Nowej skóry.

Niemal niechętnie sięgam po luźne spodnie, które Evie zwinęła i upchnęła w głębi szuflady, oraz ni to niebieski, ni to szary T-shirt. Zabieram cienki sweterek w kolorze kości słoniowej, trochę za mały i przylegający do ciała, ale taki musi wystarczyć. Jest sporo białych koszulek, które Evie ma w wielu wersjach, więc pakuję kilka z nich, i trochę rozciągniętej bielizny, wyglądającej na zapomnianą i nielubianą.

Podkradam z jednego z pudełek w łazience pomadkę do ust, małą tubkę kremu do rąk i w połowie zużyty dezodorant. „Moje dobra luksusowe” – mówię sobie.

Torba wydaje mi się teraz uspokajająco pełna, a kanciasta okładka książki, do której wetknęłam pieniądze, obija się o mój bok.

I właśnie wtedy słyszę odgłos dobiegający od strony łóżka – dźwięk, którego nie można pomylić z niczym innym. Pędzę w stronę Mimi, upuszczając łupy.

Wypadają z torby, dekorując podłogę dowodami mojej kradzieży.

W T E D Y

Weź to – powiedziała Evie, wpychając mi do rąk torbę. – Nie chcę ich. Jeśli ty też ich nie chcesz, po prostu je rozdaj.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam kilka miękkich zabawek, które Jakob lubił najbardziej: białego misia, który służył jako grzechotka, filcową sowę o szeroko rozstawionych, okrągłych oczach.

Nie było go już od trzech tygodni.

Spotkałam się z Evie i spacerowałyśmy w kółko po małym parku usytuowanym w pobliżu jej domu.

Czasem zwalniałyśmy kroku i niemal przystawałyśmy, a potem znów ruszałyśmy w milczeniu ścieżką prowadzącą wokół parku, mijając rabaty kwiatowe, które do tego stopnia nasiąkły wodą, że bardziej przypominały błotniste rowy, w których nic nie chciało rosnąć.

Od czasu do czasu jakieś dziecko na hulajnodze przejeżdżało tak blisko, że prawie na nas wpadało. Dzieci były dobrze wyposażone – miały kaski oraz ochraniacze na rękach i nogach, na wypadek gdyby się wywróciły.

Widziałyśmy też dziewczynkę, której wolno było jeździć na hulajnodze tylko pod warunkiem, że jej mama przez cały czas będzie trzymać rękę na kierownicy. Przejechały powoli obok nas. Przypominało to nową wersję wyścigu na trzy nogi. Inni rodzice biegali za swoimi szalejącymi pociechami, nie mając szans ich dogonić. Wykrzykiwali ostrzeżenia, próbowali przewidzieć przyszłość, stworzyć taką, w której obejdzie się bez płaczu i nikt nie robi sobie krzywdy.

Gdy dzieci wesoło przejeżdżały obok nas, za każdym razem słyszałam, jak Evie gwałtownie wciąga powietrze. Najpierw myślałam, że się martwi, czy się nie wywróci. Gdy zobaczyłam, jak śledzi je wzrokiem, zaczęłam się jednak

zastanawiać, czy nie wyobraża sobie Jakoba, wyrośniętego, zwinnego, przemykającego obok nas.

– Znalazłam pewną kobietę w Bristolu... Napisała taki program, który zbiera wszystkie dane o twoim dziecku, jakie masz zapisane w swojej pracosferze i sferze mobilnej, i używa ich do stworzenia zdjęć i filmów pokazujących, jak może wyglądać, gdy będzie starsze. Jeśli masz ochotę, możesz nawet zobaczyć, jak będzie wyglądało w wieku osiemdziesięciu lat. Myślę, że ja się na to zdecyduję.

Evie mówiła falami. Na przemian paplała, pełna pomysłów, albo milczała, jakby wypowiedzenie czegokolwiek było dla niej zbyt wielkim wysiłkiem.

Bez różu jej twarz była blada, usta suche i spękane. Próbowałam odsunąć od siebie myśl, że niemal jej nie poznaję. Choć chciałam podchwycić jej spojrzenie, trudno mi było na nią patrzeć.

Przeszliśmy obok wielkiego dębu rosnącego pośrodku parku i po raz piąty obeszliśmy go dookoła, a potem ruszyliśmy jedną ze ścieżek, która koniec końców znów miała nas do niego doprowadzić.

– Pojechałaś znów do biblioteki? – spytałam. – Może tam ktoś mógłby ci pomóc?

Stanowczo pokręciła głową.

– A co na to wszystko Seb?

Evie wybuchnęła głośnym śmiechem, który przypominał krzyk hieny, ale jak nagle zaczęła, tak równie nagle umilkła.

– Seb – powiedziała powoli. Dla niej był na drugim planie. Znów zaśmiała się gardłowo, ostro. – Seb chce, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

– Cóż, może w swoim czasie...

– Kit, nie. Tylko nie ty. Dla niego to wygląda zupełnie inaczej. Po prostu nie da się tego porównać.

Zanim Evie urodziła Jakoba, niemal zawsze miała się na bacności i rzadko kiedy wspominała o tym, jak bardzo odmiennie przebiegał proces indukcji dla niej i dla Seba.

– On nie ma pojęcia, jak to naprawdę było. Przechodzić przez to tyle razy. W pewnym momencie byłam przekonana, że moje ciało przestaje normalnie funkcjonować, że już nie dojdę do siebie, nie wspominając nawet o urodzeniu

dziecka. Ale nie to było najgorsze. To nie on musiał zrezygnować z każdej części siebie. Nie musiał tego w sobie nosić.

– Masz na myśli... Jakoba?

– Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, że to zupełnie coś innego. On nie musiał dźwigać ciężaru odpowiedzialności. To zawsze spadało na mnie. Ciągle czułam się tak, jakbym to ja musiała wszystko naprawić. To ja byłam oceniana. Nawet przy tym pierwszym ostrzeżeniu, które dostaliśmy, pamiętasz? Seb go wtedy trzymał, ale ja nie zareagowałam. To była moja wina.

Gdy tak szybko mówiła, trochę przyspieszyła korku, a pod koniec zdania główno wciągnęła powietrze, jakby dopiero wtedy sobie przypomniała, że musi oddychać.

– Naprawdę tak się czułaś?

– Tak, zdecydowanie. Koniec końców odpowiedzialność zawsze spada na matkę. Zawsze to rozumiałaś. Inaczej nie zdecydowałabyś się zostać niewidzialną, prawda?

Zmagałam się z odpowiedzią. Zastanawiałam się, czy naprawdę zdawałam sobie z tego sprawę. A może, tak jak wszyscy, zostałam nauczona, żeby pogodzić się z tym, że to matka bierze na siebie pełną odpowiedzialność.

– Wiesz, jakie to wszystko jest absurdalne – ciągnęła Evie. – I podjęłaś słuszną decyzję. Szkoda, że ja się na to nie zdecydowałam.

– Nieprawda. Gdyby tak było, nigdy nie miałabyś Jakoba.

Evie tak mocno zagryzła wargę, że ta zupełnie straciła kolor. Mruknęła pod nosem, powtarzając moje słowa.

– Nigdy nie miałabym Jakoba. Nigdy nie miałabym Jakoba.

Gdy znów się odezwała, mówiła jakby przez filtr. Jakby to nie był jej głos, tylko odtwarzany plik dźwiękowy:

– Przysłali nam pismo, że możemy spróbować jeszcze raz. Może Seb nie poruszyłby tego tematu, gdybyśmy go nie dostali. Piszą w nim, że ekstrakcje pierwszego dziecka zdarzają się często, ale pomagają uniknąć ekstrakcji w przyszłości. Gdybyśmy znów spróbowali w ciągu następnych dwóch miesięcy, przyznaliby nam większy kredyt mieszkaniowy.

Lekko pokręciłam głową.

Dotarliśmy do tego punktu, w którym ścieżka się rozwidlała.

– Czy... – Ledwie ośmielałam się pomyśleć te słowa, a co dopiero je wypowiedzieć. Ale w końcu się przemogłam. – Czy istnieje jakiś sposób, by odzyskać Jakoba? Kiedy zabrali Cię, trochę się tym zajmowałam, ale nic na ten temat nie mogłam znaleźć. Sprawdzałaś to?

Nie powiedziałam Evie, że przeczesywałam wszystkie materiały o Jonahu, by dowiedzieć się, czy istniało coś jeszcze, co wiązało go z BSR. Wciąż wracałam do rozmowy telefonicznej z nagraniem wideo, na którym przeglądał dokumenty z ich logo, ale nie udało mi się uzyskać dostępu do tego materiału.

Nie miałam na to żadnego dowodu, ale byłam przekonana, że jest w jakiś sposób z nimi związany. Może więc BSR nie jest tak całkiem poza zasięgiem? Zrobiłabym wszystko, żeby pomóc Evie i Sebowi. Jeśli mogłabym w jakikolwiek sposób odzyskać Jakoba, nie wahałabym się.

Pierwszy wnuk Jonaha, dziecko Genevieve z XC, był w trakcie inkubacji. Nic na ten temat nie słyszałam od czasu tamtej pierwszej rozmowy, ale nagle to ogłosili. Zakopałam się w filmach i rozmowach telefonicznych, z których można było wywnioskować, jak to przebiega, poznać wszystkie szczegóły rozwoju płodu. Po prawie półrocznej terapii genowej powstał embrion. Wprowadziłam te informacje do dokumentu życia Jonaha. Pod koniec takich sesji łąpałam się na tym, że moja twarz była mokra od łez.

– Teraz muszę pobyć sama – oświadczyła Evie. Jej twarz stężała, głos stał się nijaki.

– Chcesz wracać do domu? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała szybko. – Zostanę tu jeszcze jakiś czas.

– Evie, nie chciałam cię zdenerwować.

Znów się zaśmiała.

– Przykro mi, Kit. Czasy, gdy można mnie było zdenerwować, dawno minęły. Nie chodzi o ciebie. Po prostu chcę... pobyć sama.

– Dobrze – powiedziałam. Wsunęłam ręce do kieszeni i zaczęłam się oddalać, ale wtedy znów usłyszałam jej głos. Zatrzymałam się.

– Wiesz, tuż po tym, jak się urodził, było mi naprawdę ciężko. Nikomu nie mogłam o tym powiedzieć. Ani Sebowi, ani nawet tobie. Nie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, żeby go mieć. To się wydawało absurdalne. Przekonać się, że nie chcesz czegoś, czego chciałaś od tylu lat i na co tak ciężko pracowałaś.

Gdzie w tym sens? Jakob tak bardzo mnie potrzebował. To mnie chyba przerażało. To uczucie, że życie już nigdy nie będzie takie samo, że już nigdy nie będę sama, nie tak naprawdę. Bo on zawsze będzie mnie potrzebować, może mnie potrzebować w każdej chwili. Zaczęłam się zastanawiać, jak to było wcześniej, zanim się urodził. I był taki krótki czas, kiedy mi się wydawało, że chciałabym odzyskać tę wolność. Bez Jakoba, a nawet bez Seba. Być po prostu sobą i nie musieć się martwić o nikogo innego. Brzmi to, jakbym była straszna egoistką, prawda? Pewnie się zastanawiasz, jak mogłam czegoś takiego chcieć, ale tak było, Kit. Były takie chwile, kiedy żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu. Oczywiście byłam bardzo szczęśliwa, że mam Jakoba, ale mroczne chwile też się zdarzały. Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, czy sobie z tym poradzę. Tęskniłam za wolnością, którą miałam wcześniej, wolnością, z której aż do tamtej chwili nawet nie zdawałam sobie sprawy. A teraz spójrz na mnie... Nie mam Jakoba. Wkrótce Seba pewnie też nie będzie. Zostanę sama. Dokładnie tak, jak tego chciałam.

T E R A Z

Podbiegam do Mimi, ale nie jestem w stanie być przy niej dostatecznie szybko.

Jej ciałem wstrząsają konwulsje. Wymiociny rozbryzgują się na białym dywanie, tworząc wielką plamę.

– Oj, kochanie, kochanie – mówię do niej śpiewnie i głaszczę ją po plecach. Uderza mnie, jak bezużyteczne są moje słowa, gdy każdy kolejny odruch wymiotny wstrząsa jej ciałem.

Na chwilę podnosi powieki i patrzy na mnie zdumiona.

„Co się stało?” – zdają się pytać jej oczy.

Kołyszę ją, a ona wtula się we mnie. Jest wiotka, może trochę rozpalona. Ujmuję w dłonie jej główkę i wpatruję się w nią. Kładę rękę na jej czole. Mimi dosłownie leci mi przez ręce, jakby znów była noworodkiem i nie miała kontroli nad ciałem.

Patrząc nad jej ramieniem, przyglądam się wymiocinom. Kremowo-pomarańczowe gąbczaste grudki przypominają abstrakcyjny wzór na białym dywanie.

Potem Mimi się szarpie i zanim zdążę ją odsunąć, znowu wymiotuje. Wszystko to przesiąka przez mój płaszcz, sweter Evie, moją piżamę. Jest zaskakująco ciepłe, a smród zapiera mi dech.

– Och, malutka – mówię bez sensu. Nie potrafię nic poradzić na to, że do mojego głosu wkrada się ton przerażenia, i usiłuję go ukryć. – Już dobrze, dobrze – powtarzam. – Od czego się tak rozchorowałaś, kochanie?

Znów myślę o lekach, które jej podali. Tak bardzo się śpieszyłam, by stamtąd odjechać, że nie spytałam o ich nazwę czy skutki uboczne. A może złapała coś od jednego z dzieci, z którymi była? Może któreś z nich było po prostu chore.

Mimi pręży się i znów wymiotuje.

W T E D Y

Gdy zbliżałam się do domu Evie i Seba, ogarnęło mnie gwałtowne uczucie przypominające mdłości.

Nie byłam u nich od tamtej nocy, kiedy zabrali Jakoba. Trudno uwierzyć, że minęły już prawie dwa miesiące.

Dotarło to do mnie dopiero, gdy podchodziłam do czerwonych drzwi ich domu. Moje dłonie bezwolnie zacisnęły się w pięści, a oddech stał się płytki. Nie byłam pewna, czy uda mi się zapanować nad mdłościami. Przelknęłam głośno ślinę, świadoma wszystkiego, co działo się z moim ciałem; potu gromadzącego się na górnej wardze, dziwnego napięcia ramion, czegoś lepkiego w żołądku.

Zwykle spotykałam się z Evie w parku, rozmawialiśmy przez pracosfery albo to ona przychodziła do nas. Ale gdy od kilku dni się nie odzywała i przestała odpowiadać na moje wiadomości, wyruszyłam do jej domu, próbując nie myśleć o tym, jak wybrałam się do mieszkania taty, gdy ten przestał odbierać telefony.

Ranek spędziłam na przeglądaniu kolejnych materiałów do dokumentu życia Jonaha. Dziecko Genevieve było w ostatnich tygodniach rozwoju płodowego. Okres ten w przypadku dzieci z XC miał zupełnie inny przebieg niż u tych, które rozwijały się w macicy. Trwał dłużej niż czterdzieści dwa tygodnie, ponieważ nie trzeba było brać pod uwagę porodu ani degeneracji łożyska, a więc dzieci z XC rodziły się z lepiej wykształconymi narządami. Okres inkubacji można było dostosować do indywidualnych potrzeb rozwoju płodowego. Dziecko Genevieve było teraz w czterdziestym piątym tygodniu. Im więcej o tym pisałam, tym więcej myślałam o Evie.

Dotarwszy do frontowych drzwi, wyciągnęłam rękę, by się oprzeć, ale gdy tylko dotknęłam czerwonej farby, cofnęłam dłoń jak oparzona. Nagle powróciło wspomnienie dobijających się do domu funkcjonariuszy BSR.

Czekałam tak i próbowałam się uspokoić. Z miejsca, w którym stałam, mogłam zajrzeć do salonu – Evie nie opuściła żaluzji. Widziałam rzeczy Jakoba wciąż leżące na podłodze: jego bujany fotelik, zabawki, matę do zabawy na środku dywanu. Wszystko było na swoim miejscu i czekało w bezruchu, muzeum bez zwiedzających, biblioteka bez czytelników. Brakowało tylko dziecka, dla którego to wszystko się tam znalazło.

Delikatnie zapukałam do drzwi, a gdy nikt się nie zjawił, zrobiłam to bardziej zdecydowanie. Gdy mimo to nie doczekałam się żadnej reakcji, schyliłam się i zawołałam przez otwór do wrzucania poczty. Dom wydawał się pusty, a pozostawione rzeczy – niemal szare. Widać było, że nie ruszano ich od jakiegoś czasu.

Ale potem usłyszałam, że ktoś chodzi na górze, szurając nogami. Zawołałam jeszcze raz, głośniej. Miałam wrażenie, jakby mój głos był zdolny przewracać przedmioty.

W końcu za szybą w drzwiach pojawił się cień. Otworzyły się.

Evie wyglądała tak, jakby przez całą noc się nie kładła albo jakby jeszcze nie wstała. Była ubrana w niepasujące do siebie części garderoby – miała na sobie koszulkę na ramiączkach, marynarkę, w której kiedyś chodziła do pracy, na ramiona zarzuciła szal, a podniszczone spodnie od piżamy luźno zwisały na jej chudych nogach.

Nie odezwała się, tylko ruszyła do kuchni. Miałam wrażenie, że chodzenie jest dla niej wysiłkiem. Od czasu do czasu ciężko wdychała, jakby coś sobie przypominając.

– Co się dzieje? – spytałam. – Gdzie Seb?

– Odszedł – odparła, nalewając wody do czajnika. Potrzebowała kilku prób, żeby odstawić go na podstawkę i jakby ten wysiłek ją wykończył, nie włączyła go, tylko stała dalej, opierając się o blat. Naciągnęła rękawy marynarki na nadgarstki, a potem aż do knykci.

– Na dobre? – spytałam.

– Na dobre. Zostawił mnie. – Nagle dotknęła ręką głowy i skrzywiła się, jakby dotknęła bólowego miejsca albo sobie o nim przypomniała.

– Boli cię głowa? – spytałam.

– Nie – warknęła.

Złapałam ją i wzięłam w ramiona. Pozostała sztywna i obojętna w moim uścisku.

– Przykro mi – szepnęłam w jej włosy. Miały nieświeży, drożdżowy zapach. – Szkoda, że... nic nie mogę zrobić.

– Nie mów, że ci przykro. – Evie wyszarpnęła się z moich objęć. – Nie masz za co przepraszać. Nie powinnaś przepraszać za coś, co nie ma z tobą nic wspólnego.

– Zmarzłaś – powiedziałam, próbując zignorować ostry jak sztylet gniew w jej głosie. – Napijmy się herbaty, to cię rozgrzeje. Nastawię wodę.

– Zostaw to – warknęła ostro. – Zrobię herbatę, jeśli chcesz. To mój dom.

Nacisnęła przycisk czajnika. Zaczął wibrować na podstawce, z dziubką uniosła się para. Nie wykonała żadnego ruchu, by poszukać kubków, wyciągnąć torebki herbaty z szafki. Ja też oparłam się o blat, niczym jej lustrzane odbicie. Stałyśmy tak w milczeniu.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała porozmawiać... – zaczęłam i wypowiadając te słowa, sprawiłam, że coś w niej pękło. Odsunęła się od blatu, zakłócając naszą symetrię i pobiegła po schodach na górę.

Stałam tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy powinnam za nią iść, czy wracać do domu, ale zanim podjęłam decyzję, wróciła. Przesuwając ręką po swojej pracosferze, otworzyła kilka dokumentów, zamknęła reklamę i wyświetliła ekran przelewu.

– Przyszły pieniądze taty – powiedziała. – Przeleję ci twoją część.

Jej bezosobowy, rzeczowy ton mnie zaskoczył. Zawahałam się, próbowałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. Jak mogła mnie nie poinformować, że sprzedała jego mieszkanie? Że pozamykała wszystkie jego sprawy? Czyli teraz, koniec końców, została tylko suma? Evie się trzęsła, była błada. Jakby coś się w niej kotłowało, próbowało się wydostać na powierzchnię.

– Nie mogę przestać myśleć o mamie i tacie... – wyrzuciła z siebie, ale szybko ugryzła się w język.

– Co z nimi? – spytałam łagodnie.

– Nic... Tylko jak tata musiał się czuć... po tym, jak Maia i mama umarły – powiedziała z roztargnieniem.

– Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. Stracić je jedną po drugiej.

Evie mruknęła coś pod nosem.

– Co mówiłaś?

Odwróciła się w moją stronę.

– Postanowiłam na kilka dni wyjechać. Sama. Potrzebuję trochę czasu tylko ze sobą.

– Dokąd pojedziesz?

Wykonując zamaszysty gest na ekranie, przesłała mi pieniądze.

– Jeszcze nie jestem pewna – odparła. – Po prostu muszę się stąd wyrwać. Choćby do innej dzielnicy. Choćby na chwilę. Przepracować parę rzeczy... Muszę się szykować do wyjazdu.

– Cóż, w takim razie daj znać, kiedy wrócisz. Albo podczas nieobecności, jeśli będziesz chciała porozmawiać... o czymkolwiek.

Odwróciłam się do wyjścia. Zanim dotarłam do drzwi, byłam bliska tego, by przystanąć, zawrócić, ale większa część mnie cieszyła się, że Evie dała mi okazję do ucieczki.

T E R A Z

Jeśli Evie wróci teraz do domu, mogę zapomnieć o szybkiej ucieczce.

Zanoszę Mimi do łazienki obok sypialni Evie i w poplamionych ciuszkach wkładam ją do wanny. Dopiero tam zdejmuję górę jej ubranka, żeby zobaczyć, jak bardzo się ubrudziła. Ma wymiociny na spodenkach od piżamy, na bucikach, na wszystkim.

Próbuję to zbagatelizować.

– Pora się umyć – mówię zachęcająco, jakby to nie było nic wielkiego, żaden problem.

Kilka razy staram się wyregulować temperaturę i ciśnienie wody, ale ta tryska zbyt mocno, najpierw za zimna, potem za gorąca. Krzyk Mimi zgrywa się z uderzeniami wody o nieskazitelnie białą emalię.

Pozwala się myć, ale widzę, że szybko się męczy. Gdy zakręcam wodę, natychmiast zaczyna płakać. Nigdy nie lubiła końca kąpieli, odczucia zimnego podmuchu na mokrej skórze.

Sięgam po gruby ręcznik z wieszaka i owijam nim Mimi. Jest tak ogromny, że mała zupełnie w nim ginie. W tej chwili jestem wdzięczna Evie, że zostawiła go tutaj. Cieszę się jak głupia, że kupiła drogi ręcznik, na tyle wielki i miękki, by pocieszał moją córeczkę, kiedy płacze.

– Tak lepiej, prawda? – mówię, wycierając jej włosy, i przytulam ją do siebie.

W chwili, gdy myślę, że najgorsze mamy już za sobą, Mimi znów wymiotuje. To było chyba nieuniknione. Treść jej żołądka ścieka mi po ramieniu i dalej na plecy.

– Ojej, ojej – gadam jak papuga. – Mamusia chyba też powinna się umyć.

Widzę w lustrze, że wymiociny przywarły do mojego płaszcza. Jestem zaskoczona, że jest tego aż tyle, bo wymiotowała już przecież trzy razy. Tym

razem to zielonkawa żółć.

– Już po wszystkim – mówię jej. – Teraz poczujesz się lepiej.

Chyba próbuję przekonać samą siebie.

W T E D Y

Santa uparła się, że będzie rzucać konfetti, które spadając, muskało nas jak jesienne liście.

Thomas i ja pobraliśmy się. To była skromna ceremonia z zaledwie garstką gości. Jakaś część mnie zastanawiała się, czy nie powinniśmy poczekać albo w ogóle nikomu o tym nie mówić. Wydawało się, że nie był to właściwy czas dla tych, których najbardziej kochaliśmy.

Ani dla Evie, która powiedziała, że przyjdzie, ale potem zostawiła wiadomość, że nie uda jej się dotrzeć z powodu jakiegoś nagłego wypadku, którego szczegółów nie podała.

Ani dla Santy, matki Thomasa, która niedawno przeszła operację kolana i dopiero co wyszła ze szpitala. Tego dnia kuśtykała, ale nie pozwoliła, by zepsuło jej to nastrój.

Zaczynaliśmy rozmowy od słów: „gdybyśmy mieli się pobrać, to...”, i powoli, niemal niepostrzeżenie zaczęliśmy snuć plany, które nabierały coraz więcej szczegółów. Pomysł, by nie brać ślubu wcale, mi nie przeszkadzał, ale ten, by nie brać ślubu z Thomasem, już tak. Gdyby zwyczaj nakazywał wspiąć się na szczyt najwyższego budynku i wykrzyknąć to do przechodniów w dole, właśnie tak byśmy zrobili. Zadowoliliśmy się jednak zwykłą ceremonią, dwiema obrączkami i świstkiem papieru.

W dniu ślubu obudziłam się z uśmiechem na twarzy. Obyło się bez tradycyjnych rytuałów i natychmiast przewróciłam się na drugi bok, żeby obudzić śpiącego obok mnie Thomasa. Oplotłam go swoim ciałem i trzymałam tak, dopóki się nie obudził.

– Dziś bierzemy ślub – powiedziałam głośno, jakbym sprawdzała, jak zabrzmi to w moich ustach. – Ty i ja. Ślub.

Thomas mruknął coś niezrozumiale w poduszkę, ale zaraz poderwał głowę i odwrócił się w moją stronę.

– To prawda – powiedział. – Dziś bierzemy ślub. Rozmyślaś się? – spytał, unosząc brwi.

– Chcę to zrobić – odparłam ostrożnie, zastanawiając się nad każdym słowem.

Gdyby nie telefon od Santy, która powiedziała, że jest już w drodze, i spytała, czy nie chcielibyśmy się z nią wcześniej spotkać na miejscu, pewnie byśmy tak leżeli aż do ostatniej chwili.

Wzięliśmy prysznic i ubraliśmy się, jakby to był dzień jak każdy inny. Włożyłam tę samą sukienkę, którą miałam na sobie na ceremonii nadania imienia Jakobowi, w dniu, w którym się poznaliśmy. Thomas włożył swoją ulubioną koszulę i byliśmy gotowi.

Santa miała na sobie piękną złoto-pomarańczową suknię z przerzuconym przez ramię jaskrawoturkusowym szalem mieniącym się jak pawie pióra. Czekala na nas w kawiarni w galerii sztuki znajdującej się blisko ratusza.

– Witaj, kochanie – powiedziała do Thomasa, całując go, a potem ujmując za ramiona, jakby chciała się upewnić, czy to na pewno on. – I ty, kochanie, witaj – odwróciła się i uściskała mnie. Gdy poczułam słodką, odurzającą woń jej magnoliowych perfum, uświadomiłam sobie, że pod nimi i zapachem świeżo umytych włosów wyczuwam też coś z Thomasa, te same podstawowe nuty.

– Gotowi wziąć ślub? – spytała z szelmowskim uśmiechem.

Przytaknęliśmy i odwzajemniliśmy uśmiech.

Czekając na swoją kolej, popijaliśmy kawę, a potem Santa uparła się, że powinniśmy się napić czegoś mocniejszego, i zdecydowaliśmy się na trzy cierpkie pomarańczowe bellini, pasujące kolorem do sukni Santy.

– To dobrze. Jeśli się obleję, nikt tego nie zauważy – powiedziała wesoło, sięgając po kieliszek. – Jestem taka... zorganizowana.

Poznałam Santę, gdy wybraliśmy się do niej w weekend na lunch. Mieszkała w tej samej dzielnicy co Thomas, w jednym z większych bloków niedaleko rzeki.

Czułam się dziwnie podenerwowana. Martwiłam się, że się spóźnimy, choć Thomas zapewniał mnie, że to nie będzie żaden problem.

– Kochanie! – usłyszałam jej głos, gdy tylko zapukaliśmy. Drzwi szybko się otworzyły i Santa, mała, choć wielka, wyciągnęła rękę do Thomasa. – Kit! –

zawołała zaraz potem i uśmiechnęła się do mnie ciepło. – Jak miło się poznać.

Jedliśmy przez wiele godzin przy niskim stoliku ustawionym pośrodku salonu. Wszędzie wokół nas piętrzyły się obrazy Santy: oparte o ściany, ustawione w szeregu przy szafce, a na podłodze pozostała tylko wąska ścieżka, pozwalająca obejść pokój wkoło.

– To tylko moje próby – powiedziała, machając ręką w stronę płócien pełnych tych samych intensywnych kolorów, które lubił Thomas. Tyle tylko że te tutaj nie przedstawiały twarzy, lecz abstrakcyjne kształty i uczucia.

Santa bez końca podawała nam różne dania w małych miseczkach. Humus posypany prażonymi piniolami, pierożki z fetą i szpinakiem, z ekstrawagancko pofalowanymi krawędziami, małe kawałeczki bakławy i ciemnoczerwone, lśniące czereśnie.

Kiedy wyszliśmy, byłam oszołomiona wszystkim, co przeżyłam. Nie tylko jedzeniem czy mieszkaniem, ale też samą Santą.

– Tak działa na ludzi – powiedział Thomas, gdy szliśmy do domu, a ja próbowałam ująć to w słowa.

– Jest cudowna.

– Jest wyjątkową osobą. Kiedy wyprowadziłem się z domu, dotarło do mnie, że ludzie potrafią się cieszyć. A mama mimo wszystkiego, co jej się przytrafiło, zaciekle broni tej swojej cechy. Lubi swoje życie. To dla niej podstawa. To dobre podejście.

– Chodzi ci o to, że twój tata odszedł? – spytałam łagodnie.

– Tak. To, że odszedł, było dla niej ciężkim ciosem. A jej siostra Cecelia umarła w wieku dwudziestu kilku lat. Były sobie bardzo bliskie. Cecelia miała raka. To się stało nagle. – Thomas wziął głęboki wdech, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale wyszło z tego tylko westchnienie.

– Twoja mama zawsze malowała?

– Maluje, odkąd sięgam pamięcią. Zaczęła młodo, ale potem rzuciła to na jakiś czas, chyba po śmierci Cecelii. A potem, no cóż, jakoś się to potoczyło.

W prezencie ślubnym Santa oczywiście podarowała nam obraz. Wyglądał jak brat lub siostra jednego z tych, które tamtego dnia stały przy szafce. Sprawiał, że czułam coś w rodzaju jedności, czy może miłości.

Nasza krótka ceremonia ślubna skończyła się równie szybko, jak się zaczęła, a potem nastąpiło to, co najważniejsze. Zarezerwowaliśmy stół w restauracji tapas na obiad i we troje siedzieliśmy, jedliśmy i piliśmy, dopóki za oknami nie zrobiło się ciemno.

Myślałam oczywiście o tacie i o Evie. Choć nie przypuszczałam, że nadejdzie taki dzień, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jeśli jednak się wydarzy, nie będzie ich przy mnie. Choć żałowałam, że Evie nie mogła się zjawić, jakaś część mnie pamiętała, jak zachowywała się, gdy widziałam ją po raz ostatni – jak raniące były jej słowa, jak chłodno i obojętnie mnie potraktowała. Absurdalna, egoistyczna część mnie domagała się siostry. Siostry, którą miałam kiedyś.

– Nie zamierzam wygłaszać żadnych przemówień – powiedziała mi Santa, gdy Thomas akurat składał zamówienie. Jej policzki zaróżowiły się lekko od wina i czułam woń alkoholu w jej oddechu. – Ale chcę ci coś powiedzieć. Ty i Thomas jesteście szczęśliwi razem i osobno. To dobrze, bardzo dobrze. A z jego ojcem było tak, że jeśli nie byliśmy razem, czułam, że to koniec świata. To było zbyt wiele, mogło się skończyć tylko źle. Nie powinno tak być. Coś takiego sprawia, że samemu nie jest się szczęśliwym. Ale patrzę na swojego syna, patrzę na ciebie i widzę, że potraficie być szczęśliwi zarówno razem, jak i osobno. To bardzo dobrze.

Ścisnęła moje policzki, jakby jej słowa nie mogły wszystkiego wyrazić, a potem zachwycona zwróciła się do Thomasa i spytała, czy zamówił sherry.

Gdy przed każdym z nas stał mały naparstek schłodzonego sherry, powtórzyła:

– Nie zamierzam wygłaszać żadnych przemówień, ale chciałabym wnieść toast za Kit i Thomasa, którzy się kochają.

W tamtej chwili uwierzyliśmy w kłamstwo, w które wierzyło tak wielu przed nami. Nie żeby przez to stało się mniej realne, prawdziwe czy dodające otuchy.

Uwierzyliśmy, że nic nie może zniszczyć naszego szczęścia, że jesteśmy panami swojego małego świata.

Thomas spojrzał mi w oczy i wychyliliśmy kieliszki.

T E R A Z

Próbuję podać Mimi trochę wody, ale nie chce upić nawet łyka. Sennie zwisa na moim ramieniu i nie podnosi główki.

– Malutka, obudź się. Proszę, spróbuj się trochę napić – mówię. W moim głosie słychać desperację, ale to jej nie rozbudza.

– Mimi? Mimi?

Słyszę chrzęst żwiru na podjeździe.

W T E D Y

Wkrótce po naszym ślubie Evie zaprosiła nas do swojego domu.

Można było odnieść wrażenie, że to jakieś zebranie rodzinne, a może przeprosiny lub próba wyjaśnienia tego, co zaszło między nami. Nie widziałyśmy się od dnia, gdy przelała mi pieniądze z majątku taty. Napisałam do niej o naszym nagłym, niespodziewanym ślubie. Wiadomości, które mi zostawiła – że się zjawi, a potem że nie będzie mogła przyjechać – były krótkie, zdawkowe.

Choć było wiele spraw, o których chciałam z nią porozmawiać, dzień, w którym wybraliśmy się, żeby ją odwiedzić, stworzył między nami kolejną przepaść. Choć dziwiłam się, że nie było jej na naszym ślubie, rozumiałam ją i nie miało to żadnego znaczenia. Żałowałam jedynie, że nie spędziłyśmy tego dnia razem.

Przez zniekształcone szkło zobaczyłam sylwetkę zbliżającej się Evie. Miała na sobie coś intensywnie zielonego, niemal szmaragdowego.

Kiedy otworzyła drzwi, na jej czerwonych ustach malował się radosny uśmiech. Wydawała się zupełnie inną osobą niż ta, która ostatnio mnie przywitała.

– Wejdźcie, wejdźcie – powiedziała.

– Przepraszamy za spóźnienie...

Zbyła moje przeprosiny machnięciem ręki, jakby odganiała muchę.

– Mniejsza z tym. To wspaniale, że oboje tu jesteście. Jest ktoś, kto bardzo chciałby się z wami zobaczyć.

Znów się uśmiechnęła i wygładziła sukienkę, która podkreślała jej talię i rozszerzała się ku dołowi.

Przeszliśmy za nią do kuchni.

– Patrzcie, kto tu jest! – zawołała.

A potem stuk plastiku o plastik.

Pomruki i gaworzenie.

Jakob siedzący w wysokim krzeselku, jakby nigdy go nie opuszczał.

T E R A Z

Wyglądam przez okno i dostrzegam sylwetkę dziecka siedzącego na tylnym siedzeniu.

Na chwilę zamieram. Mam ochotę uciekać, biec, ale podchodzę do frontowych drzwi z Mimi wciąż na rękach.

Silnik gaśnie. Jakaś część mnie wrzeszczy, tupie nogami.

„Uciekaj. Zniknij. Wciąż masz czas”.

Drzwi samochodu otwierają się i niemal bezgłośnie zamykają. Potem drugie. To ten sam dźwięk: szelest i głuchy odgłos, otwieranie i zamykanie. Teraz słyszę kroki na podjeździe. Słyszę młody głos, ale nie potrafię rozróżnić słów, tylko wysokie i niskie tony. A potem Evie mu odpowiada. Słyszę jej śmiech.

Potem kroki ustają. Powinni iść dalej i otworzyć drzwi, ale jest tylko cisza.

Zobaczyła stłuczoną szybę. Myśli, że ktoś może być w domu. Zastanawiam się szybko, co zrobi. Wezwie pomoc, wróci do samochodu, nie zobaczę się z nią. Tego właśnie chciałam: żeby mnie nie zobaczyła. Ale teraz, z chorą Mimi, potrzebuję jej. Potrzebuję pomocy.

Podbiegam do frontowych drzwi i próbuję je otworzyć, ale są oczywiście zamknięte na klucz. Z pojękującą Mimi na rękach pędzę najszybciej, jak potrafię, do wybitej w oknie dziury i krzyczę do Evie:

– To ja! Evie, to ja, to ja!

Przez dziurę trudniej jest wyjść niż dostać się do środka. Ostrożnie stąпам obok odłamków szkła; patrzę, gdzie stawiam nogi, i wtedy wyczuwam, że są przede mną, że mnie zobaczyli.

Evie otworzyła usta, w jednej ręce trzyma mobilną sferę, a w drugiej dłoń mojego siostrzeńca.

W T E D Y

– Jakob! – zawołałam, zanim się zorientowałam, co mówię.

Nie podniósł głowy, by na mnie spojrzeć, tylko dalej ścigał ryżowy wafelek po białym plastikowym blacie swojego krzeselka.

Zerknęłam na Thomasa. Wyglądał na oszołomionego i przypuszczałam, że ze mną było podobnie. Podszedł do Jakoba i podniósł ryżowy wafelek, tak że chłopiec mógł wyciągnąć rączkę i sięgnąć po niego. Chwytał go dłonią przypominającą pulchną rozgwiazdę i z namysłem zaczął ssać.

Śledziliśmy z Thomasem każdy jego ruch, niczym jakiś cud.

Evie roześmiała się, patrząc z zachwytem na swojego synka i nasze głupawe miny.

– Niespodzianka! – zawołała. Jej szminka miała trochę zbyt jaskrawy odcień i rozmazała się w kąciku ust. – Uwierzyście w to?

Pochyliła się nad jego główką i wciągnęła powietrze.

– To naprawdę on – powiedziałam. Był większy i poruszał się pewniej, ale to był ten sam Jakob.

Wyciągnęłam do niego rękę, a on, śledząc ruch mojej dłoni, wyciągnął paluszki w moją stronę. Gdy pochylił się do przodu, krótki rękawek jego ubranka przesunął się i zobaczyłam opaskę BSR na nadgarstku.

Evie zauważyła, że to dostrzegłam, i uśmiechnęła się do mnie sztywno. Widząc napięcie na jej twarzy, powstrzymałam się przed wypytywaniem o więcej.

– Kiedy wrócił? – spytałam.

– Przedwczoraj – odparła. Delikatnie przeczesła mu palcami włosy.

Ona również miała na nadgarstku opaskę BSR. Przez chwilę się nią bawiła, a potem podsunęła ją wyżej, jakby się bała, że może ją zgubić.

– Co się stało? – spytał w końcu Thomas, gdy już przez jakiś czas spoglądaliśmy bez słowa to na dziecko, to na siebie nawzajem, to na Evie i znów na chłopczyka.

– Cóż – Evie zaczęła rwać liście sałaty i wrzucać je do miski – pamiętasz, jak mówiłaś, żebym się dowiedziała, czy istnieją jakieś procedury, by odzyskać Jakoba? Nie chciałam cię wtedy słuchać, ale miałaś rację. Są takie zajęcia, na które można się zapisać. Zrobiłam kurs, musiałam przejść kilka testów i cóż... zdałam.

Thomas podchwycił moje spojrzenie. Jego twarz wyrażała bolesne niedowierzanie. Moja siostra odłamała żółty środek główki sałaty i wrzuciła cieniutkie listki do miski.

– To... – zaczął Thomas.

Weszłam mu w słowo, nim zdołał dokończyć:

– Cudownie! – zawołałam. – To cudownie.

Bałam się, że chciał powiedzieć, że zbyt łatwo jej się to udało. Bo faktycznie tak było. Po tym wszystkim, przez co Evie i Seb przeszli, żeby mieć Jakoba, i po traumie, gdy go stracili, czy naprawdę tak łatwo było go odzyskać?

– A Seb? – spytałam szybko.

– Jeszcze go nie widział. – Evie zaczęła kroić paprykę na cienkie paseczki. Przyspieszyła, gdy zaczęła się zbliżać do końca. – Ale oczywiście się z nim zobaczy. Bez względu na to, co między nami zaszło, wciąż jest ojcem Jakoba. – Dorzuciła paprykę do sałatki, odstawiła miskę na stół tak gwałtownie, że jej zawartość aż podskoczyła.

– To wspomniała wiadomość – powiedziałam. Uściskałam ją, a ona pozwoliła mi przez chwilę trzymać się w objęciach. Potem Jakob zaczął coś gaworzyć i uklęknął przy nim, wpatrując się w jego twarz.

– Czyli BSR znormalniało? – spytał Thomas. – Pozwalają ludziom zacząć jeszcze raz?

– Thomas – rzuciłam ostrzegawczo, kręcąc głową. Nie chciałam rozmawiać o BSR.

– Wciąż będą przeprowadzać regularne kontrole – odparła Evie. – Ale ten kurs i egzaminy, które zdałam, dużo dają. – Wydawała się tym wszystkim nie przejmować.

– Jak się nazywał? – zapytał Thomas.

– To był jakiś skrót – odparła Evie. – Nie pamiętam dokładnie.

– To po prostu cudownie. Nie mogę w to uwierzyć. Powinniśmy napić się szampana – oświadczyłam. Spojrzałam na Thomasa, nakazując mu bez słów, żeby już o nic nie dopytywał.

– Tak! – zawołała Evie. Otworzyła lodówkę i wyjęła zieloną butelkę. – Powinniśmy. I musimy też oblać wasz ślub. Przepraszam, że mnie nie było. To przez ten kurs. Na pewno rozumiecie, dlaczego nie mogłam się zjawić.

– Nie przejmuj się tym – powiedziałam. – Najważniejsze, że Jakob wrócił.

Pochyliłam się i pocałowałam go w główkę. Podobnie jak Evie, przyciągał mnie zapach na czubku jego głowy. Wciągnęłam go w płuca i przez chwilę nie chciałam wypuścić, pragnęłam zatrzymać go w sobie.

Podczas kolacji naszą uwagę przyciągał każdy ruch Jakoba, każdy dźwięk, jaki wydawał. Wciąż odciągał nas od jedzenia, wciąż o nim rozmawialiśmy. Pod koniec posiłku wyglądał na zmęczonego byciem w centrum uwagi.

– Powiedzieli ci coś o kompleksie, w którym trzymali Jakoba? – spytał Thomas przy kolacji.

Evie zmarszczyła czoło.

– Nie, nie ujawniają takich rzeczy.

– Kiedy się dowiedziałaś? – dopytywał dalej Thomas. – Ile musiałaś czekać po skończeniu kursu, żeby się dowiedzieć, czy go odzyskasz?

– Niedługo – odparła niejasno Evie, nie odrywając wzroku od Jakoba.

– To genialne, że istnieje taki kurs – ciągnął Thomas. – Nigdy dotąd o nim nie słyszałam. Ciekawe, czy ci twoi przyjaciele, którym odebrano dziecko, też o tym wiedzą – zwrócił się do mnie.

– Marie i Leo? Mam nadzieję – odparłam.

– Cóż – mruknęła Evie. – Muszą cię wybrać, żebyś mogła się zapisać. Ten kurs nie jest otwarty dla każdego. Nie mówią, na jakiej podstawie podejmują decyzję. Może to zależy od rodzaju NSR-ów, jakie się dostało, albo od zachowania czy coś w tym stylu.

– Poznałaś kogoś na tym kursie? – spytał Thomas.

– Nie, robiłam go w odizolowanej kabinie. Nie poznałam żadnych innych rodziców.

Bałam się, że Thomas będzie ją wypytywał przez cały wieczór, więc kilka chwil później, gdy Evie poszła do toalety, syknęłam mu do ucha:

- Co to ma być, gra w dwadzieścia pytań?
- Co? To po prostu niesamowite, że tak się stało, nie uważasz?
- Przestań ją o to wypytywać. Nie widzisz, że czuje się skrępowana?

W drodze powrotnej, gdy nie było już z nami Evie, Thomas chciał wrócić do tego tematu.

- Co to za kurs? – zastanawiał się. – Słyszałaś kiedyś o nim?
- Przestań zadawać tyle pytań – odparłam. – Po prostu ciesz się, że Jakob znów jest z nami. To jest jak cud.
- Bo to jest cud – odparł.

T E R A Z

Jakob gapi się na nas, nie tyle przestraszony, co raczej zdumiony naszym widokiem.

To on pierwszy przerywa milczenie.

– Mamusiu, kto to? – pyta, a jego oczy rozszerzają się ze zdziwienia.

Zawsze myślałam, że Jakob i Mimi uwielbialiby się, mieliby wręcz bzika na swoim punkcie, gdyby tylko mieli szansę się poznać. Wyobrażałam sobie, że nie mogłybyśmy zostawiać ich samych w pokoju, bo Jakob ciągle chciałby ją brać na rączki.

Są sobie jednak obcy. Jakob nie wie, kim jestem. Przepaść między mną a Evie przeniosła się na nasze dzieci.

– Witaj, Jakobie – udaje mi się powiedzieć prawie bez drżenia w głosie. – Dobrze cię widzieć.

– Co się stało z naszym domem? – pyta chłopczyk. – Widziałaś, kto zrobił tę dziurę? Temu dzidziusiowi nic nie jest?

Jest ciekawski, miły i troskliwy, do tego umie się wysłowić. Jest wszystkim tym, na co Evie liczyła.

– Jest chora – mówię.

Na te słowa moja siostra podrywa głowę, tak jak się tego spodziewałam. Mimo wszystko wciąż pozostało w niej coś, co każe jej się przejmować losem moim i mojego dziecka.

– Co jej jest? – pyta Jakob. Robi krok w naszą stronę, ale Evie nie puszcza jego ręki i przyciąga go do siebie.

– Czego chcesz? – pyta. – Dwie godziny temu dzwonił Thomas. Był zdenerwowany. Nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi, ale kiedy się zorientował, że cię tu nie ma, rozłączył się.

– Potrzebujemy twojej pomocy – mówię.

– Nic nie mogę zrobić, wiesz o tym.

– Proszę, jest z nią kiepsko. Dostała jakieś leki nasenne, nie wiem jakie, i chyba źle na nie reaguje.

Wciąż musi istnieć jakiś sposób, żeby dotrzeć do mojej siostry.

– Kto jej to zrobił?

– Ludzie, którzy próbowali pomóc – odpowiadam w końcu.

– Jesteście na liście poszukiwanych, co? Ty i Thomas byliście... uchylającymi się, prawda?

– Co to znaczy „uchylającymi się”? – pyta Jakob. Prawie zacina się na tym słowie.

– To znaczy, że ktoś unika czegoś, co i tak nie zniknie.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Nie możesz ciągle uciekać – poucza mnie Evie.

– Gdybyś tylko nam pomogła – mówię. Ponownie, bo te słowa już padły.

Wtedy nie zadziały.

Gwałtownie kręci głową.

– Chodź, Jakobie – mówi. – Wracamy do samochodu.

– Ale... – protestuje chłopczyk.

– Wracamy do samochodu.

Oboje się odwracają, słysząc chrzęst żwiru pod ich stopami.

– Dlaczego? – wołam do ich oddalających się pleców. – Dlaczego nam nie pomogłaś?

Evie przystaje. Jakob patrzy na nią. Jest pięknym chłopcem, naprawdę prześlicznym. Ma wielkie, pełne zdumienia oczy. Ona też na niego spogląda. Spojrzenia, które wymieniają, są niemal widoczne, jak nitka pajęczyny, kropla rosy łąpiąca światło i tworząca tęczę.

– Wsiądź do samochodu, kochanie – mówi do niego. – Poczekaj na mnie.

Kiedy odwraca się do mnie i Mimi, widzę, że nie ma nam nic do zaoferowania.

Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć. Waha się, jakich słów użyć.

– Nie mogłam ci pomóc, bo wtedy znów bym go straciła.

W T E D Y

– Chcesz mieć dzieci, Kit? – spytała mnie Santa podczas brunchu. Znów przygotowała posiłek złożony z mnóstwa przekąsek podanych w miseczkach: słoneczne plasterki mango, złocistobrazowe musli, jogurt posypany nasionkami i parujące tosty w kształcie cieniutkich owali, bo taki kształt miał bochenek chleba. Zajrzeliśmy do niej rano w dniu urodzin Thomasa, bo tego wieczoru wychodziliśmy razem, tylko we dwoje.

– Mamo – powiedział Thomas ostrzegawczym tonem, trochę surowym, a trochę marudnym. Nagle wyobraziłam sobie, jaki był jako nastolatek.

– Nie, w porządku – powiedziałam. Podałam Sancier gotową odpowiedź, którą recytowałam, tak jak recytuje się wiersz w szkole, bardziej zwracając uwagę na to, czy nie pominęłam jakichś słów, niż na to, co oznaczały. Wyjaśniłam jej, że nie sądzę, bym była w stanie to zrobić, że od lat jestem niewidzialną.

– A teraz? – spytała. – Wciąż czujesz to samo?

– No cóż, nie planowałam wychodzić za mąż – odparłam. – Zawsze myślałam, że nie będę mieć dzieci, a teraz... – Nagle ugryzłam się w język.

Thomas wpatrywał się w moją twarz.

– Mamo, to jest coś, o czym musimy porozmawiać w cztery oczy.

– Oczywiście, oczywiście – przyznała mu rację Santa. Uniosła ręce na znak, że nie chciała nikogo urazić.

Thomas poszedł po więcej mleka, a ja poczułam, że nie mogę się ruszyć. Siedziałam na krześle, jakbym do niego przyrosła.

– Poza tym jest jeszcze to, co się stało z Jakobem – powiedziałam do Santy. – To jeszcze bardziej wszystko zagmatwało.

– Jak się miewają Evie i Jakob? – spytała.

– Dobrze... Tak mi się wydaje – odparłam, przypominając sobie z poczuciem winy, że od jakiegoś czasu ich nie odwiedzałam.

– To wymaga czasu. Wszyscy go potrzebujecie.

Nie chciałam przyznać, że między mną a Evie wciąż jest przepaść. I chociaż nie rozmawialiśmy o tym otwarcie, to czułam, że Thomas uważa ów kurs, o którym nam opowiadała, za podejrzany; i to pomimo faktu, że w następnych tygodniach pojawiły się w sferach reportaże o podobnych okolicznościach.

Santa zaczęła starannie zbierać ze stołu ceramiczne miseczki. Potrafiła opowiedzieć historię każdej z nich.

– To jedno z najtrudniejszych doświadczeń w życiu – powiedziała. – Ekstrakcja dziecka. Kiedyś uważałam ją za jeszcze gorszą od śmierci. Brzmi to okropnie, prawda? Ale tak właśnie myślałam, kiedy zabrali mi Seana.

– Seana?

– Thomas nie...? – Urwała. Po chwili znów zaczęła mówić, powoli, starannie dobierając słowa: – Thomas nie mówił ci, że miał młodszego brata? Czasem się zastanawiam, czy to nie było dla niego zbyt trudne przeżycie. A może po prostu zapomniał, był wtedy taki mały.

Cała się spięłam. Widziałam przedmioty leżące na stole, łyżkę, zmiętą w kulkę serwetkę. Nagle wydawały się większe, jakbym patrzyła na nie przez lupę. Po głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: że wiem o Thomasie wszystko, że nie mamy przed sobą tajemnic.

Wtedy przypominałam sobie bardzo wyraźnie nasze pierwsze odwiedziny u Santy, gdy Thomas opowiedział mi o Cecelii, siostrze, którą straciła. Potem na krótką chwilę umilkł. W tamtej ciszy, w tamtym westchnieniu, żyło wspomnienie o bracie, którego mu odebrali.

– Pewnie chce o tym zapomnieć, bo to zbyt bolesne – mówiła cicho Santa. – Sean został poddany ekstrakcji, kiedy Thomas miał siedem lat. Nie jestem pewna, jak wyraźnie go pamięta. Na pewno nie tak dobrze jak ja. Pamiętam, jak Thomas dotykał policzkiem mojego brzucha i mówił do braciszka w tajnym języku, który sam wymyślił. Kochał Seana, jeszcze zanim ten się urodził.

– A nie dostałaś żadnych NSR-ów, kiedy Thomas był mały?

– Wtedy było trochę inaczej. Dostałam jeden czy dwa. Jesteś rówieśniczką Thomasa, prawda?

– Jestem kilka lat młodsza.

– Cóż, wtedy BSR funkcjonowało inaczej. Naprawdę wydawało się, że działało dla dobra dziecka. To znaczy, oczywiście wciąż tak jest. Istniało ryzyko ekstrakcji, ale nie przypominam sobie, żeby dochodziło do nich tak często jak teraz. Wygląda na to, że BSR stało się o wiele bardziej wymagające.

Santa odstawia z powrotem na stół miseczki, które trzymała.

– Ale nawet wtedy istniało ryzyko, że się gdzieś kręcą w pobliżu. Tylko że agenci BSR byli wtedy znacznie bardziej wyrozumiali. Nie trzeba było być nadczłowiekiem. Współczuję twojej siostrze i wszystkim z całego waszego pokolenia. Teraz jest o wiele trudniej niż kiedyś.

Przesunęła palcem po brzegu jednej z misek, jakby to była wilgotna glina, którą wciąż można ukształtować inaczej. Rozległ się ledwie słyszalny dźwięk. A potem Santa sięgnęła ręką do twarzy, jakby chciała otrzeć łzę, choć jej oczy były całkiem suche, a głos spokojny.

– Kiedy pojawił się Sean, wszystko zaczęło się już zmieniać. Obniżono dopuszczalną liczbę NSR-ów i zaczęto je przyznawać z wielu nowych powodów. Pojawiało się coraz więcej raportów na temat rozwoju dziecka i podwyższono standardy, które miały w nim pomóc. Skutki niepłodności zaczynały naprawdę dawać nam się we znaki. Każde rodzące się dziecko było cenne. Wciąż tak jest.

Santa zasznurowała usta, jakby chciała się powstrzymać przed powiedzeniem czegoś jeszcze. Tamtego dnia miała pomarańczowoczerwoną szminkę. Gdy zacisnęła usta, wydawała się ona jeszcze jaskrawsza.

W tym momencie wszedł Thomas, pachnący świeżością z zewnątrz.

– Co? – spytał, widząc nasze twarze. – O czym rozmawiałyście? – Uniósł brwi i spojrzał na mamę.

– To nic takiego – powiedziałam mu, a gdy zmarszczka na jego czole nie zniknęła, zapewniłam: – Nic, czym powinniśmy się martwić.

T E R A Z

Evie spuszcza wzrok pod moim spojrzeniem.

– Po prostu powiedz mi prawdę – mówię. Muszę przełożyć Mimi na drugie ramię. Przytulam ją mocno. Marznę w przesiąkniętym wymiocinami płaszczu i martwię się, że małej też musi być zimno w ręczniku, którym jest owinięta. Żali się, kiedy ją przekładam, cicho kwili i wiem, że coś ją boli. – Proszę, po prostu mi powiedz. Wiedziałam, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Myślałam, że najłatwiej będzie to zignorować, ale potem się zmieniłaś, stałaś się inną osobą, jakby dawnej ciebie już nie było...

– Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. – Pojawia się przebłysk mojej dawnej siostry. – Kiedy tata umarł... To się stało tak nagle... Dokładnie tego dnia dostaliśmy pierwszy NSR, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Gdyby nie miał wtedy ataku serca, nie miałabym szans zrobić tego, co zrobiłam. – Evie głośno przełknęła. – Dowiedziałam się czegoś... z papierów taty. Czegoś, czego nigdy by nam nie powiedział prosto w oczy.

– Czego? Czego się dowiedziałas? – Próbuję mówić wyraźnie, stanowczo, ale głos mi się łamie; zaraz zduszą go łzy.

– Nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam, że nigdy nikomu nie powiem. W przeciwnym razie znów mi go zabiorą. Zabiorą go.

Jakob obserwuje nasze twarze przez szybę samochodu. Spogląda to na mnie, to na Evie, tam i z powrotem. Dziwnie jest widzieć, jak bardzo urósł. Wydaje mi się jednocześnie znajomy i obcy. Wciąż został w nim ślad dziecka, które tak dobrze znałam i było mi tak drogie, ale jego twarz jest zupełnie nowa. Przypomina mi to obserwowanie, jak jeden z portretów Thomasa rozwija się od

kilku pojedynczych linii, które tylko sugerują krzywizny, do płótna wypełnionego pociągnięciami pędzla tworzącymi twarz.

Staram się nie zagubić w refleksjach o tym wszystkim, co przegapiłam. Straciłam siostrzeńca, dziecko, które kochałam i którym się opiekowałam, gdy było niemowlęciem, a które teraz patrzy na mnie i mnie nie poznaje.

Ściskam mocniej Mimi.

– Przez cały ten czas udawałaś, kiedy mówiłaś, ile dobrego robi BSR.

Słysząc pukanie. Jakob przycisnął buzię do szyby i patrzy na nas. Jest przejęty, zmartwiony. Nie podoba mu się, że płaczę. Evie przesadnymi ruchami ust każe mu poczekać, żeby zrozumiał przez tę grubą szybę, że wszystko jest w porządku.

– Seb wiedział... o tym, czego się dowiedziałaś? – ciągnę.

Siostra odwraca się do mnie.

– Nikt o tym nie wie.

Kręci mi się w głowie. Mimi porusza się w ten charakterystyczny sposób, który oznacza, że zaraz znów wymiotuje. Opuszczam ją i masuję ręką po plecach.

– To bez sensu. I tak mi nie powiesz, prawda? Nie zdradzisz, co to za wielki sekret... – Zanim zdążę coś dodać, Mimi wymiotuje, a potem znów się we mnie wtula. Ma blade policzki, jej główka opada na bok, jakby nie miała już sił. – Muszę iść. Muszę ją zawieźć do szpitala. Daj mi swój samochód – mówię. To nie jest prośba.

Evie lekko się wzdyga, ale nie protestuje. Wsuwa rękę do kieszeni i podaje mi kluczyki.

– Jedź – mówi. – Zanim jej się pogorszy. – Otwiera drzwi samochodu i wyciąga ręce po Jakoba. On uśmiecha się na jej widok; dostrzegam, jak wpatruje się w twarz Evie, gdy ta bierze go za rękę. Stara się ją zadowolić, rozweselić.

– Ta pani teraz sobie pojedzie – informuje go mama.

– Przykro mi, Jakobie. Chciałabym móc zostać dłużej i na nowo cię poznać – mówię. – Ale moja córeczka źle się czuje. Musimy jechać do szpitala.

– Do szpitala – powtarza Jakob. Wyciąga rękę do Mimi. Chowam twarz w jej główce, żeby nie widział łez napływających mi do oczu.

– Masz, weź mój płaszcz – mówi Evie. Ściąga go i podaje mi. Otulam Mimi najlepiej, jak potrafię, i układam na tylnym siedzeniu samochodu.

Mam wrażenie, że jest jeszcze bledsza.

– Przykro mi – rzuca Evie za moimi plecami.

W T E D Y

– Chodzi o to – zaczęła Evie, podciągając rękawy za łokcie i podając Jakobowi jakieś piankowe kulki, które w skupieniu układał w kojcu – że BSR jest naprawdę skuteczne. To działa.

– Chyba nie mówisz poważnie – powiedziałam. – Pamiętasz chyba, jak było wcześniej, prawda?

– Ale Kit, ja sobie zasłużyłam na te NSR-y. Oboje z Sebem na nie zasłużyliśmy. To, czego nauczyłam się dzięki ekstrakcji, uczyniło mnie o wiele lepszą matką.

– Żartujesz sobie?

Evie się najeżyła.

– Oczywiście, że nie. Nigdy w życiu nie mówiłam poważniej. To kolejna sprawa. Nie wydaje mi się, żeby wcześniej moje podejście było poważne.

– To nieprawda. Wszystko traktowałeś bardzo poważnie. Pamiętasz, ile się uczyłeś w trakcie indukcji i jak bardzo się starałeś, kiedy Jakob za wolno przybierał na wadze?

– Ale absolutnie nie powinnam była używać mleka modyfikowanego bez zezwolenia. Jest tyle badań, które pokazują, że jeśli matka nie zrezygnuje z karmienia piersią...

– Evie – przerwałam jej – nie wierzę, że to mówisz. Zupełnie jakbyś stała się kimś innym.

Milczała przez chwilę.

– Może jestem inną osobą – przyznała, po czym znów zrobiła pauzę. – Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Może cię to trochę zaskoczy, ale rozpoczęłam szkolenie i może uda mi się zostać funkcjonariuszką BSR.

– Funkcjonariuszką? – prawie wyplułam herbatę, którą miałam w ustach.

– Chcę pomagać innym, takim jak ja.

– Ale funkcjonariusze nie pomagają ludziom. Zachowują się, jakby byli zaprogramowani albo coś takiego. Sama powinnaś wiedzieć to najlepiej.

– Po ekstrakcji Jakoba zareagowałam bardzo emocjonalnie. – Pierwsze trzy słowa wypowiedziałam szeptem. – Roger powiedział...

– Roger? Roger Parris? Roger, mój były facet?

– Tak, to on nas szkoli. Jaki mały ten świat, co? Wspominałam ci chyba, że na niego wpadłam i dowiedziałam się, że dla nich pracuje?

– Szkoli teraz funkcjonariuszy BSR... – Pokręciłam głową.

– W każdym razie Roger powiedział, że wtedy nie postrzegałam tego jako pomoc, ale teraz już tak.

– To dlatego, że odzyskałaś Jakoba – odparłam. – Nie myślałaś tak, kiedy ci go zabrali.

– Ale odzyskałam go, bo zasłużyłam na to, żeby go odzyskać.

– Oczywiście, ale przede wszystkim nigdy nie powinni byli ci go odbierać. Kochałaś go, był szczęśliwy, rozkwitał. To BSR stworzyło problem.

– Wiesz, że nie wolno ci tak mówić – rzuciła ostro Evie. Między nami zapadło milczenie. – Może powinniśmy porozmawiać o czymś innym. Niech każda pozostanie przy własnym zdaniu.

W tym momencie Jakob podniósł się i stanął przy drewnianym chodziku pełnym klocków. Zrobił kilka kroków, a potem chodzik uderzył w fotel i chłopczyk się przewrócił. Zerknęłam na Evie, która patrzyła, jak upada.

– Hopsa! – zawołała, zrywając się, i postawiła z powrotem chodzik, żeby znów mógł go używać.

Jakbym zobaczyła cień swojej dawnej siostry, która nieustannie miała się na baczności i z niepokojem śledziła każdy ruch Jakoba. Teraz chłopczyk obszedł kilka razy salon, a Evie podążała za nim beztrąsko i śmiała się swobodnie, gotowa interweniować, gdyby chodzik gdzieś utknął.

– Chciałabyś mieć dzieci? – spytała nagle.

– Nie, nie. Oboje z Thomasem jesteśmy co do tego zgodni – odparłam. Taka była oficjalna wersja. Szybkie zakończenie tematu, bez zachęty do dalszej rozmowy.

Tylko że to nie była do końca prawda.

Nie potrafiłam ująć tego w słowa, ale ostatnio czułam się czasem tak, jakbyśmy żyli z duchem. W niektóre wieczory, kiedy Thomas siedział obok mnie, wyobrażałam sobie na jego kolanach nasze dziecko. Było skulone, z policzkiem przyciśniętym do jego ciepłej piersi. Widziałam jego twarzyczkę, idealne, zamknięte powieki, niemal przezroczysty nosek, miękkie puszek na głowie.

Widziałam jego zarysy, rozmyty łuk jego pleców, gdy wtulało się w Thomasa, by zasnąć jeszcze głębiej. Znałam jego twarz. Trochę z Thomasa, trochę ze mnie, i to coś, co było po prostu nim, kimś nowym i niepowtarzalnym, kogo wspólnie stworzyliśmy.

Potem Thomas po coś sięgał, na przykład po szklanekę, i te przedziwne rozmyślenia o dziecku znikwały. Nie było tam nic prócz powietrza, pustej przestrzeni, którą ktoś zajmował tylko w mojej głowie.

Ledwie przyznawałam się do tego przed sobą, nie wspominając już o Thomasie czy kimś innym. I z jakiegoś powodu wolałam, żeby tak pozostało. Było to coś zupełnie prywatnego i nie chciałam, żeby rzeczywistość zatarła tę fantazję.

Czasami, w chwilach między przebudzeniem a snem, wydawało mi się, że mój brzuch jest dojrzały i wypukły, że rozsadza go życie. Wydawało mi się, że czuję, jak coś się we mnie porusza, inicjując dialog możliwy tylko między matką a dzieckiem, i mimowolnie kładłam rękę na brzuchu. Oczywiście nic tam nie było i pocierałam to miejsce dłonią, być może po to, by się upewnić. A może by dodać sobie otuchy?

Potem przypomiinałam sobie, co się stało z Jakobem, i moje palce zaciskały się w powietrzu, jakby odebrano nam dziecko, którego nigdy nie było.

T E R A Z

Delikatnie masuję plecy Mimi, a potem zatraskuję drzwi samochodu i siadam na miejscu kierowcy. Samochód jest ogromny. Mam wrażenie, że jestem bardzo wysoko.

Evie pochyla się nade mną i przesuwa ręką po mobilnej sferze na desce rozdzielczej.

– To jest najbliższy szpital – mówi. Ekran wyświetla wskazówki, jak tam dojechać, strzałki mrugają na przedniej szybie. – Wprowadziłam do programu jeszcze jeden adres. Pojedź tam potem, jeśli będziesz mogła. Może ta osoba będzie w stanie wyjaśnić ci to, czego ja nie mogę. Przepraszam, że...

– Teraz już na to za późno – przerywam jej. Udaje mi się zapanować nad łamiącym się głosem i dodaję: – Lepiej pożegnaj się z Mimi, bo widzisz ją ostatni raz.

Evie zagryza wargę i spuszcza oczy, ale potem znów na nas patrzy.

– Uważaj na siebie – mówi wymownie. – Przykro mi, naprawdę mi przykro. Wiem, że to nie sprawi, że będzie lepiej...

Jestem wściekła aż do białości.

– Nie rozumiesz? Już na to za późno!

– Nigdy nie przyszło ci do głowy – mówi Evie – że zrobiłam to, co zrobiłam, ze względu na ciebie? Że próbowałam cię chronić przed...

Ale nie pozwalałam jej dokończyć i zatraskuję drzwi.

Uruchamiam silnik i słyszę jego moc. Wpatruję się w drogę przed sobą, ale mimowolnie dostrzegam w lusterku postaci Evie i Jakoba. Chłopiec podskakuje i macha rączkami, Evie stoi sztywno z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Już za późno. Czuję, jak dociera do mnie pewność zawarta w tych słowach.

Spoglądam na Mimi. Wciąż ma zamknięte oczy. Otulona płaszczem Evie wydaje się taka malutka.

To jest początek końca: te chwile w samochodzie będą ostatnie, jakie z nią spędzę.

W T E D Y

Zaczęliśmy rozmawiać o dziecku w samochodzie, wracając z weekendowego wyjazdu, i w efekcie przegadaliśmy całą noc.

Poobkładaliśmy się poduszkami, uwiliśmy sobie w łóżku gniazdko i w kółko omawialiśmy decyzję i to, co nas do niej doprowadziło.

Wspominaliśmy, co się stało z Jakobem.

Wspominaliśmy, jakie wydawało się to nieprawdopodobne, żeby Evie i Seb dostawali kolejne NSR-y, a jednak do tego doszło.

Znów przywołałam historię Marie, Leo i Tii.

W końcu Thomas opowiedział mi o Seanie. Przyznał, że tak długo milczał na ten temat, że czuł się niemal winny. A im dłużej to trwało, tym trudniej było mu o tym mówić. Jego wspomnienia o bracie były fragmentaryczne, wyraźniej pamiętał okres po jego ekstrakcji. Powiedział mi, że tak to właśnie odczuwał: jak dziurę, lukę, ciągłe wrażenie, że za kimś tęskni.

– Ja też sobie wyobrażałem, że mamy dziecko – przyznał o trzeciej nad ranem.

Noc ciągnęła się już tak długo, nie spaliśmy od tak wielu godzin, że ciemność stała się naszym towarzyszem. Wypełniła okna i jedynym, co przez nią widzieliśmy, były nasze odbicia w szybie.

Zaraz po tym wyznaniu dodał:

– Ale to biologiczny imperatyw. Byłoby dziwne, gdybym o tym nie myślał. BSR właśnie na to liczy. Na to i na całą tę presję finansową.

Wiedzieliśmy, że jeśli zostaniemy razem i nie rozpoczniemy indukcji, w końcu zostaniemy zmuszeni do wyprowadzki z naszego ładnego mieszkania, a ja wrócę do obskurnej części dzielnicy, gdzie mieszkałam, zanim poznałam Thomasa.

– Ale niektóre rodziny zatrzymują swoje dzieci – powiedziałam. – Na przykład ten twój i Seba kolega z pracy. A pamiętasz Jacqui, kobietę z ceremonii nadania imienia Jakobowi... jej siostrę? Ona wciąż ma swojego synka. – A potem dodałam: – Z nami też mogłoby tak być.

– O ile przejdziesz przez indukcję – przypomniał mi Thomas. – Musiałabyś postanowić, że jesteś w stanie się na to zdobyć. Nie mogę... Nie potrafię sobie wyobrazić...

– Czego?

– Utraty ciebie. Nie potrafię sobie wyobrazić, że cię stracę.

– Nie stracisz – zapewniłam od razu, choć nawet w moich uszach zabrzmiało to jak pusta pociecha. Nie znaleźmy dokładnej liczby kobiet, którym nie udało się przeżyć indukcji, ale zdarzało się to na tyle często, że ryzyko było realne. – Evie się udało – powiedziałam zamiast tego.

– W końcu. To kolejna rzecz, na którą liczą: na tę ślepą, upartą nadzieję, że z tobą będzie inaczej, że z tobą będzie w porządku.

– Ale przecież może tak być – upierałam się. – Prawda?

– Kit – powiedział Thomas w sposób, który przypominał mi piórko spadające na ziemię. Choć te słowa zdawały się sprawiać mu ból, zapytał: – Naprawdę tego chcesz?

– Chcę. Ale chcę, abyś ty też tego chciał. To nie może być tylko moja decyzja.

Thomas nie odpowiedział.

Cisza.

Na podłodze była mała plamka, od której nie odrywałam wzroku. Zauważyłam ją już wcześniej, podczas naszej rozmowy. Choć wiedziałam, że to niemożliwe, za każdym razem, gdy na nią patrzyłam w słabym blasku lampki przy łóżku, wydawała się poruszać, zmieniać pozycję, rozrastać.

Postawiłam na niej stopę i całkowicie ją zakryłam, tak że nie było widać jej rozmytych krawędzi.

Thomas zaczął mówić. Musiałam się skoncentrować, żeby znów skupić na nim uwagę.

– W każdym razie i tak nie ma pośpiechu, prawda? Może zastanówmy się nad tym. Zobaczmy, co będzie za miesiąc. Szczerze mówiąc, czuję się, jakbym nie

nadązał. Po prostu nigdy nie spodziewałem się, że będziemy mieć dzieci. Nie pozwalałem sobie na myślenie o tym, że może się to wydarzyć. A teraz, kiedy naprawdę o tym myślę... cóż... to... to chyba najlepsza rzecz, jaką potrafię sobie wyobrazić. – Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu i w tamtej chwili troska, którą w sobie nosił, rozviała się. – Ale nie chcę pozwolić, by poniosły mnie emocje. Jest tak wiele powodów, dla których postanowiliśmy tego nie robić. Nie możemy o tym zapominać.

Nie zapomnieliśmy.

Wszędzie wypatrywaliśmy rodzin. Idąc ulicą. W supermarketach i w parkach. Przez szyby samochodu. Nie było ich wiele.

Pewnego dnia postanowiłam sprawdzić, czy uda mi się znaleźć w sferach jakieś informacje o zmianach limitu NSR-ów, ale do niczego takiego nie udało mi się dotrzeć. Było tylko trochę informacji z niepotwierdzonych źródeł, a nie mogłam zapytać o to nikogo, komu nie całkowicie bym ufała. Do grona takich osób należał obecnie jedynie Thomas.

A potem, zupełnie jakby ktoś śledził każdy nasz ruch, podsłuchiwał nasze rozmowy i znał moje myśli, dopuszczalna liczba NSR-ów została zwiększona do dziesięciu.

Teraz, żeby dziecko zostało poddane ekstrakcji, trzeba było dostać dziesięć NSR-ów. To trzy dodatkowe szanse.

Thomas zauważył tę wiadomość w sferach i spojrzał na mnie, unosząc brwi. Niemal z nadzieją.

Wtedy wiedziałam, że nasza mała rodzina się powiększy. Że spróbujemy starać się o dziecko.

T E R A Z

Moje dziecko z XC. Mobilna sfera Evie nagle zaczyna ryczeć na cały regulator. Film zasłania wskazówki, jak dotrzeć do szpitala.

Wyprzedzam inne samochody na drodze.

Sferę wypełnia szeroki uśmiech jakiejś kobiety.

Mówię do Mimi, próbując zagłuszyć te głosy. Zdaję sobie sprawę, że robię to bardziej po to, żeby pocieszyć siebie niż ją.

– Nic ci nie będzie, kochanie – mówię. – Znajdziemy sposób, żebyś poczuła się lepiej.

Dalej do niej szczebioczę i jadąc, znów próbuję sobie przypomnieć jakiś szczegół z tamtego mieszkania, który mógłby mi podpowiedzieć, jakie podali jej leki. Nic z tego jednak nie wychodzi.

Zbliżamy się do szpitala. Teraz, gdy skończył się film, zielone strzałki znów się wyświetlają na przedniej szybie, popędzają mnie. Skręcam, po czym podjeżdżam pod samo wejście do szpitala i otwieram drzwi, żeby wyciągnąć Mimi.

– Została odurzona – mówię do medyków, którzy uwijają się wokół. – Dostała coś na sen, ale od jakiejś godziny wymiotuje. Przestała reagować.

Mają do mnie mnóstwo pytań. Jak się nazywał ten lek? Ile dostała? Czy reagowała już tak wcześniej?

Każdą niepewną odpowiedzią, jakiej udzielam, zawodzę swoją córeczkę.

Jestem z nią w pokoju, ale prawie jej nie widać, bo otaczają ją monitory, tłoczą się wokół niej lekarze, wkluwają się w nią, żeby pobrać krew i podłączyć kroplówkę.

Moja córeczka, która potrafi wrzeszczeć na całe gardło, jest błąda i bezwładna. Uważnie wpatruję się w kardiomonitory, ale nie rozumiem tego, co

się na nich wyświetla. Mam tylko strzępy rozmowy, na które rzucam się jak na padlinę.

– Spada tętno.

– Więcej płynów.

– Kroplówka podłączona?

Czuję lekki ucisk na ramieniu. Próbuję strzepnąć to coś ręką, ale gdy nacisk się nasila, uświadamiam sobie, że ktoś mnie trzyma.

– Proszę pójść ze mną. Mamy do pani kilka pytań.

Odwracam się i widzę łysiejącego mężczyznę o poszarzałej twarzy z legitymacją BSR zawieszoną na szyi. Ma zmęczone oczy; wygląda na wyczerpanego.

Ostatni raz zerkam na Mimi, widzę wkłute w nią igły, jakieś wężyki.

„Kocham cię” – przekazuję jej ruchem warg.

Wyobrażam sobie, że te słowa płyną do niej jak baloniki i łagodnie muskają jej delikatne czoło.

Potem biorę głęboki wdech i zbierając resztki sił, wrywam się funkcjonariuszowi BSR. Uciekam korytarzem. Biegnę i biegnę, choć zdaję sobie sprawę, że mnie zatrzymają, i tak biegnę dalej.

Kiedy dopadam do samochodu, przez chwilę zwlekam. Nie mogę uwierzyć, że dotarłam aż tutaj. Byłam pewna, że mnie schwytają. Ale odsuwam od siebie tę myśl; w mojej głowie pojawia się coś innego.

Odjeżdżam spod szpitala. Od Mimi.

W T E D Y

Krzyczące usta.

Wymachujące piąstki.

Krzyk.

Krzyk.

Krzyk.

Odkąd zaczęliśmy indukcję, prawie co noc budzę się z takiego snu.

To był tylko Jakob.

To była Tia.

To było każde dziecko.

To było nasze dziecko.

To byłam ja.

Wszystko zlewa się w jedno.

Postanowiliśmy nikomu nie mówić, że zaczęliśmy indukcję, dopóki nie zajdę w ciążę.

Po naszym pierwszym spotkaniu Thomas mówił, że chronimy tych, których najbardziej kochamy, w jedyny sposób, w jaki potrafimy. W tamtym czasie pracował nad serią portretów rodzin. Każdy obraz przedstawiał rodzica z dzieckiem.

Ojciec z córeczką przechodzą przez ulicę, trzymając się za ręce. Ten obraz przybrał formę zbliżenia ich mocno splecionych palców. Tworzyły taki węzeł, że stały się nowym kształtem. Złączone i abstrakcyjne.

Matka karmiąca piersią niemowlę. Biło od nich światło, w którym skąpane były ich czoła, ramiona matki tworzyły niemal okrąg.

Dziecko, o którym marzyliśmy, dziecko, które tak bardzo chcieliśmy poznać. Czy będziemy potrafili je ochronić? Czy możemy z ręką na sercu odpowiedzieć

twierdząco na to pytanie? Zbliżaliśmy się do dziecka cal po calu i musieliśmy do niego dotrzeć.

Prawda?

Musieliśmy?

Zacząłam brać serię leków. Na początek zastrzyki dwa razy dziennie.

Podczas jednej z pierwszych sesji grupowych dyskutowaliśmy o tym, czy człowiek ma etyczne prawo posiadać dzieci. Z początku pod czujnym spojrzeniem funkcjonariuszy BSR nikt nie chciał się odzywać. Splotliśmy palce i podnosiliśmy głowy jedynie po to, by sprawdzić, czy ktoś inny odezwie się pierwszy. Jeden z funkcjonariuszy, mężczyzna o imieniu Reynard, zaczął się niecierpliwić.

– Ludzie, powiedzcie mi, co myślicie – zażądał.

Była wśród nas taka para, Susannah i Maeve, obie miały szopy rudoczerwonych włosów i wielkie jak u spanieli oczy. Gdy mówiły, patrzyły w dal, jakby wypatrywały czegoś na horyzoncie.

– BSR jest wartościowe i ważne, bo nie tylko poddaje nas leczeniu niepłodności, ale pomaga nam być najlepszymi rodzicami, jakimi możemy być – powiedziała Susannah. Ona i Maeve mocno splotły palce. – Tylko dzięki ekstrakcji można zapewnić dzieciom najlepszą przyszłość.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem rozejrzała się, szukając potwierdzenia.

Spuściłam wzrok, jakbym intensywnie się zastanawiała nad jej wkładem w dyskusję, i próbowałam zapanować nad twarzą, żeby nie zdradziła moich prawdziwych uczuć, gdy usłyszałam odpowiedź Reynarda.

Oboje z Thomasem ustaliliśmy, że podczas tych sesji nie będziemy nawiązywać kontaktu wzrokowego. Szybko złamałam tę zasadę, gdy usłyszałam, jak Reynard chwali Susannah za tę „wnikliwą” uwagę. Choć teraz mówiła kobieta o imieniu Pamela, dostrzegł, jak ukradkiem spozierałam na Thomasa, i jej przerwał.

– Chciałabyś nam o czymś powiedzieć, Kit?

Miałam ochotę powiedzieć „nie”, ale nie wolno uchylać się przed bezpośrednim pytaniem funkcjonariusza.

– Zastanawiam się chyba... – zaczęłam formułować zdanie, które wyrażałoby choć ułamek tego, co czułam. – Zastanawiam się, czy mogą istnieć inne sposoby

oprócz ekstrakcji, które...

Poczułam, jak Thomas cały się napina.

Natychmiast rozległ się głos Susannah:

– Inne sposoby oprócz ekstrakcji?

– Może ekstrakcje zniechęcają rodziców? – podsunęła bardzo nieśmiała kobieta o imieniu Patrice. Mówiła niczym mała myszka, cienkim, piskliwym głosikiem, który ledwie słyszałam.

Susannah ciągnęła, jakby Patrice w ogóle się nie odezwała:

– Standardy rodzicielskie istnieją nie bez powodu. Powinny być respektowane i utrzymywane na wysokim poziomie, a jeśli kogoś zniechęcają, to bardzo dobrze.

– A nie uważasz, że to może być trochę przytłaczające? – spytałam.

– Z całą pewnością większym zmartwieniem jest indukcja – odcięła się Susannah. – To, czy twoje ciało zareaguje na leki i jak na nie zareaguje. Jakie mogą być skutki.

– To ciekawy problem – odezwał się Reynard. – I oczywiście wszyscy musicie się z nim skonfrontować. Proces indukcji nie jest wolny od ryzyka. Ale chociaż niektórzy próbują siać panikę, przyjrzymy się rzeczywistym liczbom, które potwierdzają, że jest to o wiele bezpieczniejsze, niż sądzi większość ludzi.

Potem utonęliśmy w oceanie statystyk na temat indukcji, od których kręciło mi się w głowie.

Po dniu szkolenia wracaliśmy z Thomasem do domu i przez kilka godzin nie odzywaliśmy się do siebie. Bałam się, że jeśli zaczniemy rozmawiać, powoli zburzymy wszystko, co udało nam się dotąd zbudować, i nasze wysiłki pójdą na marne.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, żeby zrezygnować, ale jedna z par zrobiła to po kilku tygodniach. Wszyscy zauważyli ich nieobecność. Susannah spytała, co się z nimi stało, a wtedy jeden z funkcjonariuszy powiedział nam, że się wycofali.

– Słyszałam, że jeśli ktoś się wycofa, już nigdy nie może spróbować ponownie – powiedziała Susannah.

– Nie, to nieprawda – odezwała się, lekko marszcząc brwi, inna funkcjonariuszka, starsza kobieta o imieniu Sally. – Poza tym badania wykazują,

że gdy pary, które się wycofały, wracają do indukcji, lepiej udaje im się zachować standardy niż tym, którzy robią to pierwszy raz.

– Ale to kiepsko świadczy o ich zaangażowaniu, prawda? – najeżyła się Susannah.

– Sama chce zostać funkcjonariuszką BSR, nie uważasz? – szepnął mi do ucha cienki głosik. To była Patrice, która prawie się nie odzywała. Miała iskierki w oczach, gdy zachichotałyśmy cicho, ale szybko odwróciła głowę, gdy poczułyśmy na sobie spojrzenie Susannah.

– Macie jakieś zdanie na ten temat? Kit? Patrice? – spytała nas Susannah.

– To ciekawe, co wykazały nowe badania – odpowiedziałam szybko. – Zastanawiałam się, czy są plany przeprowadzenia kolejnych, długoterminowych.

Sally zaczęła omawiać badania i wydawało się, że trwa to całe wieki. Kiwałam głową i w odpowiednich momentach pomrukiwałam, ale tak naprawdę nie słuchałam. Patrice przeniosła się na drugi koniec pomieszczenia, żeby być jak najdalej ode mnie. A Susannah przyszpiliła mnie spojrzeniem nieruchomych, pełnych wyczekiwania oczu, które kojarzyło mi się z kotem śledzącym swoją zdobycz.

Mieliśmy mnóstwo nauki, tak jak kiedyś wspominała mi Evie, ale nic nie było w stanie oderwać moich myśli od tego, co się działo z moim ciałem.

Czułam w sobie leki niczym ołowiane ciężarki, które nieustannie musiałam ze sobą nosić. Nie tylko fizycznie, w jajnikach, które były stymulowane, wręcz hiperstymulowane, i z dnia na dzień powiększały się, ale też przez to, jak niespokojne i rozdarte były moje myśli.

Rozpadałam się na kawałki. Nie dało się tego opisać inaczej. To było przedziwne, ale bardzo instynktowne doznanie, jakbym w ciągu dnia w jakiś sposób pozostawiała za sobą porzucane kawałki mózgu. Co noc miałam wrażenie, że jest we mnie coraz mniej tego, co decydowało, że jestem sobą.

Popadałam w różne nastroje, zanim miałam szansę zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Po prostu nie potrafiłam panować nad własnymi emocjami. W podobny sposób moje ciało zalewały fale gorąca i to doznanie całkowicie mnie pochłaniało.

Codziennie robiono mi USG jajników, żeby sprawdzić postępy. Widziałam je w wyobraźni, rozdęte jak dwa balony, rosły coraz większe i pozostawiały coraz mniej miejsca. Ale nie reagowałam „we właściwy sposób”, potrzebowałam większej dawki, a potem kolejnej. Mdłości, które nawet na chwilę nie ustępowały, były w tym wszystkim najłatwiejsze.

Próbowałam zatracić się w nauce, choć mój mózg był powolny i otępiały. Dałam sobie spokój z dokumentowaniem życia. Zastanawiałam się, czy będę za tym tęsknić, ale nie wyobrażałam sobie, żebym mogła pisać, a nauka podczas indukcji pochłaniała całą moją energię. Przekonywałam samych siebie, że to nas uchroni przed ekstrakcją, o ile w ogóle uda mi się zająć w ciążę.

Robiliśmy notatki, a potem notatki z notatek, sprowadzając wszystko do kilku słów, które – jak mieliśmy nadzieję – sprawią, że przypomni nam się cała reszta.

Evie przyszła w odwiedziny, gdy próbowaliśmy zapamiętać, w jakiej kolejności należy uczyć dziecko głosek. Robiąc jej kawę i gwałtownie odsuwając szklanki na stole poza zasięg Jakoba, usiłowałam wypierać informacje, które niespokojnie kłębiły się w mojej głowie. Wyplukałam fusy z kawiarki, ale gdy czarne grudki zaczęły wirować w zlewie, a potem osad zapchał odpływ, mimowolnie zaczęłam w myślach wypowiadać głoski, cokolwiek, byle tylko odwrócić uwagę od nudności, które wzbierały w moim brzuchu.

S. Ssssssss.

A. Aa, aa, aa, aa.

– Kit? – spytała Evie.

– Przepraszam, ja tylko...

– Zupełnie odpłynęłaś. Pytałam, jak ci idzie na działce. Wciąż tam chodzisz, prawda? Może któregoś dnia mogłabym cię tam odwiedzić z Jakobem?

– Właściwie to ostatnio tam nie bywam. Wiesz, jak to jest. Dużo się dzieje.

Evie odchyliła się na oparciu i oceniła mnie wzrokiem.

– Twoja twarz... – zaczęła, a potem umilkła. – Zaczęliście, prawda? Indukcję. Ty i Thomas. – Słowa uwięzły jej w gardle, ale wydusiła je z siebie.

Przestałam płukać kawiarkę. Z kranu dalej płynęła woda. Nigdy dotąd nie zwracałam uwagi, jak brzmi taki silny strumień wody. Tak mógłby brzmieć ktoś, kto próbuje kogoś uciszyć.

– Powinnam była ci powiedzieć.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? – spytała Evie.

Jej słowa przeszły mnie na wskroś. Zakręciłam wodę. W kuchni zapadła martwa cisza.

– Co masz na myśli? – zwróciłam się do niej, niebezpiecznie zniżając głos.

– No cóż, twoją przeszłość niewidzialnej – zaczęła, ale wtedy Jakob zaczął wspinać się na bujany fotel w kącie, który niebezpiecznie się zakołysał. Evie podbiegła i zabrała stamtąd chłopca.

Posadziła go sobie na biodrze i ciągnęła:

– Po prostu nie sądziłam, że kiedykolwiek tego chciałaś. To wszystko.

– Myślałam, że będziesz szczęśliwa z naszego powodu. – Nic nie mogłam poradzić na to, że wyplułam to słowo: szczęśliwa.

Evie westchnęła.

– Nie chodzi o to, czy będę szczęśliwa. Powinniście chcieć to zrobić, bo wiecie, że macie taką możliwość. Jakie w tej chwili dają premie finansowe?

Wymamrotałam kwotę.

– Całkiem sporo. No i jak się z tym czujesz? Ile tygodni masz już za sobą?

– Jesteśmy w siódmym tygodniu.

– Czyli w samym środku – stwierdziła lekkim tonem. – Ale wciąż daleko wam do końca. – Beztrosko pocałowała Jakoba w głowę.

– Tak – odparłam. Nie ufałam sobie na tyle, by powiedzieć cokolwiek więcej.

– A czy miałaś jakieś wątpliwości po tym, jak już zaczęliście?

– Ja... ja... – Nie chciałam przed nią przyznać, jak wiele miałam wątpliwości.

– Indukcja nie jest dla każdego. Czasem musisz dojść do połowy, żeby zdać sobie z tego sprawę.

– Chcesz powiedzieć, że będę okropną matką? O to ci chodzi?

– A tak uważasz? – spytała Evie w odpowiedzi.

Zaczęłam się płatać.

– Powinnaś naprawdę dobrze się zastanowić, czy rzeczywiście tego chcesz – powiedziała powoli. – Czy sobie z tym poradzisz.

– Myślę, że powinnaś wyjść – warknęłam bez zastanowienia.

– Wiem, że to bolesny temat, Kit – ciągnęła Evie. – Ale to nie znaczy, że nie powinnyśmy... Nie ma nic złego w przyznaniu się do słabości. Jeśli chcesz,

możesz zastrzelić posłańca, ale jeżeli uważasz, że nie będziesz za dobrą matką, to pewnie tak się właśnie stanie. Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie.

Każde słowo było jak policzek i głęboko mnie raniło. Wypowiedziała na głos najgorsze lęki, do których nie byłam w stanie się przyznać przed samą sobą – że nie będę w stanie tego zrobić, że się nam nie uda, że zniszczymy nasze kruche szczęście.

Stałam tak niemal sparaliżowana i patrzyłam, jak wychodzi.

Później nie widziałam jej do chwili, gdy trzymałam już w ramionach Mimi.

T E R A Z

Nie potrafię myśleć o tym, że właśnie opuściłam szpital bez Mimi. Na przedniej szybie pulsują strzałki kierujące mnie pod adres zapisany przez Evie i pozwalam się im prowadzić.

Nie mam dokąd pójść, nie mam pojęcia, co robić, mogę tylko za nimi podążać.

Wjeżdżam na główną drogę prowadzącą na północ i przyspieszam, samochód wrywa do przodu.

Krajobraz jest tu inny, bardziej surowy i piękniejszy, jakbym minęła jakąś niewidzialną granicę i znalazła się w innej krainie. Ruch na drodze znacznie się zmniejszył, zapada zmierzch.

Przylapuję się na tym, że myślę o Thomasie. Tęsknię za nim, brakuje mi jego czułej uwagi, barwy jego głosu. Chciałabym, żeby był przy mnie.

Po raz pierwszy żałuję, że go dzisiaj zostawiłam. Może gdybym porozmawiała z nim jak należy i zmusiła się, by powiedzieć, co naprawdę czuję, wysłuchałby mnie i pojechałby ze mną.

Strzałki prowadzą mnie do zakrętu ze znakiem informującym, że droga prowadzi na wyspę. Widzę w oddali jej skaliste brzegi, wznosi się na morzu jak statek. Widziałam już to miejsce, jestem tego pewna, ale nigdy tu nie byłam.

Przede mną rozciąga się bezkresne niebo.

To inna droga, którą mogłabym wybrać. Tygrysie pręgi chmur oświetlonych promieniami zachodzącego słońca.

Teren jest tu płaski jak odbicie nieba. Otacza mnie przestrzeń. Ziemia, niebo i przestrzeń.

Gdy docieram do kolejnego zakrętu, zwalniam. Strzałki informują mnie, że jestem niemal u celu. Wjeżdżam w wąską dróżkę.

To musi być bardzo samotne miejsce do życia. Druzgocąco piękne, ale samotne. Od jakiegoś czasu nie mijam żadnych domów. Droga się wiję, zakręca i to też wydaje się znajome. Czuję to w sercu, jestem pewna, że to właściwe miejsce, że właśnie tu powinnam być.

Mijam kolejny zakręt i w oddali ukazuje się budynek. Nawet kiedy patrzę na niego z tej odległości, dom Evie wydaje się przy nim mały. Podjeżdżam do bramy, a gdy się nie otwiera, wysiadam z samochodu.

Nikt jej nie pilnuje, nigdzie nie widać domofonu. Tylko solidna, zamknięta brama, która wygląda, jakby nie zamierzała się otworzyć.

Podchodzę do niej i spoglądam przez pręty. Nadal widzę ten dom w oddali; wydaje mi się, że dostrzegam w nim światło.

Gdy tak stoję, zaglądając na drugą stronę, zauważam czarny kulisty szczegół w murze. Łatwo go przeoczyć. Mógłby to być jakiś ozdobny element, ale jestem pewna, że to kamera. Wpatruję się w nią bez mrugnienia okiem. A wtedy z cichym pomrukiem brama powoli się otwiera.

Wskakuję do samochodu i jadę dalej. Do domu wciąż jest daleko, sekundy mijają boleśnie. To ostatni ruch, jaki mogę wykonać, i nie wiem, czy okaże się to ślepym zaułkiem, czy drogą do samego centrum labiryntu.

Kiedy zatrzymuję się przy wejściu, on już tam na mnie czeka. Natychmiast go poznaję po tym, jak stoi, po sylwetce i sposobie, w jaki przechyla głowę.

Ten dom jest zbyt ogromny, by mieszkał w nim tylko jeden człowiek. Powinna tu żyć cała rodzina; powinien tu być personel dyskretnie czekający w tle.

Ale jest tylko on. Z powodu, którego nie potrafię wytłumaczyć, jestem pewna, że jest tutaj tylko on.

– Kit, prawda? – pyta.

– Jonah – odpowiadam.

W T E D Y

Zamknęłam artykuł, który czytałam w sferach, gdy usłyszałam, jak Thomas przekręca klucz w zamku. To był reportaż o sukcesie dzieci z XC , który sprawił, że pomyślałam o Jonahu i jego córce Genevieve. Teraz, gdy przestałam pracować, nie mogłam być tego pewna, ale dziecko Genevieve powinno już się urodzić i być gotowe do zabrania do domu. Inni moi klienci też korzystali z tej metody. Wiedziałam, że noworodki z XC są przez jakiś czas monitorowane poza sztuczną macicą, zanim przekazuje się je rodzicom. Potrzebowały więcej czasu, żeby zbudować swój mikrobiom. Biorąc pod uwagę to oraz dłuższe okresy inkubacji, nic dziwnego, że na zdjęciach w artykule dzieci z XC przekazywane rodzicom wyglądały na znacznie lepiej rozwinięte niż Jakob, którego zobaczyłam w szpitalu tuż po urodzeniu.

Czekałam, aż Thomas wróci z pracy, i za każdym razem, gdy słyszałam jakiś dźwięk mogący świadczyć o jego powrocie, ciarki przebiegały mi po skórze. Miałam już za sobą kilka falstartów: wstawałam z krzesła i dopiero wtedy docierało do mnie, że to tylko czyjeś kroki na korytarzu. Czujnie wpatrywałam się w drzwi, ale uparcie pozostawały zamknięte.

Miałam wieści – nie te, na które liczyliśmy – i chciałam powiedzieć mu o tym osobiście. Cały dzień spędziłam sama, z nikim nie mogłam się tym podzielić, i w miarę jak upływały kolejne godziny, czułam wzbierającą we mnie falę. Z początku wydawało mi się, że mam nad tym kontrolę, ale to uczucie wciąż się nasilało i z czasem było dwa, cztery, osiem, szesnaście razy większe. A teraz informacja, która pojawiła się rano na mojej pracosferze, opancerzona z zewnątrz i od środka, stała się czymś żywym.

Dopałłam do niego, gdy tylko przekroczył próg, nie zdążył nawet odstawić torby, zdjęć płaszcz. Pamiętam wyraz zaskoczenia na jego twarzy, gdy go

objęłam. Mocno przytuliłam się do niego, chciałam poczuć coś jeszcze oprócz płynnych wnętrzości, które się we mnie wiły i kotłowały.

– Muszą mi zrobić więcej badań – wymamrotałam w jego płaszcz. Wydawał się trochę zbyt szorstki na moim policzku, jak papier ścierny albo zrogowaciała skóra.

– Badań? Jakich badań?

Thomas wciąż trzymał mnie w ramionach, ale próbował się ode mnie odsunąć. Chciał widzieć moją twarz. Przywarłam do niego jeszcze mocniej. Łatwiej będzie mi to powiedzieć, jeśli nie będę musiała na niego patrzeć, jeśli on nie będzie patrzył na mnie.

– Możliwe... możliwe, że coś jest ze mną nie tak. – Czułam się jak dziecko. Nie byłam w stanie rozmawiać o szczegółach. Potrafiłam stawić czoła tylko niejasnej, złagodzonej prawdzie.

Thomas nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale wstrzymał oddech. Czułam bicie jego serca i pulsującą w nim krew.

Wtedy go puściłam i spojrzałam w jego niespokojne, zmartwione oczy.

– Leki indukcyjne – wyjaśniłam powoli z obawy, że załamie mi się głos.

Innego dnia zerwałam się od biurka i pobiegłam go przywitać, zaskoczyć wieściami. Wieściami, na które czekaliśmy.

Ale gdy tylko zobaczył moją twarz, coś się w nim zmieniło. Było to bardziej skomplikowane niż jakaś pojedyncza emocja. Na jego twarzy widać było rozpacz, panikę i nadzieję.

Oczywiście nic takiego nie powiedział, gdy mu to przekazałam. Krzyknął z radości, podniósł mnie i okręcił. Położył dłoń na moim brzuchu. Uparł się, żebyśmy poszli na kolację i zamówili moje ulubione jedzenie. Powtarzał, że to najlepsza wiadomość, po prostu najlepsza.

I to było najlepsze, to było po prostu najlepsze.

Powtarzaliśmy sobie, że mieliśmy szczęście. I mówiliśmy tak, bo to była prawda.

Badania wykryły komórki przedrakowe odpowiednio wcześniej i operacja przebiegła pomyślnie. Szybko doszłam do siebie.

Te słowa sprawiają, że brzmi to tak, jakby była nad tym jakaś kontrola. Zdaję sobie z tego sprawę i to mi się podoba.

Czasem w pierwszych chwilach po przebudzeniu zapominałam, że jestem w ciąży, a potem przypominałam sobie o tym na nowo. Przyglądałam się sobie, szukając jakichkolwiek oznak, i gdy w tych pierwszych dniach nie mogłam żadnych znaleźć, czułam rozczarowanie, spływające po mnie jak krople deszczu.

Zanim Mimi się urodziła, wydawało nam się, że nie mamy czasu, i jednocześnie, że mamy go zbyt dużo. Nie mogłam się doczekać jej przybycia, ale było tyle do zrobienia, że popadałam w coś w rodzaju letargu.

Szwendaliśmy się razem z Thomasem po Wzorcowych Domach dłużej, niż powinniśmy, a potem sprzecaliśmy się i robiliśmy się głodni od całej tej adrenaliny i podejmowania decyzji. Kiedy zaszłam w ciążę i przyznano mi stosowny kredyt mieszkaniowy, przeprowadziliśmy się do małego domku w zachodniej dzielnicy. Był to jeden z nowszych domów z sypialniami na parterze i dużym otwartym salonem na piętrze, gdzie wpadało więcej światła. Trochę to trwało, nim wybraliśmy nieruchomość, a teraz musieliśmy nie zgadzać się już tylko co do tego, jak to miejsce urządzić.

– Jaka jest najważniejsza rzecz, jaką możemy dać temu dziecku? – spytał mnie Thomas po jednym z takich nerwowych popołudni.

– Brzmi to jak pytanie z podręcznika indukcji. Jak to było? Bezpieczeństwo, wsparcie... – zaczęłam wyliczać.

– Nie. Poważnie. Co jest najważniejsze?

– Miłość.

– Miłość. Nie rzeczy. Nie idealne łóżeczko ani najdokładniejszy monitor pracy serca. Odpowiedzią jest miłość. Nie potrzebujemy wszystkich tych rzeczy, Kit. Naprawdę. Tylko nam się tak wydaje.

– Dobrze – powiedziałam. – Miłość, nie rzeczy. Masz rację.

Potem się pocałowaliśmy i zastanawiałam się, ile minęło czasu, od kiedy robiliśmy to po raz ostatni. Zbyt dużo.

– Ale możemy kupić to krzeselko? – spytałam z ustami przy jego ramieniu.

Zamówił je tak, żeby dotarło w poniedziałek. Przyszło w wielkim pudle, które kurierzy musieli wtaszczyć po schodach na piętro do naszego salonu. W pewnym momencie doszli do wniosku, że się nie zmieści i będą musieli się z nim cofnąć, ale uparłam się, żeby je jakoś przepchnęli, zapewniając, że drobne uszkodzenia czy rozdarcia nie stanowią problemu.

Kiedy je rozpakowałam, okazało się, że nie ma powodów do obaw. Przesyłka była dobrze zabezpieczona, a w środku znajdowało się złociste krzeselko o opływowych kształtach, wypolerowane i przyjemne w dotyku.

Ustawiłam je u szczytu stołu i wyobrażałam sobie, jak będziemy jeść posiłki we troje. Wydawało się to tak realne, że przypominało bardziej wspomnienie niż marzenie. Ale gdy Thomas zobaczył stojące tam gotowe krzeselko, zmarszczył brwi.

– Nie wydaje ci się, że trochę kusisz los? – spytał.

Wstawiłam je więc do jednej z szafek i przykryłam prześcieradłem, jakby to było dzieło sztuki czekające w magazynie na wystawę.

Pierwszy raz poczułam, że moja córka się porusza, kiedy stałam w kolejce w supermarkecie. Prawie upuściłam pudełko pomidorów, które trzymałam w rękach, i podniosłam wzrok, łapiąc się za brzuch.

To nie było tak, jak się spodziewałam, jakby unosiły się bąbelki, bardziej coś w rodzaju dźwięczenia czy kuksańca, jakby Mimi chciała dać znać, że tam jest.

– Wszystko w porządku? – spytała mnie kasjerka.

– Moje dziecko właśnie się poruszyło. To... pierwszy raz. – Jakaś część mnie nie chciała mówić o tym nieznanym osobie, a inna nie potrafiła się powstrzymać.

– Nic nie może się z tym równać – powiedziała kasjerka. Zaciśnęła usta, jakby chciała powstrzymać się od uśmiechu. – Ciesz się tym, kochana. Ciesz się tym, póki trwa.

Jej oczy zaszklily się od smutku, gdy napłynęły wspomnienia. Po chwili kiwnęła głową i tym razem naprawdę się do mnie uśmiechnęła, choć był to tylko lekki, spięty i przelotny uśmiech.

Gdy widziałam falę ruchu przesuwaną się po moim brzuchu albo wydawało mi się, że widzę wyciągniętą stópkę, która mnie kopie, powtarzałam sobie, że

pójdę wreszcie zobaczyć się z Evie. Docierałam nawet na jej ulicę, ale nigdy pod jej drzwiami.

T E R A Z

Odległość dzieląca mnie od Mimi jest teraz bardzo duża, powala mnie na kolana.

– Spokojnie, spokojnie – mówi Jonah. Pomaga mi wstać i choć jest drobnej budowy, udaje mu się mnie podnieść.

Jest niższy, niż sobie wyobrażałam.

Kiedyś czułam, że wiem o tym człowieku więcej niż o sobie samej, choć gdzieś po drodze zapomniałam, że on jest prawdziwą osobą. Zapominałam, że wszyscy klienci, dla których pisałam dokumenty życia, byli prawdziwi. Dla mnie byli jak książki, które się czyta, jak historie, w których się zanurzałam i się z nich wynurzałam, jak postacie wprowadzone dla celów fabularnych.

Był nierealny. Nie z leciutkimi zmarszczkami wokół oczu. Nie ubrany w sweter z plamą z przodu, której najwyraźniej nie zauważył. Zastanawiam się, czy pobrudził go dziś przy lunchu, czy może ta plama jest tam już od jakiegoś czasu, tylko nie ma nikogo, kto by mu o tym powiedział.

Zaczynam bełkotać bez sensu:

– Moja córeczka jest w szpitalu... Moja siostra dała mi ten adres. To ty, dlaczego to jesteś ty? Przez cały ten czas pisałam...

– Jestem wielbicielem twojej pracy – przerywa mi. Jest życzliwy. Przypominam sobie, jak wspierał Genevieve, kiedy była dzieckiem.

– Dokument życia... Wiesz o mnie? Wiesz, kim jestem? Ale jaki to ma związek z Evie? Dlaczego wysłała mnie do ciebie? – Trudno mi nadażyć za własnymi myślami.

– Wszystko po kolei. – Umyślnie mówi bardzo powoli, co niemal zgrzyta w porównaniu z moimi szaleńczymi wybuchami.

– Nie wiem, dlaczego tu jestem.

Zerka na mnie i lekko przekrzywia głowę. Przypomina mi się rudzik w restauracji przy drodze.

– Twoja córka. Mimi.

– O niej też wiesz? – niemal krzyczę. – Wiesz o Mimi?!

– Dowiedziałem się, że przestałaś się zajmować dokumentacją mojego życia. Nietrudno było ustalić dlaczego.

– Coś cię z nimi łączy, prawda? Z BSR. Masz z nimi coś wspólnego. Potrzebuję twojej pomocy...

Zupełnie jakbym właśnie go nie błagała, jakbym nie próbowała desperacko go chwycić, mówi powoli:

– Skupmy się na tym, co najważniejsze. Na pewno bardzo chciałabyś się umyć.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak muszę wyglądać w jego oczach. Wciąż mam na sobie piżamę, w którą byłam ubrana, gdy dziś rano wstałam, i jestem oblepiona wymiocinami Mimi. Ale umycie się jest ostatnią rzeczą, jaką chcę w tej chwili zrobić.

– Nie mam czasu... Nie ma na to czasu. Moja córeczka, ona jest chora...

– Mówiłaś, że jest w szpitalu. Ma tam opiekę?

Nie mogę znieść, że muszę to przyznać, ale lekko kiwam głową.

– Nie jestem funkcjonariuszem BSR, Kit – mówi Jonah. Ma łagodny głos, zaczynam czuć, że mnie to usypia. – Wejdiesz do środka? Możemy jeszcze porozmawiać, jeśli chcesz. Możesz wziąć prysznic. Na pewno jesteś głodna.

Myśl o jedzeniu budzi we mnie odrazę. Nie mogę sobie wyobrazić, jak przeżuwać kolejne kęsy i je połykam. W głowie mam tylko ostatni obraz Mimi, tak maleńkiej na szpitalnym łóżku, coraz mniejszej, gdy uciekam, oddalam się od niej.

Mam ochotę krzyczeć, potrząsnąć Jonahem. Nie mam czasu na myślenie o sobie, o tym, żeby się umyć, najeść – muszę do niej wracać. Każda mijająca chwila jest kolejną z dala od niej.

Ale to moja jedyna nadzieja. Nie wiem, dlaczego tu jestem, ale wiem, że właśnie tutaj powinnam być. Potulnie idę za nim, choć w środku się we mnie kotłuje. Wewnętrznie krzyczę.

Wnętrze domu wcale nie jest takie nieskazitelne. Ewidentnie nieużywane pokoje są pełne kurzu i sprawiają wrażenie opuszczonych. Jonah prowadzi mnie na tyły domu, do dużego pomieszczenia, które kiedyś musiało wyglądać fantastycznie, a teraz nosi ślady codziennego życia. Pokazuje mi, żebym usiadła na sofie, i podaje mi butelkę wody.

– Nie, dziękuję.

– Pij – mówi tylko i dalej mi ją podsuwa. To polecenie.

Zaczynam pić głośno, wielkimi łykami. Woda ścieka mi po podbródku. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem spragniona.

– Proszę, usiądź – mówi Jonah. Znów wskazuje na sofę i jakby chciał mnie zachęcić, siada w fotelu naprzeciwko.

Dopijam butelkę wody, chociaż wcale tego nie zamierzałam.

– Moja córeczka... – zaczynam.

Jonah unosi rękę. Ten gest mnie ucisza.

– Najpierw się umyj. Przyniosę ci jakieś czyste ubrania. I zjedz coś. Nalegam.

– Muszę... – Do ust ciśnie mi się wszystko to, co mogę stracić.

– Przez cały dzień gnałaś z miejsca na miejsce, prawda? – pyta Jonah. – Pewnie jesteś zmęczona?

– Jestem... Jestem...

– Jeśli Mimi jest chora, tak jak mówisz, to jest w najlepszym miejscu, w jakim może być. Nic nie możesz zrobić. Musisz pozwolić lekarzom wykonywać ich pracę.

– Mimi jest w szpitalu – powtarzam. Gdy wypowiadam to na głos, zastanawiam się, co tu jeszcze robię, skoro Jonah nie może jej uratować. – Powinnam do niej wracać... Jeśli nie możesz nam pomóc, muszę jechać.

Znów uderza mnie wspomnienie ostatniego spojrzenia na nią, otoczoną lekarzami, przypominam sobie jej chude nóżki i rączki z podłączonym rurkami, kroplówkami i urządzeniami. Niemal ginęła wśród tego wszystkiego.

– Tego nie powiedziałem – mówi łagodnie Jonah. – Nigdy nie mówiłem, że wam nie pomogę.

W T E D Y

Pierwszego dnia nie chciałam odłożyć Mimi do łóżeczka. Miały jeszcze nadejść dni, gdy oddałabym niemal wszystko, by móc ją tam odłożyć, ale w tamtym momencie nie chciałam wypuścić jej z objęć. Oparła główkę w zgięciu mojego łokcia, wtulając we mnie policzek. Jej zadarty nosek ocierał się o moją skórę. Byłam tym zachwycona.

Zachwycało mnie w niej wszystko.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie się ruszyć.

Thomas siedział, obejmując mnie ramieniem, balansując z nami na skraju szpitalnego łóżka. Miałam wrażenie, że jego ramiona były na tyle wielkie, by nas w nich całkiem zamknąć. Siedzieliśmy tak, otuleni sobą jak matrioszki, urzeczeni i znieruchomiali.

Potem drzwi się otworzyły i zobaczyłam stojącą w nich Evie. Zawahała się, niepewna, czy wejść, czy się cofnąć. Pielęgniarka, która przyszła sprawdzić, co u Mimi, cmoknęła z niezadowolenia, bo moja siostra stała jej na drodze.

– Evie! Przyszłaś! – zawołałam.

Wydawała się bardziej kanciasta, niż gdy widziałyśmy się ostatnio, ponad rok temu. I jakby starsza. Podeszła do nas sztywnym krokiem.

– Mogłaby pani wrócić za pięć minut? – spytałam pielęgniarkę.

– Trzeba to zrobić teraz – odparła ostrym tonem, ale zaraz złagodniała i dodała: – To potrwa tylko chwilkę.

Evie spojrzała na mnie, unosząc brwi, ale powiedziała, że wróci. Zastanawiałam się, czy to robi, ale faktycznie zjawiła się chwilę później. Wyginała ręce i bawiła się pierścionkami na palcach. Nie była w stanie spokojnie ustać.

– Jest tu ktoś, kto chciałby cię poznać – powiedziałam do zawiniątka z kocyków z delikatną twarzyczką Mimi pośrodku. – To twoja ciocia Evie.

Evie zrobiła krok w naszą stronę, ale nie pochyliła się, tak jak się spodziewałam. Z miejsca, w którym stała, nie mogła dobrze widzieć małej.

– Słuchajcie, może pójde i przyniosę dla wszystkich coś do picia? – zaproponował Thomas. Wskazał ruchem oczu na Evie. Jego wzrok był pełen nadziei.

Gdy zostałyśmy same, z początku żadna z nas się nie odzywała.

– Dlaczego nie przyprowadziłaś Jakoba? – spytałam w końcu.

– Małym dzieciom nie wolno wchodzić na porodówkę – odparła mechanicznie.

Mruknęłam coś, bo powinnam o tym wiedzieć.

Zapadła cisza.

– Jak się czujesz? – spytała Evie.

– Dobrze. Nic mi nie jest – odparłam. W duchu aż się wzdrygnęłam. Rozmawiałyśmy jak uprzejme nieznajome. Dlaczego nie mogłam jej powiedzieć, co naprawdę czuję? Że jestem podekscytowana, przerażona, obolała, pełna uniesienia, niespokojna i wykończona? – Co u ciebie?

– W porządku. Jakob naprawdę świetnie się rozwija.

– Na pewno bardzo urósł – mruknęłam. – Pewnie bym go nawet nie poznała. – To miał być żart, ale uderzył w niewłaściwą stronę, zabrzmiał jak przytyk. Znów zapadło milczenie.

– Chcesz ją potrzymać? – spytałam, unosząc córkę. Desperacko pragnęłam, żeby zniknął ten pełen napięcia dystans między nami. Mała się skrzywiła i nieoczekiwanie wyciągnęła rączkę.

– Lepiej nie. Nie myłam rąk, a Jakob w tej chwili wszystkiego dotyka.

– Jest tu jakiś antybakteryjny... – urwałam, widząc, że Evie kręci głową. – Daliśmy jej na imię Mimi.

– Mimi – powtórzyła. – Po mamie – mruknęła.

– Tak – potwierdziłam. Tak ją nazywali w dzieciństwie, ale gdy dorosła, przestali używać tego imienia.

Evie nie kryła wyrazu dezaprobaty na twarzy.

– Co? Co jest nie tak? – Do oczu napłynęły mi łzy. – Dlaczego nie możesz po prostu cieszyć się z mojego szczęścia?

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nie byłaś pewna, czy jesteś gotowa, by zostać matką, a teraz... teraz...

– Co? Teraz nią jestem. Co ci się w tym nie podoba?

– Wiesz, jak to się może skończyć. Naprawdę tego chcesz? Będziesz w stanie to wszystko znieść?

– Jesteś teraz funkcjonariuszką BSR? O to chodzi?

– Nie, nie o to chodzi. Rozmawiam z tobą jak siostra.

– Nieprawda. Dawniej nigdy byś mnie tak nie potraktowała. Nie jesteś taka, jak kiedyś, nie jesteś... – Gdy to powiedziałam, potykając się o własne słowa, uświadomiłam sobie, że to była prawda. – Nie jesteś już moją siostrą.

W tym momencie wrócił Thomas, ze skupieniem na twarzy ostrożnie balansował trzema kubkami.

– Lepiej już pójdę – powiedziała Evie na jego widok.

– Nie idź – zaprotestował. – Zostań i napij się z nami.

– Muszę iść – rzuciła po prostu. Nie próbowała podać żadnej wymówki.

Była już prawie przy drzwiach, gdy odwróciła się do nas.

– Przepraszam, jeśli nie to chciałaś usłyszeć – zwróciła się do mnie. – Po prostu naprawdę trzeba było pomyśleć wcześniej o ekstrakcjach...

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie powinniśmy byli jej mieć.

Słowa padły powoli, z trudem.

Jakby w odpowiedzi Evie odwróciła się i wyszła z pokoju.

Jeszcze długo po tym, jak zniknęła, wydawało mi się, że wciąż słyszę odgłos jej kroków na podłodze.

T E R A Z

Słyszę w korytarzu kroki Jonaha.

Puka delikatnie do drzwi łazienki.

– Masz tu ubrania i ręcznik, weź, kiedy już będziesz gotowa.

Na zewnątrz znajduję luźne szare spodnie od dresu, znoszoną miękką bawełnianą koszulę i poskładany ogromny ręcznik.

Światło w łazience wydaje się zbyt ostre.

Zdejmując płaszcz i ściągając z siebie śmierdzącą piżamę, spoglądam w stronę lustra. Badam każdy beznadziejny szczegół swojego odbicia. Szarą skórę, piersi, które obwisły pod ciężarem bezużytecznego mleka. Cienie pod oczami są niemal fioletowe, a twarz zmęczona i wychudzona. Włosy mam skołtunione i matowe. Niektóre kosmyki sterczą, posklejane zaschniętymi wymiocinami Mimi.

Łapię w lustrze własne spojrzenie. Moje oczy błyszczą wściekle. Płoną.

W T E D Y

Spojrzenie jasnych oczu Mimi utkwione jest w moich.

– Jesteście profesjonalistkami, dziewczyny – powiedziała mi Santa, gdy kierowałam usta córeczki do ciemnego sutka.

Karmienie piersią z początku wcale nie wydawało mi się naturalne, ale Mimi natychmiast to załapała, jakby to ona była nauczycielką, a ja jej uczennicą. Było coś, co mnie drażniło w tym, jak desperacko, łapczywie wyciągała usta do moich piersi, jednak mimo to pozwalałam jej sobą kierować. Z czasem ból i dyskomfort osłabły i teraz robiła to naprawdę po mistrzowsku.

– Kontaktowało się z wami BSR? – spytała swobodnie Santa.

– Przychodzą na domowe wizyty. Kolejną mamy w tym tygodniu. Do tego dochodzą normalne badania i wysyłanie danych – odparłam, siląc się na lekki ton. Nie chciałam za wiele myśleć o wszystkim, co musieliśmy robić. – Ale limit NSR-ów utrzymuje się na stałym poziomie. Wciąż trzeba dostać dziesięć, żeby doszło do ekstrakcji.

Trudno w to uwierzyć, ale od tamtego dnia w szpitalu upłynęły trzy miesiące. Co rano i co wieczór wypowiadałam coś w rodzaju modlitwy, żebyśmy nie dostali NSR-u, i jak dotąd żadnego nie było.

Jak dotąd.

– Aż mam wyrzuty sumienia – przyznałam. – Po prostu mamy mnóstwo szczęścia. To wszystko.

– Świetnie sobie radzicie – zapewniła mnie Santa. – Ciesz się tym.

Czasem przyłapywałam się na tym, że wspominam, jak to było, zanim ją miałam, jak spędzałam dzień na pisaniu, czyszczeniu plików dźwiękowych, żeby odtworzyć rozmowę, jak pozwalałam, by moje myśli kręciły się wokół różnych drobiazgów i pomysłów. Teraz miałam wrażenie, jakby to była jakaś odległa

kraina, przyjemna i zamglona, znajdująca się zbyt daleko, by móc dostrzec szczegóły. Tęskniłam za tym, ale też wiedziałam, że nie pora teraz na to.

Choć nie dostaliśmy żadnego NSR-u, w pierwszych miesiącach monitorowano nas tak dokładnie, że były dni, kiedy kręciło mi się od tego w głowie. Wizyty u lekarzy i badania, sama ilość danych, które musieliśmy zbierać i przekazywać BSR, wszystko to z dnia na dzień się rozrastało. Od czasu, gdy Evie urodziła Jakoba, procedury się zmieniły, a nadzór stał się intensywniejszy.

Oprócz pracy, jaka wiązała się z opieką nad noworodkiem, ugiinałam się pod tą ciągłą presją, choć wiedziałam, że nie wolno mi się załamać. Byłam ostatnim filarem, zwietrzałym, wyblakłym, popękany i zniszczonym, ale wciąż podtrzymującym ogromny ciężar. Thomas pomagał mi, ile mógł, ale teraz, gdy tylko on pracował, w zwykłe dni był z nami zazwyczaj wtedy, gdy Mimi leżała już w łóżeczku. Widziałam nas – matki – czekające w kolejkach na badania BSR, wprowadzające pory karmienia do mobilnych sfer, chodzące na specjalne zajęcia, zalecane w celu nauki mowy, rozwoju społecznego i emocjonalnego, z głowami pochylonymi nad naszymi dziećmi. Nie miałyśmy czasu ani sił podnieść wzroku. Tak naprawdę nie dostrzegaliśmy się nawzajem.

Miałam obsesję na punkcie Mimi i wszystkiego, co muszę przy niej robić. Nie było miejsca na nic więcej.

Szykowaliśmy się, żeby po raz pierwszy zostawić z kimś córkę. Podczas naszej nieobecności miała się nią zajmować Marina, bliska przyjaciółka Santy.

– Wrócimy najszybciej, jak się da – powiedziałam jej. – I będziemy mieli przy sobie mobilne sfery. Na wypadek gdyby były jakieś problemy.

Powtarzałam sobie, że to będzie przecież tylko kilka godzin.

Przypominałam sobie, że Marina jest doświadczona i kompetentna. Miała dorosłego syna w naszym wieku. Wiedziałam, że Mimi będzie bezpieczna pod jej opieką.

Ale po prostu nie chciałam wychodzić. Nie chciałam zostawiać córeczki, z którą nie rozstawałam się od chwili jej poczęcia. Odkąd się urodziła, poświęcałam jej każdą cząstkę swojej energii i nie potrafiłam się otrząsnąć z tego trybu. Wybieraliśmy się na wernisaz Santy. Miało być „fajnie”. Wszyscy mi to

powtarzali, snując za moimi plecami plany zostawienia Mimi na ten wieczór. Próbowałam wyjaśniać, że jest na to za wcześnie, że ona nie jest na to gotowa, ja tym bardziej, ale zagłuszyły mnie ich głosy, ich argumenty i nie potrafiłam się przez nie przebić.

– Możemy wychodzić – oświadczył Thomas z uśmiechem, którego nie byłam w stanie odwzajemnić. Przypomniałam sobie, że dla niego to coś innego, że przyzwyczyił się do zostawiania jej, kiedy wychodził do pacy.

– Tylko ostatni raz do niej zajrzę – powiedziałam.

Weszłam do jej pokoju. Lampka rzucała brzoskwinowożółte światło i widziałam zarysy jej łóżeczka. Lekko poruszała rączkami, sprawdzając, co potrafią i jakie to uczucie. Gaworzyła. Nie śmiałam do niej podejść. Byłam pewna, że jeśli zobaczę jej twarz, za nic nie będę w stanie wyjść z domu.

Gdy przechodziliśmy przez ulicę do stacji metra, zirytowało mnie coś w tym, w jaki sposób Thomas wziął mnie za rękę. Jakby mnie poganiał albo coś w tym stylu.

– Nie ciągnij mnie. Zaczyna się dopiero o siódmej – burknęłam na niego. Ciągłe mi się to przytrafiało, odkąd urodziła się Mimi: myślałam coś, a potem uświadamiałam sobie, że powiedziałam to na głos.

Spóźniliśmy się jednak i weszliśmy, gdy Santa była w połowie mowy. Wspięła się na krzesło, żeby wszystkich widzieć, i gdy zobaczyła, jak wślizgujemy się do środka, przerwała i posłała nam całusa.

– Właśnie zjawili się mój syn i synowa – poinformowała gości, jakby przeproszała ich za to, że na chwilę przerwała. – Po tym, jak położyli do łóżka moją trzymiesięczną wnuczkę!

Na tyłach sali rozległy się radosne okrzyki. Ktoś głośno gwizdał, ludzie klaskali, połączeni ogarniającą wszystkich wesołością.

Popatrzyli na Santę, a potem znów na nas. Rozpromienione, uśmiechnięte twarze, które w tamtych chwilach wydawały się do siebie tak podobne.

– Ale wejście – szepnął mi do ucha Thomas.

W przeciwieństwie do mnie nie zauważył kilku osób, które nie były braw.

Osób, które utkwiły w nas wzrok i przyglądały się nam krytycznie.

Ci ludzie na pewno się zastanawiali, dlaczego nie zostaliśmy w domu z córeczką.

Ci ludzie mogli być funkcjonariuszami BSR.

T E R A Z

„Nie jestem funkcjonariuszem BSR, Kit”.

Przypominam sobie te słowa, gdy schodzę na dół pachnąca mydłem, z mokrymi włosami. Nie potwierdził swoich powiązań z BSR ani im nie zaprzeczył, ale przyznał: „Nie jestem funkcjonariuszem BSR, Kit”.

Zastaję go w kuchni; gotuje. Lubi gotować, to o nim wiem.

Obserwuję go przez chwilę, nim zdaje sobie sprawę, że stoję za nim. Przygląda się czemuś w rondelku na płycie kuchennej. Potem dodaje odrobinę bursztynowej oliwy z oliwek i szczyptę kryształków soli, które miażdży na proszek między kciukiem a palcem wskazującym.

Porusza się szybko, schyla się do szafki po opakowanie makaronu i odmierza właściwą ilość na wadze. We wszystkim, co robi, jest metodyczny i wyważony, to również o nim wiem. Potem odwraca się w moją stronę.

– Pewnie umierasz z głodu – mówi. – Wyglądasz, jakbyś nie jadła nic porządnego od miesiąca.

Mamroczę coś pod nosem. Nie jest to odpowiedź ani potwierdzenie. Nawet nie zdaje sobie sprawy, że wypowiadam na głos jej imię.

– Mimi. – To słowo jest jak płatek na moich ustach.

– Najpierw zjedz. Potem porozmawiamy – mówi Jonah.

Z butelki, którą wyjmuje z lodówki, nalewa do szklanki gazowaną wodę i podsuwa w moją stronę miseczkę wielkich oliwek. Jego oczy błyszczą, mają ciekawy kolor, między szarością a zielenią, podobny do tych lśniących oliwek.

– Jedz – powtarza.

– Ale BSR... – zaczynam.

– Nic nie możemy na to poradzić, prawda?

– Ale mówiłeś, że możesz mi pomóc.

– Chcesz ją zatrzymać. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób możesz ją zatrzymać – mówi powoli Jonah.

– Oczywiście. Zrobiłabym... zrobiłabym wszystko. – Łamie mi się głos. Zastanawiam się, czy wyglądam tak, jak brzmię. – Przysłała mnie tu moja siostra. Mówiła, że czegoś się dowiedziała. Czegoś, o czym nie chciała mi powiedzieć, a dzięki czemu odzyskała synka... Od nich. A ty... ty jesteś z nimi jakoś związany, prawda? To znaczy, nie otwarcie, nie wprost, ale widziałam kiedyś, jak czytasz jakieś dokumenty BSR...

Jonah mi się przygląda. Patrzy mi prosto w oczy. Też na niego patrzę, jakby to była jakaś próba. Potem powtarza:

– Najpierw zjedz. – I przykręca kuchenkę, żeby woda nie wykipiiała.

Próbuję usiąść na jednym z taboretów. Siadam na jednej ręce, a drugą przyciskam do ust, bo czuję, że wszystko się we mnie kotłuje i zaraz mogę wykipieć jak ta gotująca się woda. Jak mam tu spokojnie czekać, skoro nie wiem, czy ten człowiek nam pomoże? Zdaję sobie jednak sprawę, że jest ostatnią osobą, do której się mogę zwrócić – nie mam dokąd uciekać, nie mam innych możliwości. Nie mogę go rozzłościć czy zirytować. Nie mogę naciskać ani prawić mu kazań. Mogę tylko wepchnąć sobie do ust pięść, żeby nie wrzeszczeć. Mogę tylko siedzieć na swojej ręce, żeby stąd nie uciec.

Gdy makaron jest już gotowy, Jonah dodaje do niego śmietany, pieprzu i wędzonego łososia. Dorzuca spiczaste liście rukoli i podsuwa mi miseczkę oraz widelec.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mam to zjeść, ale gdy zaczynam, jest jak z tą butelką wody, apetyt się pojawia. Czuję, że tego mi trzeba. A po chwili widelec wydaje się już za mały. Wpycham do ust wielkie ilości jedzenia i muszę intensywnie przeżuwać, by nadażyć to wszystko przełykać.

Jonah z czymś w rodzaju dumy obserwuje, jak jem. Siada na taborecie naprzeciwko.

Odzywa się, gdy wybieram z miseczki ostatnią nitkę makaronu:

– Myślisz, że jesteś dobrą matką?

Przestaję jeść. Widelec z brzękiem wpada do miseczki.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy pogodziłam się z tym, że to przeze mnie groziło nam, że ją stracimy. Analizując każdy kolejny NSR, dochodziłam do

wniosku, że to ja zrobiłam coś nie tak. Codziennie dawano nam nową szansę, żebyśmy poradzili sobie lepiej, ale zmarnowałam ich zbyt wiele.

Biorąc pod uwagę te NSR-y, nie jestem pewna, czy jestem dobrą matką. Zostałam zaprogramowana, żeby w sobie wątpić, analizować wszystko, co robię, wpadać w obsesję na punkcie tego, co mogłabym zrobić lepiej. Z każdą kolejną interwencją BSR coraz częściej zadawałam sobie pytanie, czy jestem wystarczająco dobra.

Teraz, po wszystkim, co się stało, niewiele więcej mogę z siebie dać. Nie jestem pewna, jaka powinnam być.

Jonah dalej wpatruje się w moją twarz. Nie wierzę, że mógłby machnąć czarodziejską różdżką i wymazać wszystko, co się stało. Przecież nie będzie w stanie zmienić tego, co czeka moją rodzinę, prawda? Ale on dalej czegoś we mnie szuka i choć czuję, że jestem u kresu, że już do nikogo nie mogę się zwrócić, sama szukam tego w sobie. Mówię:

– Kocham ją. Chcę dla niej wszystkiego, co najlepsze. Chcę uczyć ją świata. Chcę, żeby poznała radość i smutek, żeby czuła. Chcę ją chronić i chcę rozmawiać z nią na różne tematy. Chcę zrozumieć jej spojrzenie na różne rzeczy. Chcę zobaczyć, jaką osobą się stanie. W tej chwili to wszystko, co wiem.

Czy to wystarczy? Czy to jest dobra matka?

Nie przestawałam myśleć o Mimi, odkąd przekazaliśmy ją tym ludziom, którzy mieli wywieźć ją z kraju, odkąd zniknęła mi oczu.

Zastanawiam się, gdzie teraz jest. Wciąż w szpitalu? Czy została przeniesiona do ośrodka BSR? Kogo przydzielono do opieki nad nią? Czy ten ktoś wie, że uwielbia kaczki? Czy delikatnie podgrzewa jej mleko, tak żeby było prawie chłodne, bo tylko takie lubi?

Evie była jedyną osobą, o której słyszałam, że naprawdę odzyskała dziecko. W sferach pojawiło się jeszcze kilka filmików na ten temat – ponownie połączone rodziny spacerujące przy słonecznej pogodzie po lesie, ich szerokie uśmiechy – ale Jakob był jedynym dzieckiem spoza świata przedstawionego w sferach, o którym wiem, że wrócił.

Myślę o Mimi leżącej na sterylnym szpitalnym łóżku, otoczonej rurkami, przewodami i obcymi ludźmi. Na pewno jest przerażona. Na pewno zastanawia się, gdzie jestem.

– Skąd wiesz, kim jestem? – pytam nagle. – Klienci zamawiający dokumenty życia są przekonani, że wszystkim zajmuje się komputer.

– To dla mnie ważne, by dowiadywać się wszystkiego o ludziach, którzy pojawiają się w moim życiu – odpowiada Jonah. – Kiedy zaczęto przygotowywać mój dokument, nie musiałem długo szukać, by dowiedzieć się, jak to działa. Już prawie od nich odszedłem, ale wtedy znaleźli ciebie. Tak jak mówiłem, od jakiegoś czasu podziwiam twoją pracę. Masz oko do szczegółów. To, że zobaczyłaś, jak czytam dokumenty BSR, dobrze to ilustruje. Chodzi o tamtą rozmowę z Genevieve, podczas której powiedziała mi, że chce założyć rodzinę. Słyszałaś to, prawda? A potem dostrzegłaś dokumenty, które czytałem i zobaczyłaś logo BSR?

Kiwam głową, przypominając sobie stąpanie łap szczeniaka po kuchennej podłodze i szum z garnka stojącego na kuchence.

– Przez krótki czas miałem na swojej pracosferze źle wybrane ustawienia do dokumentu życia. Wątpię, czy zauważyłabyś cokolwiek, gdyby nie tamta rozmowa. To dlatego włączyła się kamera. Gdyby nie wieści od Genevieve, nie dopuściłbym do tego, ale cóż... jest, jak jest. Chcę ci pomóc, Kit. Podjąłem decyzję. Mogę pomóc ci zatrzymać córeczkę.

W T E D Y

Z przyjemnością traciłam godziny dla Mimi.

Stałam się zachłanną kolekcjonerką wszystkich związanych z nią szczegółów.

Była czujna jak Thomas.

Lubiłam patrzeć, co interesuje ją w świecie. To zawsze były jakieś najdrobniejsze szczegóły, których nigdy bym się nie domyśliła, nigdy bym nie zauważyła. Dotyk srebrnej gałki szafki w salonie. Postrzępiona dziura w dywanie. Czasem, kiedy byliśmy na zewnątrz, nagle spoglądała w górę, ale gdy podnosiłam wzrok, widziałam tylko puste niebo albo chmury stapiające się w jedną ścianę bieli. Jednak dla Mimi to było coś spektakularnego, coś, nad czym warto się zastanowić.

– Jest taka podobna do pani – mówili mi obcy ludzie, zaglądając do wózka, chociaż mnie wydawała się zupełnie inna.

Była przyjemnie spokojna.

Lubiła, kiedy padał deszcz. I nie chodziło o przebywanie na deszczu, tylko o jego odgłos, kiedy siedziała tuż przy oknie. Nasłuchiwała go, jakby to było coś, czego można dotknąć.

Potrafiła spędzać czas sama ze sobą i wydawało się, że sprawia jej to taką samą przyjemność jak zabawa z Thomasem czy ze mną. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i mnie szukała, ale wcześniej wydawała się całkiem pochłonięta tym, co robiła, jakby rytm tej czynności ją uspokajał.

Zawsze byłam przy niej, obserwowałam i czekałam, gotowa na chwilę, kiedy znów będzie chciała się ze mną bawić.

Nie lubiła spać. Walczyła z tym za każdym razem, kiedy kładłam ją do łóżeczka. Wiła się, choć była zmęczona, a potem nagle zasypiała w jednej chwili.

Co jeszcze mogę wam o niej powiedzieć?

Że niełatwo było sprawić, żeby się uśmiechnęła?

Że potrafiła wyczuć, kiedy byliśmy zdenerwowani, chociaż nie zdradzaliśmy się ani jednym słowem?

Że potrafiła szybko odkryć, gdzie w pomieszczeniu są drzwi?

Że nie chciała pić odciągniętego mleka z butelki, chyba że leciutko je podgrzałam?

Fascynowała mnie. Nie byłam przygotowana na to, jak bardzo ją pokocham. Nawet jeśli nie spałam wiele nocy z rzędu, nawet jeśli wszystko w moim ciele domagało się snu, to gdy słyszałam jej krzyk, nie istniało nic, co mogłoby mnie powstrzymać, bym do niej pobiegła. Ale przez cały czas, nawet gdy byłam taka pewna tego, kim jestem, co robię, jak uciszyć jej płacz, jak ją kołysać, żeby się uspokoiła, dręczyły mnie wątpliwości. W niektóre noce, kiedy nie chciała zasnąć w swoim łóżeczku, zabierałam ją do nas. Gdy tylko otulałam ją swoim ciałem, zasypiała. Część mnie nie chciała tego robić, wiedziałam, że z miejsca dostalibyśmy za to NSR. BSR było zdecydowanie przeciwne zabieraniu dziecka do łóżka. Ale inna część mnie była po prostu wykończona. Zrobiłabym wszystko, żeby ją pocieszyć, i nie potrafiłam dokonać logicznego wyboru. Gdzieś w głębi mnie był jeszcze jeden głos, który wiedział, że akurat teraz tego właśnie potrzebowała: przez te kilka godzin być blisko mnie. Wyczuwałam, że Thomas tego nie pochwała, ale gdy go o to pytałam, zawsze zaprzeczał, mówił tylko, że się martwi, że nam to wejdzie w nawyk. I ja też się martwiłam. Przytłaczały mnie te wszystkie sprzeczne sygnały, emocje i zmartwienia, choć tak naprawdę wiedziałam, że czasem potrzebowała po prostu mojej bliskości. Ale cieszyłam się, gdy w kolejne noce znów zasypiała w swoim łóżeczku.

W taki sam sposób, w jaki kiedyś, na początku, ją sobie wyobraziłam, teraz, gdy na mnie zerkiała, zdarzało mi się ją widzieć długonogą i piękną. Z włosami jak grzywa, o ciemnych, mądrych oczach. Wyobrażałam sobie, jak śmieje się z przyjaciółmi z jakiegoś dowcipu, którego bym nie zrozumiała. Potrafiłam zobaczyć, jak tworzy coś, co było tylko jej.

Byłam jej wygłodniała. Wygłodniała, by zobaczyć, jak staje się sobą.

Wygłodniała w taki sposób, że później sobie uświadomiłam ten czający się gdzieś we mnie strach, że nie będzie mi dane zobaczyć, jak dorasta.

Wydawało się nieprawdopodobne, że przetrwalimy pierwsze miesiące bez żadnego NSR-u, ale tak właśnie było. Tak było. Data jej pierwszych urodzin była wyryta w mojej głowie. Wiedziałam, że gdy skończy dwanaście miesięcy, najprawdopodobniej nie zostanie już poddana ekstrakcji. Każdy dzień, który nas do tego przybliżał, wydawał się cudem. Po Tii i Jakobie byłam tak wyczulona na BSR, że widziałam funkcjonariuszy wszędzie. Planowałam wszystko, co robiłam. Szłam po cienkiej linii i czekałam na upadek, nie czując podekscytowania, że jestem w górze, że potrafię balansować na zawrotnej wysokości.

Często przylapywałam się też na tym, że szukam Evie. Jeśli w pobliżu był ktoś ciemnowłosy, instynktownie odwracałam głowę w jego stronę. Martwiła mnie myśl, że to ona może być tą, która zada nam cios poprzez NSR.

Jednak pewnego dnia Evie zadzwoniła, by mnie poinformować, że ona i Jakob wyprowadzają się na północ w związku z jej pracą. Dostała awans i teraz było ją stać na życie poza dzielnicami. To była drętwa, niezręczna rozmowa – żadnych przeprosin i niewiele emocji.

– Nasz nowy dom jest położony zupełnie na uboczu. Naszym jedynym sąsiadem jest stocznia jachtowa, dziesięć minut spacerem od nas.

Udałam lekkie zainteresowanie i oparłam się pokusie, by spytać ją, dlaczego nie interesuje się Mimi. Poczułam ulgę, gdy dowiedziałam się, że wyprowadza się tak daleko. Zastanawiałam się, czy teraz przestanę oglądać się przez ramię.

Nie przestałam.

Kiedy Mimi skończyła osiem miesięcy, wprowadzono pierwszą zmianę w przepisach BSR. Zmniejszono limit NSR-ów. Znowy wynosił dziewięć.

Odbierano szanse, zamiast je dawać.

Z początku nie przejmowaliśmy się tym specjalnie. Uważaliśmy, że najprawdopodobniej zostanie tak jak dotąd. Nie było realnego powodu do obaw. Bądź co bądź nie dostaliśmy żadnego NSR-u, więc czemu mielibyśmy dostać go teraz, gdy zmieniono próg?

Mimi złapała wirusa grypy żołądkowej, który kompletnie ją rozłożył, ale wyzdrowiała na tyle szybko, że nie zaniepokoiło nas to za bardzo. Przedtem jednak nie chorowała i musieliśmy zgłosić ten fakt do BSR. Zrobiliśmy to i choć

przez chwilę zastanawiałam się, jak mogą na to zareagować, powtarzałam sobie, że dzieci czasem chorują i że wszystko zrobiliśmy dobrze, zgodnie z zaleceniami.

Wtedy byliśmy pewni siebie, niemal zuchwali.

Ubrałam Mimi w biało-niebieski płaszczek w paski, który podarowała jej Santa, i wybrałyśmy się do parku nakarmić kaczki. Na tym etapie życia właśnie to lubiła robić najbardziej.

Uwielbiałam te jej pasje, które trwały dłużej i wydawały się bardziej ją angażować niż większość dziecięcych zachcianek.

Interesowało ją nie tyle karmienie ptaków, co obserwowanie, jak jedzą. Gulgotała, widząc, jak szukają czegoś do jedzenia. Wstrzymywała oddech i głośniejsze wciągała powietrze, obserwując, która kaczka pierwsza dopadnie pokarmu. To była scena, dramat polegający na tym, kto coś dostanie, a kto nie.

Na początku zawsze stałam obok jej wózka, potem cofałam się o kilka kroków, tupałam nogami, żeby się rozgrzać, czasem sugerowałam, że pora już wracać, i czekałam, aż straci zainteresowanie kaczkami.

Ale nigdy się tego nie doczekałam. Zawsze to ja musiałam ogłaszać koniec zabawy. Thomas próbował ją kiedyś przeczekać, ale nie wracali przez ponad dwie godziny, więc w końcu po nich wyszłam i ogłosiłam koniec eksperymentu, bo przyszła pora na kolację.

Liczyłam na to, że zajrzemy do sklepów i kupimy parę rzeczy, ale Mimi była jak oczarowana, więc stałam przy niej i mówiłam, że niedługo musimy się zbierać, że możemy tu wrócić jutro.

Oczywiście nie chciała się ruszyć. Oczywiście nie chciała wracać.

– Posłuchaj, Mimi – powiedziałam. – Może kupimy jakieś jedzenie dla kaczek? Wybierzemy dla nich coś smacznego w sklepie. I może też coś dla nas, co ty na to?

Myślałam, że jeśli uda mi się na dłuższy czas odciągnąć ją od stawu, zapomni o kaczkach. Że jeśli olśnią ją regały i półki w małym sklepiku na końcu drogi, straci zainteresowanie ptakami.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, byłam niemal pewna, że zrozumiała, co próbuję zrobić. „Nie nabierzesz mnie” – wydawało się mówić to spojrzenie.

Zacisnęła trochę mocniej paluszki na ramie wózka, aż pobieleły jej knykcie. Obejrzała się na kaczkę.

Jedną z nich ścigały właśnie pozostałe. Ptak się otrząsnął i z oburzeniem nastroszył piórka, ale płynął dalej z wyciągniętym dziobem, by znaleźć się poza zasięgiem towarzyszy.

– Jak myślisz, Mimi? – spróbowałam jeszcze raz. – Co powinniśmy kupić kacuzskom? Może jakieś batoniki z ziarnami? Albo jabłko? Jabłko może im zasmakować.

Zamiast jej odpowiedzi ciszę wypełniały moje słowa.

Sięgnęłam do jej paluszków i zaczęłam odciągać je od ramy wózka, aż w końcu trzymałam jej dłoń w swojej. Była zmarznięta. Szukałam w kieszeniach jej rękawiczek. Nie znalazłam ich i zaczęłam robić sobie wyrzuty, że o nich zapomniałam.

Kiedy zasłoniłam Mimi staw, zaczęła marudzić. Wyszarpnęła rękę.

– Daj spokój, Mimi. Tatuś już na nas czeka. Pożegnajmy się z kacuzskami.

Pomachałam do nich bez przekonania.

– Pa, pa, niedługo do was wrócimy! – Miałam nadzieję, że zabrzmiało to ostatecznie i pocieszająco. Zaczęłam obracać wózek.

Przepędzona kaczka znów podpłynęła do grupy karmionej kawałek dalej przez jakąś matkę z dzieckiem. Ptaki zajęte suchym chlebem spadającym wokół jak płatki śniegu w pierwszej chwili nie zauważyły jej powrotu, ale potem ją dostrzegły i znów przegnały. Rozległo się głośne kwakanie.

– Daj spokój – powiedziałam ze śmiechem. – Zmarzniemy tutaj!

Czasem zmiany nastrojów potrafiły nią wstrząsnąć.

Zaczęłam popychać wózek w stronę jednej ze ścieżek, a Mimi wrzeszczała, szarpała się i kopała.

„Jest głodna” – pomyślałam. „I zmęczona. Nie powinnam jej była tutaj przyprowadzać w porze, kiedy powinna się zdrzemnąć i coś zjeść. Nigdy więcej” – postanowiłam.

– Już dobrze – powiedziałam, piskliwie podnosząc głos.

Mimi wrzeszczała dalej.

Ktoś klepnął mnie w ramię, ale w pierwszej chwili pomyślałam, że tylko mi się wydawało. Kto mógłby to zrobić w takiej chwili, widząc, że jestem cała

pochłonięta uspokajaniem córeczki? Ale potem znów to poczułam. Natarczywe, stanowcze klepięcie.

Odwróciłam się i zobaczyłam drobną kobietę w tweedowym ubraniu, tak opatuloną, że wydawała się przez to jeszcze mniejsza. Miała bardzo krótko obcięte siwe, spłowiałe włosy i okrągłe okulary, znad których spoglądała na mnie wnikliwie.

– Co? – wypaliłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Jej głowa odskoczyła do tyłu, jakbym ją uderzyła.

– Opaskę proszę – powiedziała. Zaakcentowała słowo „proszę”, tak jakby chciała podkreślić swoje dobre maniery.

– Moją opaskę? – spytałam głupawo.

– Na mocy jurysdykcji BSR przyznaję pani NSR o piętnastej cztery we wtorek dwudziestego drugiego września za ignorowanie płaczu dziecka. Opaska.

– Nie ignorowałam jej płaczu. Po prostu trochę się zdenerwowała, bo wychodziłyśmy z parku. Za chwilę się uspokoi.

– Zmierzyłam czas. Płakała pięć minut, a pani nie próbowała jej w żaden sposób pocieszać.

– Pięć minut?

– Jeśli takie epizody będą się powtarzać w przyszłości, mogą mieć poważny wpływ na poziom jej stresu i w konsekwencji doprowadzić do stanów lękowych i depresji w dorosłym wieku.

– Znam ten sposób myślenia – warknęłam, nie potrafiąc się powstrzymać. – Ale to nie było pięć minut. I próbowałam ją uspokoić.

– Jeśli pani chce, może się pani odwołać, ale mam nagranie, które to potwierdza, więc nie radziłabym pani tego robić. Mogłaby pani dostać kolejny NSR za brak aprobaty. To by świadczyło o braku zrozumienia.

Otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć, ale ugryzłam się w język i z niedowierzaniem wyciągnęłam rękę. Podciągnęła mi rękaw i zeskanowała cienką srebrną opaskę, a potem skierowała skaner na Mimi. Zaszumiał cicho, gdy czytywał dane z naszych opasek.

Kobieta na chwilę odwróciła uwagę Mimi, tak że przestała płakać za kaczkami. Jednak gdy znów się obejrzałam, funkcjonariuszki BSR już nie było,

a moja córeczka dalej płakała. Za nami chmara kaczek płynęła w stronę
rzuconych im kawałków chleba.

T E R A Z

Podbiegam do Jonaha.

– Zrobię wszystko. Powiedz mi, co mam robić.

Mówię poważnie. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla niej nie zrobiła.

– Twoja siostra, Evie. To ona podała ci ten adres. Nie wspomniała dlaczego? – Jonah przerywa na chwilę, a ja kręcę głową. Mówi tak cicho, że muszę wyęzzać słuch. Uświadomiłam sobie, że jego głos lekko drży, jest delikatny, jakby zniszczony czasem. – Przyjechała tu. Też tutaj była. Znalazła mnie. – Jonah lekko dotyka swoich kolan. Splata palce. – Słusznie zrobiła, nic ci nie mówiąc. Potrafię zrozumieć, dlaczego kazała ci tu przyjechać, choć ściśle mówiąc, złamała w ten sposób warunki umowy. Ale rozumiem to. I ze względu na naszą wspólną historię – wskazuje na siebie i na mnie – mogę przymknąć na to oko. Mówisz, że zrobiłabyś wszystko dla swojej córeczki? A co, gdybym ci powiedział, że możesz ją mieć, możesz ją zatrzymać, ale będziesz musiała żyć w kłamstwie? W kłamstwie, którego będziesz musiała bronić. Potrafiłabyś to zrobić?

– Oczywiście, że bym potrafiła. Zrobiłabym wszystko. Potrafiłabym.

Nagle Jonah jednym ruchem zeskakuje z taboretu. Odwraca się i oddala o kilka kroków. Dalej splata i rozplata palce za plecami, rytmicznie uderzając nimi o siebie nawzajem.

Zatrzymuje się przy oprawionym w ramkę zdjęciu przedstawiającym jego i Genevieve. Dziewczynka jest mała, ma może trzy albo cztery latka i siedzi obok niego. Jonah obejmuje ją ramieniem.

– Wiesz wszystko o Genevieve z dokumentu mojego życia.

Znów mówi tak cicho, a w jego głosie jest coś tak delikatnego, że muszę się pochylić, by go dosłyszeć.

Odwraca się w moją stronę z płonącymi oczami.

– Kocham swoją córkę. Naprawdę bardzo ją kocham.

Zapamiętała kiwam głową. Przyglądała mu się, szukała jakiegoś związku między nami.

– Jest dzieckiem z XC – mówi Jonah. I wtedy to słyszę. Lekkie drżenie, załamanie głosu. Na początku jest ledwie dostrzegalne i łatwo byłoby je przeoczyć, gdyby nie zwracało się na to uwagi. – Jest z XC, żeby matka nie musiała poddawać się indukcji. Najnowsza metoda. Zaawansowana technologia, która mogłaby wszystko zmienić. Dzięki niej można mieć dziecko, a matki nic to nie kosztuje. Gdyby XC nie było tak drogie, oferowano by je wszystkim. I może pewnego dnia tak będzie. Koniec z indukcjami. Koniec z bólem. Wyobrażasz to sobie?

Słyszę, jak wypowiada te słowa, ale czegoś w nich brakuje. Usiłuję to usłyszeć, uświadomić to sobie. Jest jakaś luka, pęknięcie, które poszerza się, wydłuża, pogłębia. A pod nim kryje się czerń.

– Ale... ale... – Jonah przestaje splatać palce. Nieruchomieją, wiotczeją. Przychodzi mi na myśl leżąca na ziemi gałąź oderwana od drzewa i zrzucone przez nią liście, czarne i nieruchome. – Ale... to nie zadziało.

Gwałtownie podnoszę wzrok.

– Nigdy nie działało. Nigdy nie było żadnego dziecka z XC.

Pozwalam, aby te słowa do mnie dotarły. „Nigdy nie było żadnego dziecka z XC”. Czuję, jak mnie kłują, dżgają natarczywie. Zrywają strup, a skóra pod nim jest obtarta, krwawiąca, obolała. Słyszę ryk w uszach, szum krwi, która się przeze mnie przetacza.

Jonah mówi dalej, jego słowa opływają mnie tak, jak woda opływa kamień.

– To po prostu nigdy nie działało. Czasami wydawało się, że są już blisko, i myślę, że pewnego dnia to się naprawdę może udać. W międzyczasie jednak zrozumieli, że ludzie szukający alternatywy dla indukcji są gotowi zapłacić.

– Ale przecież jej nie ma – mówię. Słowa wypływają z moich ust, zanim dociera do mnie, co oznaczają.

– Zgadza się. Indukcja pozostaje dziś jedynym sposobem, żeby począć dziecko.

– Czyli XC, dzieci z XC są... muszą być...

– To dzieci z ekstrakcji.

Odbiera mi dech.

Obraz Jonaha zamazuje się w moich oczach.

Zsuwam się chwiejnie z taboretu, jakbym mogła w ten sposób zbudzić się z tego koszmarnego snu. Próbuję znaleźć równowagę w rozchwianej, wypaczonej rzeczywistości, którą mi przedstawiono.

W wyobraźni widzę twarz, ale nie należy ona do Mimi. To mnie zaskakuje. Chcę o niej myśleć, chcę trzymać ją na rękach. W tej chwili chcę tylko jej. Gdybym wzięła ją na ręce, mogłabym ją przed tym uchronić. Ale pojawia się inna wizja pięknej, idealnej twarzy.

To Tia. Myślę o Tii. O jej wielkich, obramowanych długimi rzęsami oczach wpatrzonych w moje. O tym, jak widziałam ją po raz ostatni, jak jej gładkie policzki się wydeły, jak kwiliła w ramionach funkcjonariusza, który podniósł ją z podłogi. Zniknęli za rogiem, a potem słuch po nich zaginął.

– Każde dziecko poddawane ekstrakcji? Jak możesz... nadzorcy... jak ty... – Jest zbyt wiele pytań, zbyt wiele obelg, którymi chcę rzucać, zbyt wiele rozpaczy. Wpadają na siebie i piętrzą się, wypełniając moje usta odrazą.

– Jak mogę z tym żyć? Wiedząc to, co wiem? – kończy za mnie Jonah. – Zadawałem sobie to pytanie... Zadaję je sobie...

Przerywa i rozgląda się, jakby mógł znaleźć odpowiedź gdzieś tutaj. Potem dostrzega swoje zdjęcie z Genevieve z czasów, gdy uczyła się chodzić. Myślę o liczbach, o tym, że większość dzieci poddawanych ekstrakcji to niemowlęta.

– To dlatego zwykle zabierają je, kiedy są małe.

Jonah pochyla głowę na potwierdzenie.

– A te wszystkie historie o okresie inkubacji i budowie mikrobiomu...

– Tak, to część przykrywki. Wyjaśnienie dla rodziców, dlaczego ich dzieci z XC są z reguły trochę starsze. A ponieważ ich biologiczni rodzice mieszkają w dzielnicach, nie natykają się później na swoje dzieci.

Wszystko zaczęło się rozplatać, rozwijać, coraz dalej i dalej.

– Kompleksy...

– Nie istnieją.

– Mimi – szepczę. Jest już za duża, żeby uchodzić za dziecko z XC. Dokąd by trafiła, gdyby ją zabrali?

– Twoja córeczka ma mniej więcej rok, prawda?

Kiwam głową.

– W dzisiejszym świecie zawsze znajdzie się rynek na dzieci, nawet jeśli nie są już noworodkami.

– Zostałaby adoptowana? – To słowo dziwnie brzmi, kiedy je wypowiadam. Sądziłam, że w naszym społeczeństwie wyszło już z użytku.

– To się zdarza w przypadku ludzi, których nie stać na XC, ale są na tyle bogaci, żeby mieszkać poza dzielnicami.

– I myślą, że co się stało z biologicznymi rodzicami?

– Najczęściej, że matka zmarła.

Zamykam oczy. Próbuję sobie tego nie wyobrażać, ale zalewają mnie obrazy Mimi oddanej jakimś obcym ludziom, którzy każą jej mówić do siebie „mamo” i „tato”, zastanawiającej się, gdzie jesteśmy i dlaczego ją odesłaliśmy. Zastanawiam się, po jakim czasie by o nas zapomniała.

– Nie wiedziałem o tym, kiedy do mnie trafiła – szepcze Jonah. Jego spojrzenie znów wędruje do zdjęcia Genevieve. – Ale zachorowała.

– Genevieve?

– Chciałem prześledzić chorobę genetyczną, którą miała. To był jedyny sposób, by zrozumieć, z czym się mierzymy. Tak się dowiedziałem.

Wpatruję się w niego, w kształt jego ust, kiedy mówi. Zaczynam mieć poczucie, że tak naprawdę mnie tu nie ma, że moje ciało nie należy do mnie. Drzę, przenika mnie chłód.

– Czego się dowiedziałeś?

– Znasz ją jako Maię. Evie to odkryła. Kiedy przeglądała papiery waszego ojca. To w ten sposób odzyskała Jakoba. Genevieve była dzieckiem po ekstrakcji, została odebrana rodzinie... waszej rodzinie.

– Maia – szepczę. Ledwie jestem w stanie wypowiedzieć jej imię, ale skupiam wzrok na małej dziewczynce na zdjęciu. Wpatruję się gorączkowo w jej znajomą twarz. Spędziłam tyle godzin, studiując ją, szukając szczegółów do dokumentu życia Jonaha, ale teraz szukam czegoś zupełnie innego. Szukam jakiegokolwiek śladu siostry, której nigdy nie znałam.

– Nie pamiętam jej – przyznaję. – Tata mówił nam, że umarła, kiedy była malutka. Tuż przed śmiercią mojej matki.

– Nie umarła. Została poddana ekstrakcji. Była jednym z pierwszych dzieci, które zabrano. A twoja matka niedługo po tym popełniła samobójstwo. To był dla niej wielki szok, zwłaszcza że była jedną z pierwszych. Tak było naprawdę. Evie się o tym dowiedziała. Przyjechała tu spotkać się ze mną.

Próbuję poskładać słowa Jonaha, zrozumieć je. Wszystko wokół mnie wydaje się wirować: podłoga pod moimi stopami się przesuwa, ściany są zniekształcone, ustawione pod niewłaściwym kątem do podłogi.

Moja matka. Opuściła nas. To była jej decyzja. Jakiś cichy głosik mi to podpowiada. Przywołuję z pamięci zdjęcie Evie i mnie, zrobione niedługo po jej śmierci. Byłyśmy takie małe.

Tak niewiele o niej wiem. Drobne szczegóły, o których opowiadała mi Evie, wydawały mi się bardziej realne niż moje własne wspomnienia. Teraz jednak czuję się jej bliska. Zupełnie jakbym mogła dotknąć palącego bólu, który musiała czuć, gdy odebrano jej Maię. Potrafię sobie wyobrazić jej rozpacz. Jest czymś nieprzerwanym; czymś, co rzuca długie cienie na wszystko wokół.

– Popełniła samobójstwo. Bo zabrali Maię – powtarzam słabym głosem. Wciąż jednak to do mnie nie dociera. – Dlaczego Evie... Dlaczego mój tata nie...

– Wasz ojciec chciał was chronić przed prawdą. Nie chciał, żebyście dorastały, wiedząc, co zrobiła. Uważał, że tak będzie lepiej. Evie też chciała cię przed tym uchronić. Z początku.

– Ale jak się dowiedziała, że Maia to Genevieve? Tata też o tym wiedział?

– Kiedy Genevieve zachorowała, zacząłem dokładnie badać, w jaki sposób działa program XC, ale nic nie udało mi się ustalić. W końcu nawiązałem kontakt z kimś, kto dla nich pracował. W ten sposób poznałem prawdę. Ponieważ Genevieve była jedną z pierwszych, popełnili błąd. Nie zrobili jej badań przesiewowych. To, co nam się przytrafiło, teraz by się nie zdarzyło, bo uczą się na swoich błędach. Doprowadziłem do konfrontacji z BSR. Musiałem się dowiedzieć, kim byli biologiczni rodzice Genevieve. Musiałem odszukać waszą rodzinę, żeby w pełni zrozumieć jej schorzenie i dowiedzieć się, czy można je wyleczyć. Ale BSR nie chciało mi pomóc, więc sam musiałem odszukać twojego ojca. Wymagało to czasu, łapówek, pieniędzy, ale w końcu go znalazłem. Powiedziałem mu, że to w ramach badania genetycznego, które prowadzę, że waszą rodzinę wybrano, ponieważ on i wasza matka byli w stanie w naturalny

sposób począć dziecko. Dobrowolnie przekazał mi próbki. Byłyście wtedy jeszcze bardzo małe, mogłaś mieć jakieś pięć, sześć lat. Odkryłem, jak rzadki był jej przypadek. Ani ty, ani Evie nie jesteście nosicielkami. Wasz ojciec musiał zmagać się ze wszystkim, co się stało, sam wychowywał ciebie i Evie, stracił żonę i córeczkę. Zaczęliśmy rozmawiać. Przypuszczam, że nie miał nikogo więcej, komu mógłby się zwierzyć. Opowiedział mi, co się stało z Genevieve... to jest Maią... i z waszą matką.

– A ty słuchałeś. I przez cały ten czas miałeś jego córkę...

– Nie umknęło mi to, Kit. Nie jestem... z tego dumny. Ale potrzebowałem kogoś, z kim mógłbym rozmawiać. A ja potrafiłem słuchać. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– A ja... pisałam dokument twojego życia, oglądałam ją, słuchałam.

– Chciałem, żebyś była blisko – powiedział Jonah. – Żeby mieć pewność, że nie masz pojęcia, kim ona naprawdę jest.

Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć Genevieve, Maię, widzianą przez obiektyw sfery. Biegnie do mnie, pozornie jest tak blisko, ale zawsze poza moim zasięgiem.

– Wszyscy o tym wiedzą? Wszyscy... którzy mają dziecko z XC?

Jonah nie śpieszy się, żeby wypełnić ciszę.

– Nie, nie wszyscy. Ja odkryłem to tylko dlatego, że Genevieve zachorowała. Niektórzy z pozostałych też mogli do tego dojść, ale to nie jest powszechna wiedza.

– A więc oszukiwałeś tatę, słuchałeś go, pozwalałeś, by o wszystkim ci opowiadał... Czy kiedykolwiek się dowiedział, dlaczego tak się nim interesowałeś? Czy... czy... – niemal potykam się o własne słowa – poznałeś go z Maią?

– Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy, jedynie pisywaliśmy do siebie. Trwało to latami. Czasem przez dłuższy czas się nie odzywał. W miarę upływu lat pisywaliśmy do siebie coraz rzadziej. Ale byłem z nim w kontakcie do samego końca. Evie znalazła naszą korespondencję. W ten sposób odkryła, że wasza siostra została poddana ekstrakcji, i poznała prawdę o śmierci waszej matki. A potem, gdy odebrano jej Jakoba, przyjechała tutaj. Po prostu pewnego dnia się tu zjawiła. Znalazła adres w moich listach. Powiedziała, że musi się oderwać od

wszystkiego, co się działo w domu. I po tym wszystkim, co się jej przytrafiło, chciała porozmawiać z kimś, kto wiedział, przez co tak naprawdę przeszedł wasz ojciec. Opowiedziała mi o Jakobie, o śmierci waszego taty, o tym, jak się dowiedziała, co się stało z waszą matką i siostrą. Mówiła też o tobie. Mówiła, że nie chce, żebyś się dowiedziała, że chce cię przed tym chronić. Kiedy tutaj była, dostrzegła zdjęcie Genevieve. To zdjęcie.

Sięgnął po małą oprawioną w ramki fotografię niemowlęcia, stojącą na kredensie w kącie obok wielu innych zdjęć Genevieve z dzieciństwa. Przedstawiała niemowlę opatulone białymi kocykami.

– Znam je... – powiedziałam nagle. Słowa wyrwały się ze mnie. – Znam to zdjęcie, widziałam je już wcześniej.

– Twój ojciec zrobił to zdjęcie, kiedy Genevieve wciąż była z wami, tuż po tym, jak się urodziła. Przesłał mi je w jednym z listów. Kiedy się urodziła, Evie miała tylko pięć lat, więc nie pamiętała jej wyraźnie z tamtego czasu. Ale dopiero co przeglądała zdjęcia waszego ojca. Od razu zauważyła, że to to samo dziecko. A kiedy zobaczyła to zdjęcie tuż obok innych fotografii Genevieve, pokazujących, jak dorastała, wyciągnęła logiczne wnioski. Nie próbowałem zaprzeczać. Widziałem, że domyśliła się, że to ona. I że nic, co powiem, nie przekona ją, że jest inaczej. Powiedziałem, że być może będę mógł jej pomóc odzyskać Jakoba. Że być może znajdę na to sposób, jeśli ona zachowa pochodzenie Genevieve w tajemnicy. Jakob nie trafił jeszcze do XC, bo wtedy nie byłbym w stanie nic zrobić, byłby już ze swoją nową rodziną. Podobnie jak twoja córka był jednym z dzieci przeznaczonych do adopcji.

– Chcesz powiedzieć „na sprzedaż” – mówię ostro.

– Tak jak ci mówiłem – ciągnie Jonah – odzyskanie twojej córki będzie miało swoją cenę. Częścią tego jest poznanie tej strasznej prawdy, a jeszcze większą częścią jest jej ukrywanie. Ja postanowiłem zatrzymać swoją córkę. Postanowiłem z tym żyć.

– Nie jest twoja – niemal dławię się tym zdaniem. – Nie jest twoją córką.

Wypowiada kolejne słowa tak cicho, że są niemal niesłyszalne, ale czuję w nich stalową wolę, którą dostrzegam też w sobie:

– Teraz jest.

– Czyli jeśli nic nie powiem, Mimi z nami zostanie?

– Tak – potwierdza Jonah. – Znajdzie się inne dziecko na jej miejsce.

Głośno przełykam ślinę. Czuję cień tej innej rodziny, innej matki, którą skazę na taki los.

– I wszystko, co będę musiała zrobić, to milczeć i nie wchodzić nikomu w drogę?

– Z tą wiedzą, którą teraz masz, będziesz musiała pracować dla BSR. Tak było ze mną. Gdy doprowadziłem do konfrontacji w sprawie Genevieve, zmusili mnie, żebym dla nich pracował, o ile chciałem ją zatrzymać. A teraz, gdy już dorosła, chcę, żeby miała szansę zostać matką. Ja jestem w stanie trzymać to w tajemnicy – praca, którą dla nich wykonuję, ma tajny charakter – ale ty najprawdopodobniej będziesz musiała zostać funkcjonariuszką BSR. Zaspokoją twoje potrzeby, a ty w zamian będziesz musiała ich karmić.

– Nie możemy tego po prostu przerwać? Powiedzieć wszystkim, co oni robią? Gdyby ludzie się dowiedzieli...

– Ludzie wiedzą. Dowiedziałem się ja, Evie i wielu innych. Ale jest powód, dla którego wszyscy godzą się na tę grę. Każdy z nich ma kogoś do stracenia. I wybierają tę osobę. Pracując dla BSR przez te wszystkie lata, widziałem ludzi, którzy byli bliscy tego, by to ujawnić, grozili, że to zrobią. Ich dzieci poddano by ekstrakcji bez względu na to, w jakim były wieku. A to się nie kończy, kiedy dzieci dorosną. Jeśli nie mogą zabrać ci dziecka, zabiorą wnuka. Nie będzie dnia bez nadzoru, ale jeśli będziesz przestrzegać zasad, zatrzymasz ją. Wiele osób jest w stanie tak żyć. Wiele potrafi to znieść.

– Tak jak Evie. – Nagle widzę, jak przeszłość rozświetla się tymi splecionymi nićmi. Są niczym powój, który wszystko dusi.

– Wszyscy funkcjonariusze BSR o tym wiedzą? – pytam. – Wszyscy wiedzą, co robią? Czego są częścią?

– W większości nie, ale jest trochę takich, którzy wiedzą. Jeśli zaczną mówić, odbiorą im syna lub córkę. Są kimś, kto dużo wie, ale też ma coś do stracenia. I powód, żeby milczeć.

– Kimś takim jak ja – mówię.

– Kimś takim jak ty.

W T E D Y

Następnym razem, kiedy to się stało, byliśmy na placu zabaw. A jeszcze następnym zatrzymano nas, kiedy szliśmy do Santy.

W drodze na spotkanie rodziców z dziećmi. W naszej ulubionej kawiarni. W restauracji na stacji ładowania, na której akurat się zatrzymaliśmy.

Mimi jeszcze dwa razy zachorowała na gripę żołądkową, więc tak jak wcześniej zgłosiliśmy to do BSR. Gdy tylko przesłaliśmy zgłoszenia z mojej pracosfery, natychmiast przysłano nam NSR za to, że niedostatecznie ją izolowaliśmy.

Po tym, gdy to się stało, przestaliśmy wychodzić z domu. Mimi jednak znów się rozchorowała i wyglądało to na kolejną gripę żołądkową. Tym razem zawiozłam ją do szpitala, bo martwiłam się, że za mało w tej sprawie robimy. Lekarz zdiagnozował u niej nietolerancję glutenu. Zapytałam, czy możemy zakwestionować NSR-y w związku z nieizolowaniem jej, ponieważ jej poprzednie choroby były najprawdopodobniej związane z nietolerancją pokarmową, ale dowiedziałam się, że od NSR-ów dotyczących kwestii zdrowotnych nie można się odwoływać.

NSR-y zbierały się, gromadziły. Piętrzyły się jedne na drugich, tak że wydawały się wyższe. Niczym wieża znikająca w chmurach. Próbowaliśmy nie tracić nadziei. Próbowaliśmy się zmienić, być lepszymi rodzicami, próbowaliśmy przewidywać własne błędy, stać się jasnowidzami. Próbowaliśmy dalej i dalej, choć z każdym dniem narastała we mnie apatia, poczucie beznadziei, które stawało się czymś żywym.

Pewnego dnia wybraliśmy się do domu Mariny, u której zatrzymała się Santa. Wzięliśmy ze sobą Mimi. Spakowaliśmy wszystkie możliwe ubranka na zmianę i przed wyjściem kilka razy sprawdziliśmy wózek. Pamiętam, że Thomas był

przekonany, że nic złego nie może się wydarzyć. Pójdziemy pieszo, Mimi zaśnie w wózku podczas spaceru, a gdy już dotrzemy na miejsce, będziemy bezpieczni w domu Mariny. Plan, który nie mógł zawieść.

Było jasno, słonecznie, ale przenikliwie zimno. Pamiętam, jak żałowałam, że nie włożyłam rękawiczek. Mocno ścisakałam uchwyt wózka, żeby ogrzać sobie ręce. Szliśmy w trójkacie, Mimi na wierzchołku, ja i Thomas po obu stronach, niemal wciśnięci w siebie. Zauważyłam, że za każdym razem, gdy ktoś nas mijał, wstrzymywałam oddech i dopiero gdy przeszedł, zaczynałam znów oddychać.

Byliśmy już prawie na miejscu. Widziałam lśniące czarne drzwi Mariny. Ktoś otworzył, a potem zatrzasnął drzwi samochodu. Zbliżając się do domu, przyspieszyłam kroku, chciałam już być w środku, bezpieczna w jego czterech ścianach. Thomas niemal biegł obok mnie, żeby za mną nadążyć.

– Możecie się już zatrzymać – powiedział jakiś głos. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to było skierowane do nas, więc szliśmy dalej. Wtedy usłyszałam: – Powiedziałem: stać.

Dopiero wtedy to do mnie dotarło.

Zimowe słońce ostro świeciło mi w oczy, więc nie widziałam wyraźnie funkcjonariusza ani jego odznaki, choć teraz już byłam pewna, że to ktoś z BSR. W głowie zaczęłam gorączkowo odhaczać pozycje z listy, o co takiego mógłby nas oskarżyć. Spojrzałam na Mimi, która cały czas spała. Czapka wciąż głęboko leżała na jej głowce, kombinezon dobrze ją otulał. Uśmiechnęła się przez sen, a potem przewróciła na bok. Jej twarz była całkowicie spokojna i rozluźniona.

Funkcjonariusz stanął na piętach i wsunął ręce głęboko do kieszeni. Gdy podniósł wzrok, zobaczyłam wilczy uśmiech na jego twarzy. Trwało to tylko krótką chwilę, a potem grymas zniknął bez śladu, aż zaczęłam się zastanawiać, czy sobie go nie wyobraziłam. Poznałam ten uśmiech, te lekko spiczaste zęby. Bładoróżowe usta i szerokie policzki.

– Roger – powiedziałam cicho. Chłopak, z którym byłam przed Thomasem i któremu powiedziałam, że nigdy nie będę miała dzieci.

Zignorował mnie i pokazał nam swój identyfikator. Zdjęcie, na którym wyglądał jak ktoś, kto usiłuje się nie roześmiać, pokrywały niebieskie symetryczne linie wytłoczonego logo BSR.

– Od jak dawna tak sobie spacerujecie? – spytał. Zwracał się raczej do Thomasa niż do mnie.

Zapytał nas, czy wiemy, jaka jest dziś temperatura, ile mil przeszliśmy i od jak dawna jesteśmy na zewnątrz. Sprawdził, w co jest ubrana Mimi. Obudził ją przy tym, a ona, niezadowolona i zdenerwowana, zaczęła płakać. Nie przestawała, gdy próbowałam ją uspokoić, więc wzięłam ją na rękę.

W zimowym kombinezonie była śliska i nieporęczna, trudno mi ją było wygodnie trzymać; przez cały czas czułam, jak robi mi się coraz goręcej.

– Przepraszam, że muszę to zrobić – powiedział Roger. – Ale wygląda na to, że dziś rano dostaniecie ode mnie NSR. Przebywacie na zimnie znacznie dłużej, niż przewidują zalecenia dla dziecka w tym wieku.

Thomas zapytał, gdzie możemy znaleźć tę informację. Podczas całego procesu indukcji nikt nam o tym nie powiedział.

– Zadbam o to, żeby ją wam przysłało – Roger poruszył ręką. Nasze mobilne sfery ożyły. – Sugeruję, żebyście jak najszybciej weszli do budynku. Znacnie kogoś tu w pobliżu?

Śledził nas. Czekał do ostatniej chwili i dopiero wtedy się ujawnił. Byłam pewna, że wie, że to właśnie tutaj zmierzaliśmy, że prawie udało nam się dotrzeć do celu.

Zeskanował moją opaskę, potem opaskę Mimi i odwrócił się, żeby odejść, ale spojrzał jeszcze na nas przez ramię.

– Powinniście teraz uważać – tym razem mówił tylko do mnie.

Skończyły nam się bezpieczne miejsca. Te, które kiedyś wydawały nam się zupełnie normalne, teraz były skażone; nie miałam ochoty wracać do żadnego z nich. Na myśl o tym, że miałabym w którymś z nich przebywać, nie mogłam oddychać. Przestaliśmy zabierać Mimi na lekcje pływania i na huśtawki. Zrezygnowaliśmy z wizyt u Santy. Przestaliśmy jadać poza domem. W ogóle przestaliśmy wychodzić, na ile było to możliwe.

W tamtych miesiącach byliśmy więźniami. Nasz świat skurczył się do czterech ścian naszego domu. Dotarliśmy do punktu, gdy prawie nie wychodziliśmy z Mimi. Tylko jedno z nas załatwiało wszystko, co było potrzebne. Przestaliśmy być trzyosobową rodziną. Zwykle to ja czekałam z nią w domu. Odliczałam minuty do powrotu Thomasa, zasuwalam zasłony,

sprawdzałam łańcuch na drzwiach, zносиłam Mimi do jednego z pokoi w głębi domu.

Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, że jesteśmy tu same.

Jednak mimo naszych najlepszych starań, mimo ukrywania się w jakiś sposób, niemal bez kiwnięcia palcem, dotarliśmy do ósmego NSR-u. Kolejny oznaczałby ekstrakcję, chyba że udałoby się nam przetrwać tych kilka tygodni do pierwszych urodzin Mimi.

A to oznaczało jedno: nie byliśmy już bezpieczni we własnym domu.

Mogli przyjść o dowolnej porze, każdego dnia.

Pozostawało nam tylko czekać na ich przyjazd.

Ostatniego dnia, który spędzaliśmy razem, wszyscy obudziliśmy się późno. Słońce było już wysoko i rozciągało się przed nami błękitne, nieskazitelnie czyste niebo, przypominające inną krainę gotową do odkrycia – rozległą i bezgraniczną.

Próbowaliśmy podawać Mimi mieszankę, dostarczaną przez bibliotekę. Staraliśmy się jak najlepiej przygotować ją na czas rozłęki, gdy już nie będę mogła karmić jej piersią ani odciągniętym mlekiem. Próbowaliśmy lekko podgrzewać mieszankę, tak jak robiliśmy to dla niej z odciągniętym mlekiem z butelki, ale po pierwszym łyčku zaciskała usta i nie chciała ani łyka więcej.

– A co, jeśli u nich też tak zrobi?

– Nie będzie miała wyboru – odparł Thomas. A potem dodał łagodniej: – Nic jej nie będzie. Robi tak, bo to jest coś nowego i jeszcze się do tego nie przyzwyczaiła.

Próbowałam się otrząsnąć z narastającego uczucia niepokoju w obliczu tego, co zamierzaliśmy zrobić.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy człowieka, który miał ją zabrać do bezpiecznej kryjówki, i nigdy więcej mieliśmy go nie zobaczyć. Nie przedstawił się, nie poznaliśmy jego imienia, a jedynym, co dawało nam pewność, że brał udział w operacji, było to, że zjawił się punktualnie o ustalonej godzinie – o szesnastej siedemnaście.

Przez cały dzień moje spojrzenie wędrowało w stronę tarcz zegarów, ale w tych ostatnich minutach spędzonych przy torcie i świeczce pukanie w pierwszej chwili mnie zaskoczyło.

Thomas spojrział na mnie z miłością wypisaną na twarzy. Ścisnął moją dłoń, jakby chciał powiedzieć „już pora”. Santa zajęła się spakowaną przez nas wcześniej torbą i mocno przytuliła Mimi. Wyszepiała w jej włosy coś, czego nie dosłyszałam.

Gdy już ją puściła, spróbowaliśmy jej to wyjaśnić w nadmiernie radosnych słowach.

– Zobaczmy się naprawdę niedługo.

– Czeka cię przygoda!

– Pójdiesz z tym miłym panem, ale wkrótce będziemy wszyscy razem!

Mężczyzna, który miał ją zabrać, nie zwracał uwagi na to, co mówiliśmy. Gdy zegnaliśmy się z córką, stał oparty o ścianę, pochylony nad swoją mobilną sferą.

– Niedługo się zobaczymy! – zapewniliśmy śpiewnie, jakbyśmy chcieli pocieszyć nie tylko ją, ale i siebie. Powtarzaliśmy te słowa, jakby dzięki nim mogło się to stać faktem.

Gdy przytulaliśmy ją i całowaliśmy w policzki, wydawało się, że w jakimś stopniu rozumiała, co się dzieje. Na początku myślałam, że wie, że nas opuszcza. Wyczuwałam to w tym, jak się przytulała, w tym, jak jedynie lekko uniosła głowę, bym mogła ją pocałować – to było zbyt powściągliwe i nie pasowało do jej zwykłego zapamiętania w wyrażaniu i przyjmowaniu miłości.

Gdy mężczyzna ją wynosił, odwróciła się nad jego ramieniem, zadając nam nieme pytanie spojrzeniem swoich nieruchomych oczu.

Nie odwracała wzroku.

Ale potem nagle zaczęła krzyczeć. To było jak alarm, który uruchomił się w jej wnętrzu. Szarpała się i wiła w ramionach mężczyzny.

Rozpaczliwie wyciągnęła do nas rączki, chwytając palcami powietrze. Wołała nas.

Thomas zacisnął rękę na moim ramieniu, mocno mnie przytrzymał.

– Mimi! – krzyknęłam.

Szarpnęła się w objęciach mężczyzny. Prawie ją upuścił. Próbował ją uspokajać, gdy się miotła i krzyczała, ale to tylko sprawiło, że była jeszcze głośniejsza.

Tego nie dało się znieść.

– Puść ją! – krzyknęłam, wrywając się. – Nie krzywdź jej! Nie rób jej tak!

– Nie, Kit. – Thomas był przy mnie. – Musimy mu pozwolić ją zabrać. – Przytrzymał mnie i zatrasnął frontowe drzwi za mężczyzną zmagającym się z naszą zrospaczoną córeczką.

Słyszałam jej krzyki jeszcze długo po tym, jak już odeszli.

T E R A Z

Mimi gaworzy i śmieje się, kołysząc się w przód i w tył na huśtawce.

Stoimy z Thomasem, w niewielkiej odległości od siebie, tuż za nią.

Dziewczynka marudzi, gdy huśtawka zaczyna tracić impet i zwalnia. Chce się bujać wysoko i szybko.

Nie mogę uwierzyć, jak błyskawicznie doszła do siebie. Odkąd odzyskała siły, nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Musiała spędzić kilka dni w szpitalu, ale lekarze byli zadowoleni z jej postępów.

Parząc z zewnątrz, nikt by nie przypuszczał, że z tym obrazkiem jest coś nie tak. Znow jesteśmy razem, wszyscy troje. Nasza córeczka jest zdrowa, świetnie się rozwija, próbuje chodzić, przewraca się, a potem znow próbuje. Nie wyniosła z tej historii żadnych trwałych szkód. Miała szczęście. My też.

Nie jesteśmy jedyną rodziną w parku. Dziś jest pierwszy słoneczny dzień po tym, jak przez tydzień padał deszcz ze śniegiem.

W powietrzu wyczuwa się radość, słyhać śmiechy, zarówno wśród dorosłych, jak i dzieci. Wszyscy zbyt długo musieliśmy siedzieć w czterech ścianach. Dzieci krzyczą, gdy rozbiegają się po trawie na placu zabaw.

Ostatnio często mi się zdarza, że zauważam jakiegoś chłopca i widzę w nim Jakoba. Jest coś w kosmykach jego włosów, krzywych nóżkach, co mnie do niego przyciąga. Nie widziałam go od tamtego dnia, gdy spotkaliśmy się pod domem Evie. Chociaż rozumiem, co się między nami wydarzyło, nie mam już ochoty na spotkanie z nią. Może się to zmienić. Mam nadzieję, że tak będzie, ale na razie przeżywam każdy dzień w jedyny sposób, w jaki jestem w stanie to znieść, a to oznacza, że chwilowo nie widuję się z siostrą.

Słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię, i gdy spoglądam w stronę tej osoby, prawie jej nie poznaję.

Przefarbowała włosy na o wiele ciemniejszy kolor. Są trochę zbyt czarne, przez co jej twarz wydaje się za bardzo blada, usta zaś pozbawione koloru.

– Marie – mówię. Niezgrabnie próbuję wcisnąć do kieszeni identyfikator, który ścisnęłam w ręce. Staram się, by tego nie zauważyła.

– Jak się masz? – pyta.

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Rozkładam ręce i wzruszam ramionami. W tym momencie dołącza do niej Leo. Wydaje się starszy, jakby od naszego ostatniego spotkania upłynęło więcej czasu niż tych kilka lat.

– To jest Kit – wyjaśnia mu Marie, ale niepotrzebnie, bo wyraźnie widać, że mnie poznał.

– Mój Boże – mówi Leo. – Wciąż rozmawiamy o tobie, o tym, co dla nas zrobiłaś. Byłaś jak nasz anioł stróż. Przykro nam, że tak zniknęliśmy po... po... Musieliśmy się przeprowadzić.

– Oczywiście – mówię, ale to nie wystarcza. Wpatrują się z wyczekiwaniem we mnie i w Thomasa. To jest ta chwila, kiedy powinnam ich sobie przedstawić, ale waham się. Cisza staje się niemal nie do zniesienia, ale przerywa ją krzyk Mimi.

– Mamo, mamo! – wyje niczym syrena.

Twarze Marie i Leo się rozpromieniają, tak jak u każdego na widok dziecka, ale ten blask szybko zamiera i gaśnie. Wpatrują się w buzię Mimi, doszukując się rysów kogoś innego.

Gdy się nie odzywam, Thomas robi to za mnie.

– To jest Mimi – wyjaśnia im. – A ja jestem Thomas.

Przez chwilę pochłaniają ich uprzejmości, ale potem w ich oczach pojawia się coś na kształt rozpaczy, zawiści, ciepła i chłodu równocześnie. Wszystko naraz.

Thomas zdejmuje Mimi z huśtawki i zostawia nas na chwilę we troje. Stoimy razem i milczymy.

– Jest prześliczna – mówi w końcu Marie.

– Tak – przytakuje Leo. – Piękna. – Dźwięk tego słowa jest pusty, brzmi jak coś, co mówili już zbyt wiele razy.

Próbuję coś odpowiedzieć, wydusić słowa, które byłyby stosowne w tej chwili, ale czuję w sobie pustkę, nie mam im nic do zaoferowania.

Widzę tylko uśmiech Tii spoglądającej na swoją matkę. Widzę tylko jej twarz nad ramieniem tego funkcjonariusza, który ją wynosił, a potem zniknęła.

– Miło było cię spotkać – mówi Marie.

– O tak... – zgadza się z nią pośpiesznie Leo, ale pozwala, żeby to słowo zawisło w powietrzu. Jakby wiedział, tak jak ja, że powinien powiedzieć coś więcej, ale nie mógł się do tego zmusić.

Żegnamy się. Nie udajemy, że znów się spotkamy, że w ogóle byśmy tego chcieli. Patrzą, jak odchodzą.

Biorą się za ręce. Idą małymi krokami, jakby bez wzajemnego wsparcia mogli się potknąć i przewrócić. Jedno gotowe podtrzymać drugie, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Wracamy do domu? – pyta mnie Thomas, gdy wraca i staje obok.

Wiem, o co tak naprawdę pyta: czy możemy już wracać do domu. Nie chce tu być, kiedy ja obserwuję, czekam, szykuję się do skoku.

Próbuję odepchnąć od siebie myśli o Marie, Leo i Tii, ale wciąż uparcie wypływają na powierzchnię.

– Nie wyrobiłam jeszcze normy – mruczę. Nie powinnam mu tego mówić. Liczby są poufne.

– Mamo? – mówi Mimi.

Spoglądam na córeczkę i na chwilę pozwalam sobie utonąć w jej spojrzeniu. To ona jest powodem. Jedynym powodem.

– Jeszcze nie – odpowiadam Thomasowi. Do mojego głosu wkrada się chłód.

Dostrzegam matkę i ojca, którzy rozmawiają ze sobą z ożywieniem, gdy ich synek wspina się po stopniach zjeżdżalni. Jego stopy są niebezpiecznie blisko krawędzi schodka i niezdarnie wyciąga rączkę w stronę drążka.

Ruszam w stronę jego rodziców ze stanowczością, której nie czuję, sięgam do kieszeni i wyciągam identyfikator. Jego kształt jest obcy w mojej dłoni, na powierzchni wytłoczono litery BSR.

Zauważają mnie, gdy jestem kilka kroków od nich.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Jo Harwood, Sarah Mather, Katharine Carroll i wszystkim z Titan. Pragnę też podziękować Sam Matthews za wspaniałe zredagowanie tekstu i Natashy McKenzie za znakomity projekt okładki.

Za przeczytanie i nieustającą zachętę dziękuję Richardowi Ho-Yen, Celi Ho-Yen, Hannie Arnold i Alexie Weaver.

Jeśli chodzi o Dana i Bee: dziękuję wam właściwie za wszystko.

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie niesłabnące wsparcie dwóch wspaniałych kobiet: mojej agentki Clare Wallace i redaktorki Cath Trenchman. Dziękuję wam za doskonałe rady, cierpliwość i energię na każdym kroku.

O A U T O R C E

Polly Ho-Yen urodziła się w Northampton, a wychowywała w Buckinghamshire. Studiowała filologię angielską na Birmingham University, a następnie przez kilka lat pracowała w wydawnictwie. Później została nauczycielką w szkole podstawowej w Londynie. To wtedy zaczęła wczesnie wstawać i pisać opowiadania. Jedno z nich urosło do rozmiarów powieści, którą zatytułowała *Boy in the Tower*. Debiutancka powieść została wydana w lipcu 2014 roku przez Random House Children's Publishers. Uzyskała nominację do Carnegie Medal i znalazła się w finale między innymi Blue Peter Book Award i Waterstones Children's Book Prize. Jej druga powieść, *Where Monsters Lie*, ukazała się w 2016 roku, zaś trzecia, *Fly Me Home*, w 2017 roku. Obie były nominowane do Carnegie Medal. Obecnie Polly Ho-Yen poświęciła się wyłącznie pisaniu. Mieszka w Bristolu z mężem i córką. Można ją znaleźć na Twitterze (X) pod nickiem @bookhorse.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE